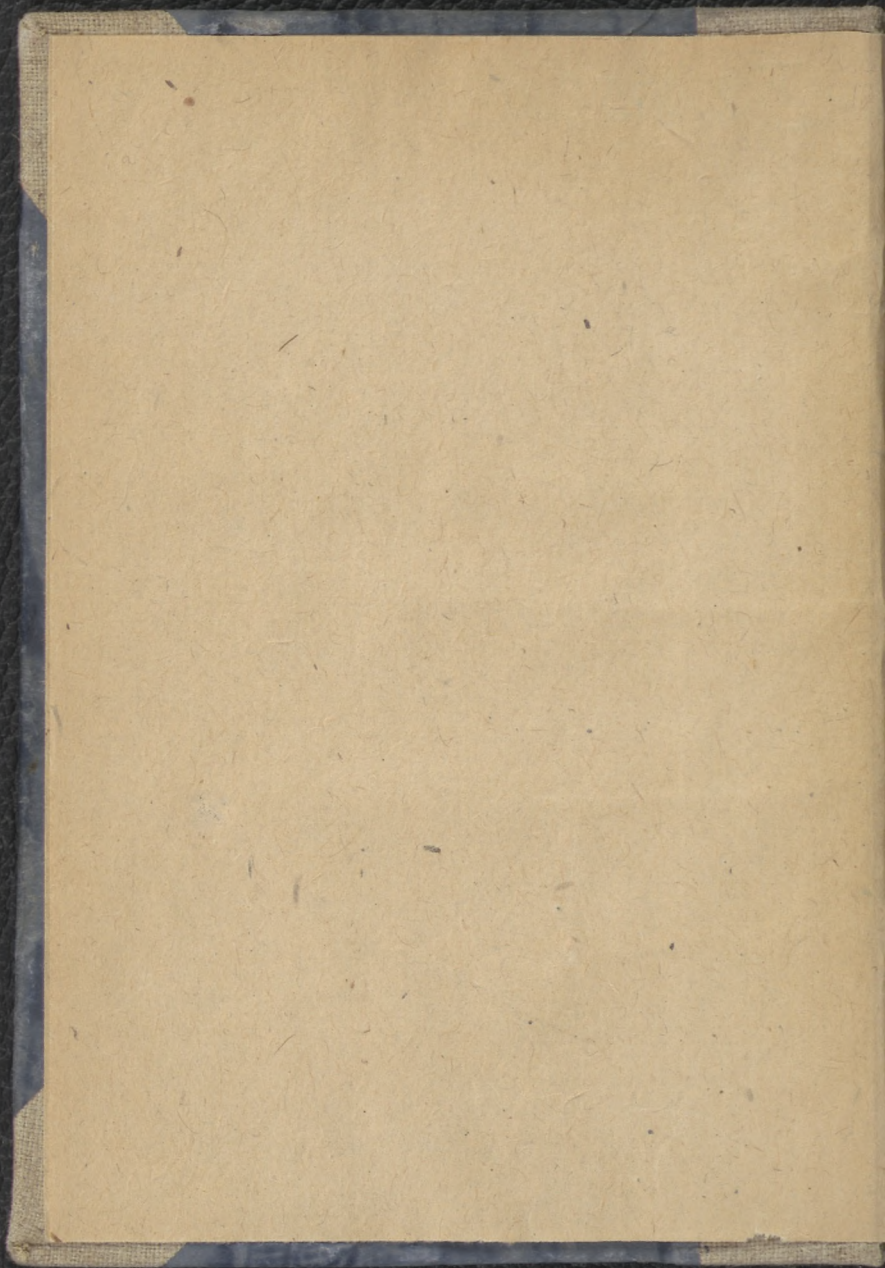


T 2,005.580



MARJA BOGUSŁAWSKA.

---

# GOSPODA POD MODRYM FARTUSZKIEM.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA  
Z DZIEJÓW POMORZA XVII W.



1922.

---

„Księgarnia Polska“ Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej  
WARSZAWA, Warecka 15.

~~80247~~



12.005.580



## I.

**Pielgrzym z Pelplina.**

Wczesna noc grudniowa zstępowała w r. 1655 na toruński gród, spowity w gęste opary, ciągnące się od Mokrego, z rozległych błót i topieli, rozgrzanych kilku ciepłymi dniami poprzedniego miesiąca. Skryła opary, nadała im ciemną barwę swego płaszcza, lecz nie sprowadziła ciszy, jaka zwykła była zalegać miasta w dawniejszych wiekach po zapadnięciu zmroku. Przeciwnie od Górska, Rosgartu, Przysiek i Wrzosów dochodził jakiś dziwny huk, jakby zbałwanionego morza, jakby odległej wichury w potężnym borze, co to niesie i szumy koron drzew i trzask konarów i huk walących się olbrzymów leśnych.

I zmrok, jaki jesień spuściła na ziemię nie był zupełny; od Ryńska przez całą szerokość horyzontu złościła się potężna luna, powietrze raz po raz rozdzierał lecący ż sykiem meteor armatniej rakiety.

**Obleżenie.**

Już dziesięć tygodni mijało od chwili, jak Szwedzi otoczyli półkolem miasto, u-

sypali szańczyki, rozstawili armaty, rozmieścili rajtarję i tłumy ciurów obozowych, szturmując Toruń dniem i nocą. Silna baterja, ustawiona wprost miasta za Wisłą, czyniła niezmierne szkody w murach i basztach.

A gród, posiadający słabe okopy, nie liczną załogę, liche armaty, bronił się ciągle krzepiąc się wspomnieniem r. 1629, kiedy to, nielepiej pod względem wojennym przygotowany, odparł zaciekle szturm generała Wrangla, że aż dzień 16-ty lutego, w którym ten zaniechał oblężenia, świętem narodowem czeiło miasto.

Ale pod koniec listopada jakiś zły wiatr powiał nad Toruniem; znużenie, niepokój i zniechęcenie coraz liczniejszych ogarniały mieszkańców. Niemiecka część mieszczaństwa z każdym dniem więcej podnosiła głowę, coraz otwarciej okazywała nienawiść Polakom, siejąc w serca prostaczków nieufność i wstręt do garści wojska kwarcianego i komputu okolicznej szlachty, która ściągnęła tu z rodzinami, spokojniejsza o nie za grubemi murami grodu. Protestanci, przyczajeni od czasu, gdy na tronie polskim zasiadł Zygmunt III, posuwający swe katolickie uczucia aż do fanatyzmu, teraz już jawnie i głośno przedstawiali swym współwyznawcom, że Szwedzi są też protestantami i że pod ich rządami polski katolicyzm będzie musiał ustąpić z przodującego miejsca.



Szwedzi musieli być informowani o stanie ducha załogi, musieli wiedzieć jak skutecznymi były zabiegi ich sprzymierzeńców, bo szturmowały się coraz słabszemi. Nieledwie jakby dla zmanifestowania tylko dawano kilka razy w dzień i kilkanaście w nocy strzałów armatnich; nie chcąc widocznie nazbyt psuć amunicji, wobec pewności, że miasto i tak się podda.

W dniu jednak, w którym rozpoczyna się nasze opowiadanie — trzecim grudnia — szturm wzmógł się znacznie; o zmroku od jednego ze strzałów armatnich zajął się stary spichrz drewniany, około Krzywej Wieży; ledwie ugaszono pożar, pocisk padając przed kościołem Panny Marji zabił czterech ludzi, wśród wychodzących gromadką z nieszpornego nabożeństwa. Wszystko to zdenerwowało ogół mieszkańców, który jakby w przeczuciu czegoś niedobrego uchodził do domów, zaryglowywał drzwi, gasił światła i zasłaniał okna, kupiąc się przy kominach i w alkowach sypialni.

Na jednym z takich milczących i otoczonych wąskimi, o pozamykanych oknach kamienicami, placu, przy kościele św. Jakóba, duża lampa zawieszona na misternie wyrzeźbionej sztabie, rzuciła snop światła na śnieżny kobierzec i ścianę wąskiej kamieniczki o gotyckim szczycie frontu, uwypuklając malowane godło: błękitny fartuszek.

Przed oberżą stał jakiś wasąg napelniony lubami i dwa piękne konie, osiodłane,

pod strażą pacholika, ubranego w krótką węgierską bekieszę, zielonego koloru, szamerowaną czerwonymi sznurami.

W obszernej izbie gościnnej ciepło było, duszno i gwarno, z powodu kilkunastu osób, dzielących się na trzy grupy: jedna z nich skupiła się przy kominie; druga obiadła stół; trzecia zajęła ławę z poręczami stojącą pomiędzy oknami.

Gospoda od czasu założenia, to jest od dwustu lat, pozostawała w rękach rodziny Szalitów, cieszącej się ogólną życzliwością z pokolenia na pokolenie. Tradycja z ojca na syna podawała opowieści o królach: Kazimierzu Jagiellończyku, Janie Olbrachcie, a nawet o Władysławie Jagielle, którzy mieli progi gospody pod „Modrym Fartuszkiem zaszczyć. A jeśli ktoś, seep tyczniej usposobiony, podawał w wątpliwosć te wersje, wskazując na bliskość zamku i Junkerhofu, które sposobniejsze były na gościnę dla królów, uważany był za śmiertelnego wroga przez każdego, prawego Szalitę.

Gdy wojska króla Karola Gustawa postąpiły pod Toruń, w gospodzie pod Modrym Fartuszkiem rządzili skrzętnie: Franciszek Szalita, młody dwudziestokilkoletni człowiek i poślubiona przez niego przed trzema laty Krystyna z Wendorfów, córka rzeźnika, która mężowi swemu wniosła obok zdrowia, młodości i urody, wcale piękne wiano.

Franciszek Szalita w swej ambicji poszedł dalej, niż przodkowie jego; oto na kominie izby gospodniej stała staroświecka szkatułka z grubych tafli szklanych, oprawnych w żelazo ażurowane i ozdobione imitacjami kamieni. W szkatułce tej znajdowało się kilka przedmiotów, które Szalita nazywał pamiątkami po królach i od czasu do czasu jakimś nowym, a godnym gościom zawartość jej pokazywał i objaśniał.

I w tej chwili trzymał ją na lewej ręce, prawą wyjmując przedmioty, które z lubością i namaszczeniem podawał stojącemu przed nim towarzyszowi pancernemu.

— Ejże, mości gospodarzu — mówił towarzysz, biorąc z ręki Szality, krótki zardzewiały nożyk o szerokim ostrzu, w kształcie minjaturowego tasaka, — żeby to miała być brzytwa Władysława Jagiełły weale mi się nie widzi.

— Wolno waszmości nie wierzyć, ja mówię to co wiem od mego ojca, który otrzymał tę relikwję od swego dziada, w spuściźnie po pradziadku, na którego miłościwy król był bardzo łaskaw.

— Nie zawracalbyś głowy Szalita — odezwał się od stołu Emil Szwem, rajca miejski — gdzie zaś by się majestat po byle karczmach szargał.

Szalita sponsowiał.

— Pewno, że w karczmach majestatu w żadnej porze nie spotkać, ale tu jest gospoda i najstarsza w naszym mieście.

— Racja, racja, mości gospodarzu, —

z uśmiechem rzekł towarzyszy pancerny, — a pokaż nam jeszcze inne pamiątki.

Szalita z niesmakiem zamknął skrzyneczkę.

— Na kpiny tych pamiątek nie podam.

— Musisz pokazać jeszcze ten guzik od hajdawerów Jana Olbrachta, — wołał z pod okna syn mistrza rzeźnickiego Gustaw Ulmach — gdzie to twój dziad go znalazł?.. bo nie w izbie!

Szawiła zaciął usta, zamknął skrzyneczkę na kluczyk i nie mówiąc słowa postawił na kominku.

— A nie omieszkać Franeczku — śmiał się dalej Ulmach — pójść za majestatem tam, kędy się łączą guziki gubi, jak tu miłościwie nam panujący Jan Kazimierz zjedzie.

— Raczej Karol Gustaw! — krzyknął Szwem.

— Niedoczekanie jego, pludra bezbożnego! — zawołało kilku mieszczan.

— Co to gadać! Jan Kazimierz sam z kraju uciekał, na dalekim Śląsku pacierze odmawia, kraj cały w krwie pogrążywszy, a Karolus Gustawus ku nam przyciągnął...

— I oną krew wytacza, — dokończył Szalita.

— Prawdęś rzekł, prawdęś rzekł, krzyknęło kilku.

— Musi wytaczać krew, jak mu nasi sztorcem się stawiają, żołnierzy rzezą, do miast nie puszczają!

— Jakże mają ich puszczać, panie rajco Szwemie, skoro Szwed ledwo na ziemię

nasze ze swych okrętów postąpił, wnet krew niewinnych mieszkańców strumieniem płynąć poczęła, a wieś i miasta w kupy gruzów zamieniać.

Szwem podniósł swą szeroką twarz z nad kufła piwa na mówiącego te słowa szlachcica lat średnich; ruszył ramionami, lecz nie przerywał mu, tylko oczy utkwione miał i przybierał coraz bardziej szyerski wyraz twarzy, w miarę jak szlachcic rozrzewniał się własnymi słowami.

— Mam posiadłość niedaleko morza, wkoło lud kaszubski; pracowity, cichy, zasobny, bo oszczędnością i pracą wzbogacony. Przyszły te zamorskie djabły, niedość że wywlekli ostatni kęs słoniny z komory, ostatni miech zboża z gumna, ale mieszkańców pobili, domostwa ich z dymem puścili.

— Znam ja, znam ich gospodarke — odezwał się mieszczanin o marsowej twarzy, skutkiem senej, snać niedawno zabliznionej rany na policzku i brakującego kawałka górnej wargi. Nie widziałem to, jak Grudziądz rabowali i palili!

— I Chojnice i Chéłmno i Wąbrzeźno, wołali inni.

— Psy niewierne! — huknął Szalita, pięścią w stół uderzając.

Szwem zadzwonił palcami w tabakierkę.

— Proszę o głos! — zawołał.

— Uciszcie się! — krzyknął ludwisarz Weigel, który od szeregu lat dom od Szwe-ma na mieszkanie i fabryczkę dzierżawił,

wielmożny pan rajca, Emil Szvem coś powiedzieć raczy.

— Ho, ho, widzicie go! — zaśmiał się jeden ze szlachty — pan rajca już herolda sobie sprokurował.

— A niedawno z bębmem po ulicach chodził, a oznajmiał komu świnia zaginęła, albo który mieszkaniec....

Szwem potężnem uderzeniem tabakierką w stół i pokazaniem zębów z wściekłością, zmusił na chwilę żartownisia do milczenia.

— Takiego monarchę, jak Karolus Gustawus każda wieś, miasto każde chlebem i solą witać powinny — zawołał rajca.

— Karolus Gustawus do wszystkich wsi wejść nie mógł, a generałowie jego....

— I generałowie zacnie witani być winni, oni w kraj on ciemny, wniosą światło nauki i dobrobyt, jakim Szwecja się cieszy!

— Jak Szwed w kraju tym zapanuje, zobaczycie jakie porządki a ład zaprowadzi! — odezwał się Skalski, kapelusznik.

— Widzimy! widzimy one porządki!... Ruiny i zgłiszczą!

— Tak jest, póki wojna, ale ezasu pokoju!...

— Czasu pokoju my na nich patrzeć nie będziemy, bo ich do tej pory przez wyżeniemy!

— Na karkach ich wjedziemy do Szwecji!

Szwem, opierając się na obu rękach, nie bez trudu podniósł się w krześle.

— Chyba wam zamknę gęby, gdy powiem, że dzisiejszego wieczoru Rada miejska postanowiła Toruń poddać.

Szalita rzucił się ku niemu, jakby chciał za gardło go pochwycić!

— Zdrada! — krzyknął — zdrada!

— Zdrada!... — powtórzyło za nim kilku.

— Zdrada! i hańba! — krzyczano.

Zrobił się tumult; ten i ów do szabli sięgał; ten i ów stawał w groźnej postawie, jakby gotowy rzucić się na przeciwnika.

Wtem gwałtowne otwarcie drzwi i fala mroźnego powietrza, która wdarła się od progu, zwróciła wszystkich uwagę w tę stronę. Do izby wszedł człowiek niedużego wzrostu, w szaraczkowej opończy i kapturze na głowie, tak nasuniętym na twarz, że ledwo ciemna, długa broda i orli nos były widoczne.

Nowoprzybyły pozdrowił Chrystusa i posunął się w stronę komina, lecz spostrzegłszy, że wszystkie otaczające go stołki są zajęte, cofnął się na środek izby.

Szalita postąpił ku niemu.

— Należy wam się rozgrzewka przy kominie, — powiedział. Siadźcież na ziemi, ciepło tam łatwiej was obejmie, a wielmożni nie obrażą się za oną konfidencję.

— Bóg zapłać — szepnął podróźny — nie powstydzę się onej zgrzebnej opończy o aksamity i złotogłowy otrzeć, bo legiwała ona na posadzkach miejsc świętych, ocierała się o szaty najubożniejszych ryce-

rzy, senatorów i paniąt, gdy społem z popółstwem do Stołu Pańskiego klękali.....  
Z Częstochowy z Jasnej Góry idę.

Pomiędzy zebranymi rozszedł się szmer zachwytu, podziwu i niedowierzania.

— Możesz to być?... Toć Szwedzi kołem święte miejsce otoczyli!

— Lichy robak, jak ja, byle szparą się przeciśnie!

— Już tu dość takich bywało, co się przychodzącymi ze świętych miejsc opowiadali zawołał Ulmach a w rzeczy oszustami się pokazali.

— Cichoj, — szepnął mu w ucho Szwajgel, — takie pokorne pielgrzymy snadno szablę, albo sztylet pod habitem mieć mogą.

— Dałbym ja radę takiemu wynędzniałemu włóczędze.

— W izbie są towarzysze i mieszczenie, katoliki zagorzale: Wendorfowie, Kalicki, Zych, co najsilniejszego byka zmoże, wnet ujmą się za tym przybędą, za to że się różańcami objuczył i mogą poszczerbić nie tylko ciebie, ale nas wszystkich, prawych protestantów.

Ale pielgrzym nie wziął snąć do serca zaczepki rzeźnika, a i ogół zebrany w gospodzie nie zwrócił na nią uwagi, zajęty nowoprzybyłym, który usadowiwszy się przed kominem, odpiął skórzaną torbę i począł wydobywać z niej owinięte w kolorowe szmatki, medaliki wiązane mendlami, srebrne i cynowe i na blasze minjaturową robotą malowane; dalej krzyżyki z drzewa



hebanowego, i cyprysowego, figurki Matki Bożej z farfuru i z metalu, różańce misternie w drzewie rzeźbione i z paciorek nizanę, wreszcie trzy minjaturowe ołtarzyki zamykane, jeden z hebanu, a dwa z kości słoniowej rzeźbione, wizerunkami Najświętszej Panny Częstochowskiej zdobione.

Rozległy się okrzyki zachwytu.

— Sprzedajcie mi, panie bracie, choć jeden medalik!... Mnie się ten ołtarzyk hebanowy widzi!... Co chcecie za ten różaniec z koralami?

Pielgrzym miłośnym spojrzeniem leżące przed nim na niskiej ławeczce przedmioty obejmował.

— Bezcenne to, bezcenne rzeczy!...

— Zaś nie wszystkie siła pieniędzy kosztować muszą, zapołał Pietrek Wendorff, brat Szalitowej.

Ja i na cynowym medaliku poprzestane.

Pielgrzym podniósł na mówiącego poważnie, mądre oczy.

— Cennaść onych skarbów nie w srebrze, ani w drzewie, ani w kości słoniowej!... Ale w tem, z jak świętego miejsca pochodzą!

— Jasna Góra po wsze wieki cudami słynęła — zawołał Morwa, towarzysz pancerny.

— A w tym roku nieszczęście i wojny cudowność Najświętszej Panny i jej szczególne narodu naszego umiłowanie tak jak nigdy dotychczas się sprezentowały. Szwed nieprzeliczonym mrowiem obległ Jasną

Górze, dokoła olbrzymie działa ustawił, żygające kamiennemi kulami, które dwóch ludzi z ledwością dźwiga, ale kule one cudowną mocą od murów klasztoru odskakują. Szwed ciska smółne belki płonące, aby pożar wzniecić na folwarku, spichrze zniszczyć, żywności pozbawić załogę, a belki one na słomianych dachach gasną. Wrogowie sami widzieli jako Najświętsza Pan-  
na płaszczem swym kościół osłaniała, a kule w on płaszcz uderzywszy, gwiazdami rozsypywały się w powietrzu!

— Ot bajendy waść gadasz!... — krzyknął Szwem — a waszmościovie jak dzieci....

— Zamknij gębę! — wrzasnął Morwa, rzuciwszy mu groźne spojrzenie — a jeśliś bajend nie ciekawy, to wolna do drzwi droga.

Szwem zamilkł, tylko wstał od stołu i zasiadł obok Ulmacha na bocznej ławie, opróżnionej przez mieszczan, którzy skupili się około pielgrzyma. Z drugiej strony zabrał miejsce Wejgel i tak we trzech komentowali słowa pielgrzyma półgłosem, złośliwemi przymówkami.

Nikt na nich nie zwracał uwagi.

— Siądźcie cny panie na stole — proponował Szalita — ławeczkę ze świętościami postawimy przy tobie i opowiadaj nam jako się tam dzieje, żebyśmy wszyscy dusze nasze ucieszyli, a do oporu wrogowi chęci nabrali.

— Hej na rękach zanieśmy pielgrzyma!

Bzuciło się kilku ku niemu i mimo protestów schwyliło na ramiona i zanim posadziło na stole, obniosło wkoło izby.

— Przypatrzcie się waszmościowi! Oto ten, co na cuda Najświętszej Panny Jasnogórskiej spoglądał! — wołał Śmiechowski, szlachcie ze Sławoczyna.

— Niech żyje!... niech żyje!...

— Cześć szlachetnemu pielgrzymowi, co przedarł się przez szable i miecze, by otuchę w nasze mdlejące serca wlać!

— Najświętszej Pannie Jasnogórskiej cześć!

— Cześć Rzeczypospolitej! cześć!

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje i panuje król nasz Jan Kazimierz!...

— Aż do dnia jutrzejszego! — huknął Szwem i porwał się do wyjścia.

Za nimi ruszyli Ulmach i Wajgiel.

— Hej kto śmie naszego prawego króla detronizować! — krzyknął Morwa.

— To one pludry!... Trójka sprzedajna, co chyłkiem uchodzi z gospody!

— Zdrajcy!... Heretycy, niemilo im o potędzie Najświętszej Matki Chrystusowej słuchać.

— Zastąpić im drogę! nie puszczać!...

— Stać lotry!...

— Odszczekajcie coście gadali!

— Rajca Szwem jeno na majestat szekał, a poddanie się Szwedowi przepowiadał. Ulmach i Wajgiel milczeli!

— Na szable go! warchoła, zdrajcę!...

— Nie godzien szabli szlacheckiej ten mieszczuch świeżo z popychadła magistrackiego na rajcę wykierowany, kijami go załtuć!

Szwem widząc skierowane ku sobie groźne twarze i liczne pięści, plecami oparł się o ścianę i śmiertelnie pobladła twarz ku nim obrócił.

— Majestatum nie obraził!... Rzeczypospolitej najjaśniejszej złego końca nie życzyłem, a jeśli w odezwaniami moich jakową ubliżę widzicie, kaźcie mnie zamknąć i sąd nademną złóćcie, jak w wolnym kraju przystoi.

— Do karceru z nim! na ratusz!

— Niech odstoi jutro pod pręgierzem, niech wiedzą ludzie, że i rajcowska godność nie osłoni nikogo od kary za ubliżenie ojczyźnie i majestatowi!

— Kto poprowadzi tych trzech na ratusz?

— Upamiętajcie się wiatrogłowy — zawołał Bartłomiej Wendorf, teść Szalicy, najbogatszy człowiek w cechu rzeźników. — Cóż z tego, że ich w ratuszu osadzicie i pod sąd oddacie. Kto pilnuje więźniów w ratuszu?... jakich mamy sędziów, juryistów?... Wszędy Niemcy, heretycy!... Potępiż który onych przestępców za to, że Najświętszej Pannie, a polskiemu królowi urągali?... Uwolnią ich, jeszcze nowemi godnościami obsypią!

— Nie paktować! nie paktować! a rozsiekąć!... Na szablach roznieść!

Nagle małe drzwi boczne rozwarły się z trzaskiem i do izby wpadła Krystka Szalitowa. W jednym mgnieniu oka znalazła się na stole, obok pielgrzyma. Miała na sobie suknię z różowego tyftyku, krótką, odkrywającą zgrabne i małe nogi w ciemkach srebrnolitych, nieco podniszczonych. Na rozwianych włosach czepeczek koronkowy, kwiecistemi wstęgami przybrany. Twarzyczka jej ładna, o dziecięcej okrągłości policzków i zarysie nieco grubych i krótkich ust, miała w tej chwili wyraz gniewny i zadąsany.

— Cichoście! — krzyknęła, tupnąwszy nogą. Cichoście na Boga! Przystoi — li tak zacnej kompanji takowy rwetes czynić, jakby się tu ciury obozowe, tatarzy, alibo i bezbożne Żydy do kupy zebrały? Do moich pokoi przez tyło grube sklepienie on harmider doszedł i dziecka mi pobudził, że płacz we dwoje ucięły, którego ani miodem, ani biciem uspokoić nie mogę! Franek! zwróciła się do męża! Wyproś gości i gospodę zamknij, a komu nocować trza, na drugą stronę proś!

— A to ci energiczna białogłowa! — zawołał ze śmiechem Morwa — tylko patrzeć a chwyci ożoga na małżonka, alibo i na nas.

— Ona już taka z przyrodzenia! — z łumą patrząc na ładną kobietkę, rzekł stary Wendorf. To też mąż ją słucha i szanuje!

Jakoż rzeczywiście imci pan Franciszek Szalita, przed chwilą buńczuczny i

najgłośniej domagający się śmierci trzech oponentów, na widok żony spokojniał zaraz i z zakłopotaniem do niej się zbliżył.

— Tak, jako żywo, serce, zachowaliśmy się krzywe za głośno, ale bo tu pielgrzym z świętych miejsc przybył... O patrz, ile to pamiątek przyniósł — dodał pohopnie, z rozpromienieniem, rad widocznie, że może w inną stronę uwagę żony skierować.

Pani Szalitowa spuściła oczy w kierunku wskazanym przez męża, a spostrzegłszy ławeczkę ze świętościami, wydała okrzyk radosny, przypadła na kolana, głowę wsparła na rękach i wołała z zachwytem:

—Ciewy ludzie!... Dziwy! dziwy!

I wszyscy patrzyli z nią razem, wybierając dla siebie przedmioty i dopraszając się o sprzedanie to tego to owego, lecz pielgrzym uparcie powtarzał, że dla swojej parafji w Pelplinie przeznaczył to wszystko, niosąc wśród tylu niebezpieczeństw.

Szwem tymczasem z dwoma towarzyszami wymknęli się nieznacznie.

## II,

### **W alkierzyku gospody „Pod modrym Fartuszkim“.**

W gościnnym alkierzu gospody w przeciwstawieniu do tego, co działo się w głównej izbie, cicho było i przytulnie. Sześć małych szybek o szkle stęczowanym przez długie lata, sączyło mdle światło, zdolne wydobyć z mroku zaledwie biały komin, złote ramy dwóch zezerniałych obrazków,

wiszących ponad nim i białą postać kobiety stojącej przy oknie. Ktoś coby obrzucił jednym spojrzeniem całe to wnętrze mógłby myśleć, że kobieta monologuje, lub prze mawia do wytworu własnej wyobraźni, gdy tak niskim, miękkim głosem mówiła pie- ściwie:

— Mily, zali zawdy wyglądać mam cie całe dnie, by cieszyć się tobą godzinę? Za- li ci tam towarzysze bojowi, szcęk i gwar bitwy milejsze, niż żony osoba, dziecka szczebiot, nasze pieśszoty?

W ciemnym kącie, między łóżem a sto- jącą zczerniałą przez lata policą, ktoś się poruszył, wyciągnął ramiona i założył nad głowę, aż rozległ się chrzęst stawów rąk, co się splotły w jakimś nerwowem zaci- śnięciu.

— Zośka!

— Co, cheesz, miły mój?

— Zośka, zamilcz, na Boga zamilcz! Ileć razy mówił ci ja, jakowe pericula trzymają mnie tak wśród walczących. Toć nas, prawych katolików i wiernych ojezy- zny synów z każdym dniem mniej. Hen- schel najniebezpieczniejsze stanowiska wy- znacza; p. Ładzińskiego dragoni, że to do prymasowskiej chorągwi, konsystującej w Gnieźnie przynależący, posłani byli na mu- ry przy Chełmińskiej bramie, wprost pa- szczy wielkich armat generała Mardefel- da i zginęli co do jednego. Pana Cewskie- go pacholki, Bejdy, kuśnierza czterech sy- nów i ojców dominikanów nowicjusze od tygodnia trzymają straż między bramą za-

konnie a Mostową i też niema dnia, żebyśmy jednemu z nich ziemi na oczy nie sypali. Ale panowie rajcy, ale panowie cechowi i ich czeladź w bezpiecznych kątach, a w ciepłych kordygardach siedzą, w kości grają, wina spijają, nie pomni....

Potężny grzmot dział wstrząsnął powietrzem, jakiś sypiący się w pobliżu mur odpowiedział przeciągłym echem walących się kamieni.

W izdebce rozległ się krzyk dziecka.

— Cicho, Jasieńku, cicho mileńki.

Młoda kobieta zbliżyła się do łóżka, które zabieliło się w tej chwili białością pościeli, z pod opadłej na ziemię futrzanej oponczy. Szepcząc jakieś pieśczętliwe słowa wzięła na rękę dwuletnie dziecko i tułąc swą bladą twarz do jego rozgrzanej, rumianej twarzyczki, wróciła na swe miejsce pod oknem.

Stał już tam mąż jej, którego okazała postać zarysowywała się silnie na tle szymbek.

— Spocznij, Zośka.

Podsunał jej niski fotel, obity obdartą skórą i z widoczną lubością patrzył na jej drobną główkę w wianku płowych włosów, na jej twarz o rysach delikatnych a pełnych wyrazu. Podał dziecku rogową tabakierkę do zabawy i ciągnął z widocznym przygnębieniem:

— Jest nas tak niewiele, którzy wierni jeszcze służbie najjaśniejszej Rzeczypospolitej pozostają.... Ale bo i skąd brać!...



— Między kupcami siła ludzi prawdziwie Polskę miłujących.

— Tak, ale cechy niemieckie i luterskie. Toć oni, nie kto inny, nasze piękne katolickie kościoły na swoje kirki pozamieniali.

— Czemu zasie Polaki rzemiosła się nie imali; cechy na łup Niemców zostawili?

— Mówisz tak, jako każda białogłowa rzeczy nie świadoma. Atoć od kilkudziesięciu lat protestanci jeno w mieście rządzą, a że świadomi są jako każdy Polak jest zarazem gorliwym katolikiem, przesładują naszą kochaną narodowość, zarówno jak religję świętą, katolicką. Toć r. 1608 toruńska Rada miejska wydała rozkaz, aby *extraordinariis tibus de causis* \*) nie dopuszczano więcej jak 6 mistrzów Polaków w cechu krawieckim, r. 1616 dozwolono cierpieć ich zaledwie 5; r. 1611 zabroniono kapelusznikom przyjmować chłopców innych, jak niemieckiego pochodzenia!

— A król? a senat? nie protestowały onym nadużyciom?

— Król Zygmunt III, choć żarliwy katolik, więcej o ugruntowanie swej dynastji na dwóch tronach się kłopotał, aniżeli o to, żeby się poddanym jego, prawym katolikom krzywda nie działa.

— Papu, mama, papu! — zawołało dziecko.

— Jasinek głodny, trza go lemieszką znów nakarmić.... Jest gotowa, w rynce na kominie.

\*) z bardzo ważnych przyczyn.

— I ja głodny, jako wilk w najśroźszą zimę; matka mnie nie pożywiła inaczej jak lzami a skargami swojemi.

— Bo dusza we mnie płacze, skoro przy szedłszy po kilku dniach niebytności zaraz powiadasz: nocą znowu wyciągnę.

— Cheesz, abym omdlał z głodu a przy tobie ostał? A ja za pomocą Pana Jezusową a Maćkową i tak wyżyję. Chodźwa do izby na wieczerze.

— Tam pewnie siła ludzi, i znowu zaczęną klótnię, a bójki.

— O tej porze już wszystkie haraburdy odeszli; jedni na mury, inni na wywczas... Słyszysz, ledwo jakichś dwojga ludzi ze sobą rozmawia.

— To pójdę z tobą, jeno czepek przywdzieję....

— Nie chowaj złotości, w które cię Bóg przystroił pod czepec.

Szorstką dłonią pogłaskał ją po jasnych włosach.

— Bez czepka nie przystoi zameźnej białogłowie. Postawiła chłopczyka na podłodze i otworzywszy lubiane pudło wydo była zeń maleńki czepeczek z brokatu błękitnego, przetykanego srebrem i otoczonego cudną, brabancką koronką. Przywdziała go przed małym zwierciadelkiem w mozaikowej ramce i z zalotnym uśmiechem zwróciła twarz do męża.

— Chociam w czepcu i tak psy na mnie nie będą wyły.

Wzięła dziecko na rękę.

— Co ty z małym chcesz iść na wieczere?

— Przecie go nie ostawię samego.

— Zawołaj Tereskę.

— I przy Teresce będzie płakał za mną.

— Rozbisuremanilaś śmierdziucha, a teraz pokutujesz za to.

— Pokutuję?... Przecz?...

— Bo go musisz wszędy za sobą włożyć.

— Mnie bez niego niema szczęścia, ani zabawy.

— Weź przynajmniej Tereskę do izby; niech choć bawi dziecko. Gdzie ona?

— Pewnie jak zwykle zasnęła w kącie.

— A przecie, leży tu na tobołach.

— Tereska! Tereska!

— Co zaś!... Ją armatni pocisk w pobliżu wybuchający nie obudził, a myślisz, że ty ją zawołaniem porwiesz na nogi!

Zbliżył się do stosu pościeli, leżącego w kącie, na którym spoczywała tęga, szesnastoletnia dziewczyna, dźwignął ją pod ramię i postawił na nogi. Dziewczę kiwnęło się naprzód, tak, że musiał ją podtrzymać, potem zatoczyło się, padło na wznak na pościel i chrapnęło donośnie. Śmiejąc się młody człowiek zbliżył się do okna, wziął z niego karafkę i chlusnął wodą na twarz śpiącej. Porwała się z krzykiem.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja go chwale! Weź dziecko i chodź na wieczere.

— Poglądź włosy, odezwała się pani Zofja, żeby zaś ludzie się nie wystraszyli, żeś upiór, albo pokutująca dusza.

W izbie gospody rzeczywiście było już tylko dwóch ludzi, siedzących przy gąsior-ku miodu: pan Prot Śmiechowski ze Sławoszyna i pielgrzym z Pelplina.

— Czołem waszmościom — rzekł, wchodząc nowoprzybyły.

— Czołem odpowiedzieli obaj.

— Tuszę, że z szlchetnego rodu synem mam do czynienia — dodał pan Śmiechowski.

— Jestem Roman Łukasz, dwóch imion Obertyński... Jastrzębiem się pieczętuje.

— Prot Śmiechowski, herbu Grabie, pan na Sławoszynie, Parczycach i Odargowie.

Pielgrzym podniósł się także, potrząśnięciem głowy zrzucił z niej kaptur i okazała się twarz czerniawa, chuda, otoczona zaniedbanym zarostem, wychylająca się ze szmat zbrudzonych kurzem i potem, ale uczciwa i mądra.

— Witam cię, siostrzanie miły! — zawołał wyciągając dłoń ku Obertyńskiemu... Nie poznajesz wuja? Także mnie dziesięć lat i one lachmany zmieniły?

— Głos waćpana odnajduję w pamięci, ale do czyjej osoby jest on przynależny nie pomnę.

— Czyżby cię świętej pamięci twój rodzic niedość genealogji familji Obertyńskich przyuczył, że ci tak trudno wszystkich twych wujów przywieść na pamięć, a

nieznajomego między znajomych postawić?...

— Doprawdy trudna to trochę sprawa, bo... dawno już rodzicielski dom opuściłem, a...

— Snać rodzic ci ad intenda nie wyliczył na odchodnym tylu plag, ilu masz krewnych przy życiu będących, bo byłbyś zapamiętał przecie.

— Znam wszystkich czterech rodzonych matki mojej, co jako Łętowscy Slepownem się pieczętują i dwóch pokrewnych rodzica, takż Obertyńskich, ale herbu Łodzian... Chyba Jazłowiecki?...

— Chyba Jazłowiecki?... A co pomnisz o Jazłowieckim?

Obertyński oczy przymknął, chwilę milczał, potem rozłożył nagle ramiona.

— Cisawy ogier w uprzęży turkusami sadzonej! I zwałił się do nóg nędznemi szatami okrytego pielgrzyma. Ten pochylił się nad nim, przycisnął do piersi i długo trzymał w uścisku.

— Nie odstraszyły cię łachmany one od powitania przyrodniego brata rodzica twego, jak przystało witać tego, w czyich żyłach taż krew mateczyna, co i w twoich płynie?

— Wuju drogi, niechby mnie na pal wbili, gdybym zapomniał łask twoich!... Ale ten cisawy konik, którego dwunastoletniemu chłopcu zachciało się jak Sakramentu umierającemu grześnikowi!... I ty wuju milowałeś onego konisia, ale że Romek zechciał, nie wahałeś się oddać mi go

i drogocenną uprząż dołączyć.... Ale skądże w tak lichym widzę cię stanie?

— Czy ci nowina, jak to czasu wojny różnie bywa?... Z Częstochowy przez kraj zalany mrowiem wrażym się przebijam. Ale skąd ty tutaj z kresów Rzeczypospolitej przybyłeś?

— Amor mnie tu przywiódł, Amor niecnota.

— Opowiadaj, jako to było?

— U pani Herburtowej wojewodziny była panna na respekcie, nawet trochę należąca do twojej krwi wuju...

— Zatem do naszej!

— Nie, bo z rodzicielem twoim spokrewniona, panna Zofja Pawelska....

— Jana Nepomucena, referendarza córka?

— Jako żywo.

— Krewna mi i bliska! Siaki taki posażek mieć musiała?

— Było dosyć grosza na ewikcji u pana wojewody, ale prima causa mojej miłości była własna jej osoba, takie to było słodkie i gładkie i kochane.

— Nieborak Jan Nepomucen Pawelski dawno został usieczon przez Turków, gdy w kompucie pomorskim aż pod Lwów się wyprawił, ale o ile wiem wdowa po nim, imei pani Pawelska, urodzona Zyniczówna w dobrach swych wedle Kościerzyny ostala i weale politycznie gospodarzyła.

— Tak, ale córkę pierworodną, skoro dorosła, do pani wojewodziny aż pod Bracław odesłała, żeby zaś z oczu niejakiemu

Albinowi Urfeldowi zesła, który choć nikczemnie urodzony, miłością występłą do panny referendarzówny zapłonął i nią mimo multa adversa dziewczę prześladował.

— Wybaczcie waszmościowie, że wasz poufały dyskurs przerwę na chwilę, odezwał się Śmiechowski, ale jestem utrudzony wielce i chcę na spoczynek się udać. Jak to już słyszał imci p. Jazłowski od naszego gospodarza oberża zajęta gościami od alkierzy po poddasze, nam tu słoma nakryta kilimami za łożnicę ma służyć. Dlatego z punktu pytałem pana Obertyńskiego czy z urodzonym mam sprawę, chciałem bowiem mu przedłożyć, że w braku pomieszczenia może lec z nami pospołu.

— Bóg zapłać waszmości, panie Śmiechowski, ale ja tu od dziesięciu tygodni z żoną i dzieckiem zamieszkuję w osobnym alkierzu, bo nas ono nieszczęsne oblężenie w drodze do Kościerzyny, do żoninej matki, zaskoczyło.

— Śpi już twoja małżonka? — zapytał Jazłowski?

— Nie, zaraz tu przyjdzie, dziecko się tylko rozgrymasiło, gdy tu już iść miała, więc chciała je wprzódzi nakarmić, i do snu ułożyć. Ale otóż i ona. Bywaj tu, Zosieńko, a uściskaj kolana mego wuja i dobrodzieja.

Zofja z pewną nieufnością na nędznie ubranego człowieka spojrziała.

— Niech cię nie odstraszą lachmany, przygodne to tylko szaty, kryjące najzaniejszego czleka i przedniego obywatela.

— Pójdź w me objęcia, Zosieńko, boś mi podwójnie spokrewniona, jako, żem rodzicowi twojemu cioteczny, a i mężowskiego rodzica brat przyrodni... A teraz siadaj naprzeciw i niech ci się napatrzę... A nie spuszczaś tak onych modrych ślipiąt skromnie!... Jak mi Bóg miły niewiasta jak kukielka z farfuru, najpiękniejszej roboty i do mojej Magdusi podobna.

— Magdusia!..—zawołał rozpromieniony pan Roman — pamiętam!... Starsza odemnie rokiem była. Pewno teraz już jakimu zacnemu mężowi zaślubiona?

Jazłowickiemu twarz spochmurniała; czoło nad stołem pochylił.

A zaślubiona... zaślubiona... Bóg ją między swe oblubienice powołał.

— W klasztorze?

— Tak, u benedyktynek.

— Zali trzeba tem się smucić, że Bóg kogoś świętem natchnieniem zaszczycił?

— Tak, wiem, że to splendor jedyny, jakim białogłowa może się odznaczyć. Ale mi luto, bo była mi ostatnią, gdy cztery młodsze w ciągu niedługich lat w ziemię złożyłem.

— Biedny!... — wyrwało się z ust Zofji.

— Tak, masz rację, biedny jestem, samotnik na starość; w modlitwie jeno a w pielgrzymkach do cudownych miejsc w kraju naszym, to do Rzymu, to do Ziemi Świętej...

— Aże tam!?

— ..... pociechy szukałem. Ale dziś, gdy Bóg mi pozwolił was odnaleźć, coście



mi krewni oboje, to tak jakbym dzieci odzyskał!

— Bądź tego pewnym, wuju miły! — zawołał z zapalem pan Roman.

— Będę się trzymał waszych person i żył waszem szczęściem... Bo wszak jesteście szczęśliwi?

Blyskawicznie wymienione przez Romana i Zofję spojrzenie, pełne bezgranicznego uczucia, było najlepszą odpowiedzią.

Zapanowała chwila milczenia. Jazłowiecki obejmował spojrzeniem tę dorodną parę, tętnącą młodością, siłą i szczęściem i zdawało się, że rzeczywiście wchłaniał w siebie część tych atrybutów, tak niezbędných do życia.

Po chwili odezwał się pan Roman:

— Ja chwilami aż boję się swojego szczęścia, boć ta nasza ziemia nie bez kozery doliną łez się nazywa, a ja od trzech lat żyję szczęściem bez chmury. A los zawistny bywa czasem człowiekowi.

— A los zawistnym bywa, — powtórzyła, jak echo, pani Zofja i pobladła.

### III.

## „Toruń padł.“

Wiesć, że do gospody „Modry Fartuszek” przybył pielgrzym, podążający prosto z obleżonej Częstochowy, że pielgrzym ten jest możnym panem, dziedzicem dóbr pelplińskich, lotem ptaka rozeszła się po mieście. To też od wczesnego rana gospoda zaczynała zapełniać się różnym ludem; podążała bogata szlachta, co ze spalonych dworów i zamków, leżących na szwedzkim

szlaku, za mury Torunia się schroniła; biegli mieszczanie, ci których myśl i serce w stronę Jasnej Góry pełne niepokoju i nadziei się zwracały; gromadziły się kobiety, tuląc w dłoniach pieniążki srebrne i miedziane, kombinując jaką pamiątkę uda im się za nie kupić; wpadały przedewszystkiem dzieci, aby niebawem opuścić gospodę w rozezarowaniu, że pielgrzym niema ani brody do ziemi, ani kaptura na głowie, ani różańców mnogich na sobie, ale przedstawia się tak, jak każdy inny podróżny, jeno widocznie mocno utrudzony.

Pan z Pelplina, widząc się otoczonym liczną gromadą ludzi, z których pytań łatwo poznasz, że ich nie pusta ciekawość przywiodła, ale chęć podźwignięcia ducha i przeświadczenie o łasce Boskiej, która chce czuwać nad narodem, pomimo zdrad Radziejowskich, Opalińskich i Radziwiłłów, pomimo małoduszności tysięcy, co kraj bez boju, bez oporu na łup wrogowi wydawali; wobec przejawów takiego poważnego zainteresowania rad opowiadał o tem, czem własne oczy napasł. Jak to kilkudziesięciu mnichów, garść szlachty i 250 rycerzy z panem Piotrem Czarnieckim, walczy zaciekle i nie wątpi, że z pomocą Najświętszej Matki wroga w święte progi nie puści. Jak to ks. Augustyn Kordecki wśród gradu kul stoi, swym białym habitem i nieustraszonem męstwem świeci przykładem, a otuchę w najtrwożliwsze serca wlewa. Jak to procesje z pieśnią pobożną, przy muzyce dział, wały i mury

warowni wkoło obchodzą, a Marja Panna w cudownej Swej łasce raz po raz oczom śmiertelnym się zjawia, aby zaś o opiece Jej nikt nie wątpił.

A gdy tak opowiadał pelpliński pan, serca były otuchą, oczy pałały, ręce ścisnęły się modlitewnie, a od czasu do czasu jakiś niedający się opanować, prędko stłumiony, szloch kobiecey nad głosem opowiadającego zapanował.

— Dziwy, dziwy, nieledwie nie do wiary wasza miłość opowiada — mówiła drżącymi ustami pani starościna Leśnierska, której dobra, Raduń i Leśno, Szwedzi spalili, a męża jej usiekli. — Gdy się tak słyszy jako to Boska moc w najcięższych przejawia się perypetjach, nie żal człekowi alibo i białogłowie, jako ja, tych dni ciężkich, tych strat krwawych, tych tęskliwych po austerjach godzin. Inszy od dziesiątego i setnego usłyszysz, inszy w księgach przeczyta i może zgoła temu nie da wiary, a oto ja wątpię żadnych mieć nie mogąca jestem, skoro godny człowiek i katolik prawy to mówi, i jako pierwsze Chrystusowe apostoły powiada: widziałem!

— Na miły Bóg — krzyknął Łukasz Konewka, ławnik szanowany powszechnie — nie o sentymencie tu idzie, ale o ono serce ludzkie zahartowanie. Znam Jasną Górę, wiem, jak słaba to warownia, jak brak jej przyrodzonych warunków ku temu, aby potężnemu wrogowi stawić czoło mogła. A jednak broni się, wierzy że periculum oym sprosta i ostać się, ostoi na Bo-

gal... A my tu torunianie!... Popatrzmy na to miasto nie przez umysłu naszego wdziała, ale mężnego serca jasnymi oczyma. Uprzytomnijmy sobie te mury śmiałą ręką krzyżaka stawiane, które, dokoła jako hartowny pancierz miasto opasują! Uprzytomnijmy sobie te liczne wieże i znakomite ich w działa i prochy zaopatrzenie! A nadewszystko, łaską Boską dane nam zabezpieczenia: te dwie rzeki, gotowe w każdej chwili stać się wilgotnym grobem dla rot nieprzyjacielskich; nasza Wisła kochana, rzek królowa, co nas i żywi i broni i rozlewista Mokra, co już 1629 r. tyłu Szwedów w swych grząskich brzegach zakopała,

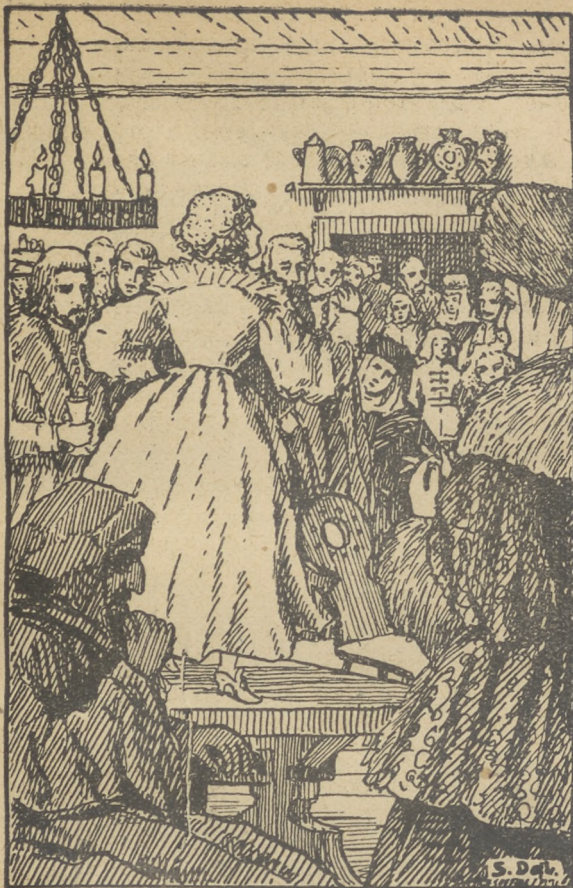
— Ach r. 1629!.. ten cudny, cudny dzień 16 lutego... — westchnął rozmarzony Bartłomiej Wendorf. — Mróz był, że wrony marzły w powietrzu, ale słońko jaśniało wspaniale, snąć rade było popatrzeć jak psubraty Szwedy precz uchodziły ze wstydem i w popłochu.

— Ja urodziłem się w tym dniu! z dumą zawołał Franciszek Szalita.

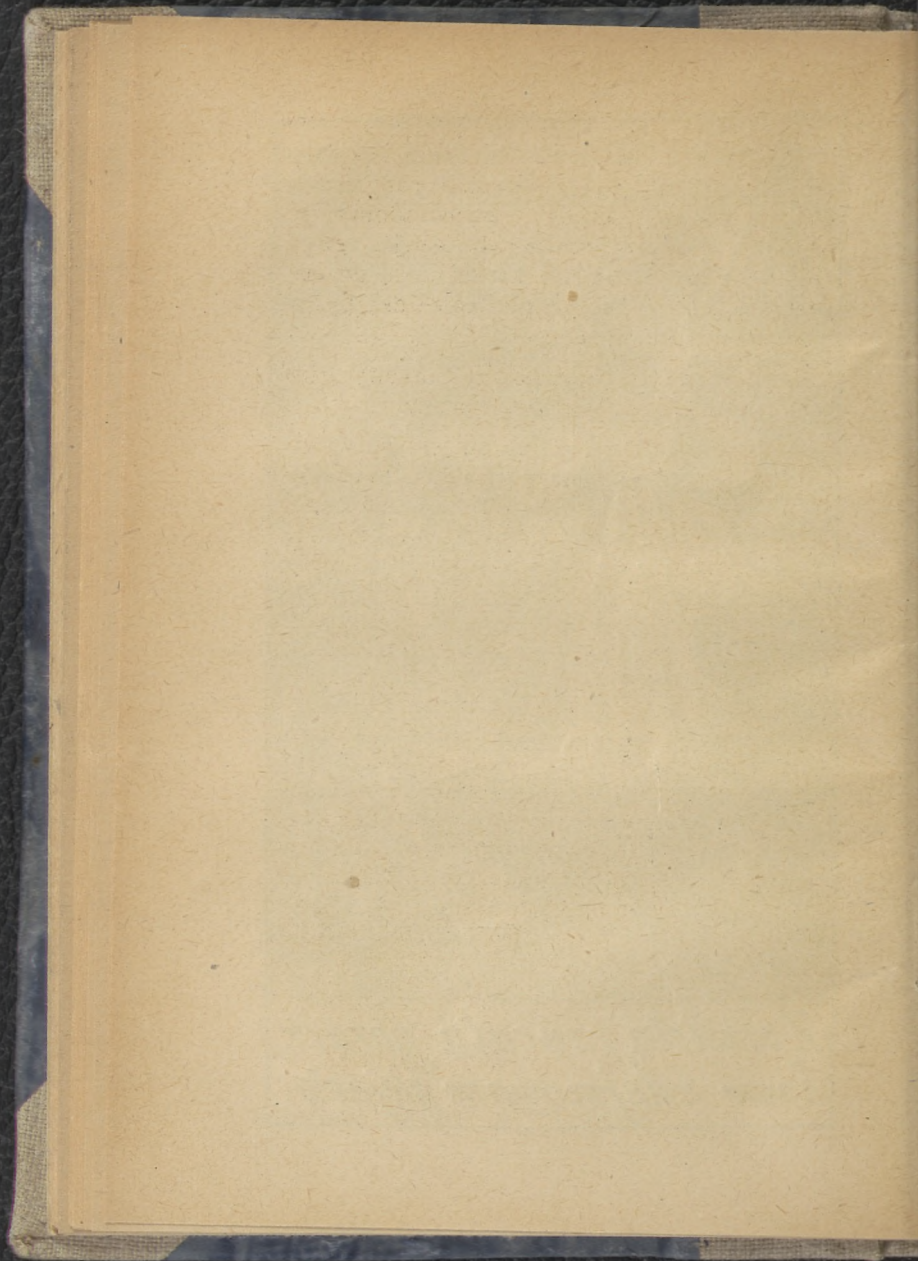
— Król miłościwy za tę obronę dzielną od wszystkich podatków za czas wojny Toruń uwolnił!

— Wszyscy królowie polscy przywilejami pruskie miasta darzyli, a od krzyżackiej i niemieckiej pięści bronili, jako ojciec dzieci swoje bronią.

— To my tera, gdy król w opresji, bronić jego persony powinniśmy.



Z prostotą rzucała gorącz  
kowo zdejmowane klejnoty.



— I nie oddać miasta!

Każdy coś od siebie dorzucal, każdy swój sentyment głośno wyrażal, rad, że mu nikt nie przeczy, śmiały, bo świadomy, że cała kompanja jednakowo czuje, gdyż Niemcy i luteranie nie kwapili się do gospody, w której pielgrzym katolicki był w onej chwili pierwszą osobą.

Nad wrzawą zapanował potężny głos pana Ciecierskiego z Wąbrzeźna:

— W terminach. w jakich jesteśmy, widzą t a n t a m n e a s s i t a t e m konfederacji, która jest e x t r e m u m r e m e d i u m; konfederacji, która się opowie przy najjaśniejszej Rzeczypospolitej; przy dostojęństwie króla.

— Jako żywo! dobra rada! konfederujemy się!

— Mości panowie — odezwał się Wendorf — dajcie słówko rzec staremu mieszczaninowi, osiadłemu tu z dziada, pradziada, który swoje miasto zna i miluje! Jakowyż profit z naszego konfederowania? Kto na to patrzył będzie? Kto w naszym Toruniu burmistrzem? Niemiec! Kto rajcy?... Niemce!... Ławnicy — Niemce!... A Niemcom zawdy luterski Szwed bliższy.

— Nie można tak mówić — zaprotestował Konewka. — Jest nas kilku Polaków ławników i w Radzie między Niemcami nie brak takich, co rozumieją, że tylko z polskimi królami cichość i przezpieczeństwo.

— Byle garść nas przy uczciwej sprawie stała to potrafimy i innych przekabacić!

— Najgorszy burmistrz Nowego miasta on gotów i na własną rękę ze Szwedem się zwąchać, a wszystko dla onego złotka, co może spaść do trzosa.

— Ja sam świadkiem jestem listu, co imci pan burmistrz pisał do Radziejowskiego.

— Trafil swój na swego!

— Przechery!

— Burmistrz, choć głowa miasta, nie może przecie nas na własną rękę zaprzedać... A wiem od pana Grudki, jako z nim też nie mówiono o projektach oddania miasta — mówił pan Konewka.

— A mówił waszmości imci pan Grudka, jako tej nocy panowie rada tajnie, same Niemce się zebraли, a wiecowali do białego dnia, — szyderczo patrząc mu w oczy, odezwał się mistrz rymarski, imci pan Krzysztof Stam. —

— Co? co? Pominęli nas, rajców? Ubliga oczywista!

— Nie baczyłbyś waszmość na prywatę... Niech was lepiej głowa zaboli o to, co mogli radzić.

— Oczywista, że nie w innej materji, jako w onej, aby miasto zaprzedać za złoto, które pan burmistrz i rajcowie Niemce otrzymają.

— Pod miecz katowski takowych!

— Rozsiekać! na szablach roznieść!

— Niech dadzą gardła!



— Pozwólcie, waszmościowie!... Miłościwi panowie, szlachta bracia, i mieszcza-  
nie godni, słówko chcę powiedzieć! — u-  
siłował zapanować nad gwarem miękki,  
głos kobiecy!

— Uciszcie się waszmościowie! starości-  
na Leśmierska mówić życzy!

Przycichli zaciekawieni.

— Jeśli owej zdrady chęć zysku głó-  
wną sprężyną — zaczęła p. Leśmierska za-  
kłopotana i zarumieniona jak młode dziew-  
cze — to złoto złotu przeciwstawić! Niech  
od nas co wiernie przy ojczyźnie i majesta-  
cie stoimy, a bliżej ich jesteśmy, dostaną  
bez kłopotu i grzechu bogactwo, po które  
sięgają daleko i z zatracenia duszy niebez-  
pieczeństwem... Com wyniosła czerwo-  
nych złotych przy fortuny zmianie, chętli-  
wie na ołtarzu ojczyzny położyć!

— Dobrze! dobrze! — wykrzyknęła  
Szalitowa i wrodzoną żywością powodowa-  
na, już skoczyła na ławę.

— Oto łańcuch dużej ceny, patrzcie jak  
ciężki, oto kolce turkusowe, bierzcie to!...  
Niech przy dukatach miłościwej pani się  
znajdą!

Z prostotą, jakby szło o orzechy, rzu-  
cała klejnoty, gorączkowo zdejmowane z  
szyi i nszu.

— Na miłość Boską, Krystka, zezwolił  
ci to małżonek, to wszystko...

— A cóż ojeze, nie prawy to on Polak?...  
Żeby inaczej myślał, nie puściłabym go już  
więcej ku sobie!

— Moje klejnoty oddam też chętnie  
— nieśmiało po cichej wymianie kilku  
zdań z mężem, odezwała się pani Obertyńska!

— Niech żyją nasze białogłowy! Zai-  
ste piękny przykład nam mężom dały! Nie  
zginie kraj, co ma takie niewiasty! Nie  
padnie miasto! Gdy my krwie nie skapi-  
my, niech kobiety swe bogactwa oddają!

— My i bogactwa i krew oddamy —  
zawołała Szalitowa. Małoż było białogłów  
na wałach czasu pierwszej wojny szwedz-  
kiej?

— Nie dajemyż to dzieci naszych, krew  
krwi naszej! — odezwała się rajczyni Ko-  
newkowa.

Krystce Szalitowej za nisko było na ła-  
wie, skoczyła na stół, bębniąc w cynową  
miskę energicznie.

— Proponuję waszmościom, aby obrali  
dwie białogłowy i ze dwóch mężów zaufa-  
nych, kilku pacholków orężnych przydali  
im ku obronie i niech idą na miasto od do-  
mu do domu, od kramu do kramu, żebrząc  
na obronę grodu.

— Dobrzeście rzekli, pani Szalitowa,  
niech każdy da co może!

— O wtedy nie tylko Toruń, ale całe  
Prusy Królewskie od Szweda wykupimy!

— To nie traćmy czasu!... Kto pójdzie?

— Szalitowa, gdyż to jej pomyslenie!

— Pewno, gładka na gębie i śmiała, już  
ona potrafi się dopomnieć.

— O i z gardła wydrzeć potrafi!

— Nie inaczej, a gdy nie pomoże prośba to i pięścią przygrozić potrafię!

— Jakże ci Krystyniu iść — nieśmiało odezwał się Szalita — Dziecka płakać będą.

— To i co! Lepiej niech dwa śmierdziuchy płaczą za matką, niż całe miasto za ojczyzną.

— Pawelek pierś jeszcze potrzebuje.

— To mu palec w gębę włożysz!

— Nie dworowałabyś, gdy ja serjo mówię.

— O rety nie ma to matki, Zofki i krowy u nas? We trzy do kupy dadzą radę niemowlęciu.

— Nie ma co gadać, idziecie pani Szalitowo?

— A z nią panią Leśmierską doradzam.

— Zatem dwie niewiasty mamy!

— Piękne to, — odezwał się wzruszonym głosem Bartłomiej Wendorf, — że kobiety dwóch stanów pójdą na oną służbę ojczyźnie ręka w rękę, pospołu. Pani można i mieszcanka prawa...

— A kto z mężczyzn? — przerwał mu Krzysztof Stam.

— Ja proponuję pana pelplińskiego.

— Obcy tu jestem, nie znają mnie zgola.

— Tak niech idzie pan ławnik Konewka i Bartłomiej Wendorf.

— Wendorfa nie radzę, bo to tak jakby ojciec córkę po jarmarku prowadzał.

— Jabym też nie szedł, toć ledwo kula-  
sy włóczę i doradzam kogo z kupieckiego  
stanu.

— Radzę Osterwicza, bogacz i wszyscy  
go szanują.

— Ale Matzke się pisze!

— To i co! rodziciele i maitanka i tak  
Maćko go doma wołają!

— Niema co czasu na przebieranie tra-  
cié!

Niech idą: Orwicz i Konewka.

— A pacholków zbrojnych może i za  
pana Wachschlager dodać, albo i pau rot-  
mistrz Ładziński.

— Nie traćmy czasu! chodźmy!

— Ocalimy miasto!

— Ocalimy Królewskie Prusy! królew-  
ski majestat!

— Nie dany Torunia.

W tej chwili huknął strzał armatni; nie  
od obiegających on szedł, strzał bliski,  
krótki, jakby pustym ładunkiem dany —  
wiwatny strzał! za nim poszedł drugi, trze-  
ci, czwarty. Jednocześnie rozległy się  
dzwony; jęczał głucho, ponuro „św. Jan”,  
roznosiły się radosne, w pieśń uderzane,  
św. Jakóba dzwony.

Pobledli obecni. — Co to? — przeszło  
wśród nich ciche pytanie, naprzemian na-  
dzieją i trwogą nabrzmiałe.

Nagle do izby wtargnęło kilkunastu  
wyrostków!

— Szczęście! szczęście! — wołali, jedni  
po polsku, inni po niemiecku. — Już po  
obleżeniu!

— Co?... odeszli Szwedzi?

— Nie wiemy!... Ale lud od Mostowej bramy krzyczy: Już po oblężeniu! już po biedzie!

— Miałżeż Bóg za samą intencją naszą nagrodzić?... Chybać Szwed odstąpił!

— Orszak jakowys wspaniały od Mostowej bramy ciągnie — wołał jakiś mężczyzna, wsunawszy głowę o rozwianym włosie w drzwi gospody.

Porwali się wszyscy i przed gospodę wylegli. Na tle ubielonych ścian domu i całunu śnieżnego znaczyli się barwnymi strojami, wśród których nie brakło drogich aksamitów i wzorzystych brokatów, choć dzień był powszedni.

Ku nim ciągnęła druga, barwna, ruchoma kolumna; przodem jechali burmistrzowie starego i nowego Torunia, za nimi oddział zaciążników, na przodce przebranych w żółto-czerwone stroje, aby jakiś poczet reprezentowały, dalej muzyka z trąbitów i doboszów złożona, za nimi długi szereg szóstkami zestawiony ludu rosłego, ubranego w grzebieniaste helmy z czólnami zachodzącymi na uszy, w żółte, skórzane kaftany i buty kolisto odłożone; pierwsza kolumna zbrojna była w rapiery i muszkiety, druga jeżyła się włóczniami. Między pierwszą a drugą jechała zlocista, poszóna karoca, w niej generał Mardefeld, obok otyłego w czerwony aksamit strojnego Radziejowskiego.

— Szwedzi! — biegł przed nimi pomruk ludu, najeźściej groźny i ponury, zrzadka tylko radością nabrzmiały.

— Toruń padł!

— Toruń wzięty!

— Nie wzięty!... Oddany!...

Pani Zofja Obertyńska stała przy mężu swoim, blada i drżąca, tuląc się gorączkowo do jego ramienia.

— Boże! Boże! tegośmy dożyli — szepiała zbielełymi usty.

— Zdrada, wszędy zdrada! — biadał Obertyński półgłosem, niepewien już i najzarliwszych zwolenników oporu Torunia odkąd Szwedzi wkroczyli do miasta.

— Patrzcie, w tej karocy, on ten judaszowski wnuk, zdrajca Radziejowski, — szepnął jej w ucho, stojący obok pan z Pelplina.

— Jak on śmie z uśmiechem na ludzi oglądać! On, którego głowa tyłu przeklestwy obarczona!

— Patrzy, uśmiecha się i kłania tym co krzyczą jak szaleni: Niech żyje Karolus Gustavus rex!... Ten motloch sądzi, że to sam król, bo w purpurę strojny, a on w rzeczy jak każdy oficer niższej rangi się przedstawia, w skórzanym kaftanie i kolistym kapeluszu.

— Który to?

— Przejechał już dawno na czele muszkieterów!

— Nikt mu nie wiwatował!

— Nie sponowali, że to królewski majestat.

— Romku, patrz! on!... — szeptem pełnym nieopisanego przerażenia syknęła w tej chwili Zofja.

— Kto?

— Urfeld!...

Śmiertelnie bladą twarzą wskazała jadącego z brzoza w grupie przedniejszych mieszczan, którzy z różnych grodów w poczcie sprzymierzeńców Karola Gustawa jechali, młodzieńca lat dwudziestu kilku na pięknym, jabłkowitym arabie. Ubrany był w kaftan z łosiowej skóry, który szeroko rozpięty na piersiach, odsłaniał żupan z zielonego jedwabiu, złotemi, ażurowej roboty guzami przybrany. Twarz miał okrągłą, rumianą, jasnym zarostem otoczoną. Jechał, rozmawiając z Hermanem Buchowem i spoglądając na dach góspody, przy szczycie bowiem barokowego frontu kilku śmiałych pacholików się czeptało, żartobliwe uwagi o wjeżdżających czyniąc. Nagle, jakby magnetyczną siłą oczu Zofji pociągnięty, opuścił twarz i jednym wejrzeniem objął całą jej postać.

Rozpromienił się. Grube jego wargi w uśmiechu radosnym odsłoniły białe, zdrowe zęby, zrobił przytem ruch, jakby chciał z konia zeskoczyć, ale że uderzony chwilowem zatrzymaniem koń jadącego za nim pana Teodorusa de Kostencin, potracił łbem zad araba Urfelda, który wspiał się i stanął dęba, jeździec, energicznym ruchem ściągnął go i znowu twarz zwrócił na Zofję, tym razem już na dłuższą chwilę, przez którą mógł stwierdzić, że przez mi-

nione trzy lata jeszcze wypiękniała, że twarz jej na jego radosny uśmiech i polityczny ukłon odpowiedziała martwą przerażenia i że oto całą postacią tuli się do stojącego przy niej wykwintnego mężczyzny, tak jak w Polsce publicznie tylko żona do męża tulić się zwykła. Więc twarz jego z promiennej stała się groźną i ponurą; odjeżdżał wraz z innymi, ale aż do zakrętu ulicy Podmurnej patrzył na nich i coraz lepiej rozumiał, że oto tam przed gospodą „Modry Fartuszek” stoi ona, umiłowana jego, a nie jego, prawa małżonka, snąc możnego pana, który ma za sobą prawo męża i siłę „dobrze urodzonego”.

— Czego drżysz, jako mdła ptaszyna. Zosieńko? — zapytał pan z Pelplina. — Żal ci, że Toruń padł?... Wola Boża, padnie jeszcze z miast niejedno, a Częstochowy nie wezmą, a gdy z pod jej murów wróg odstąpi, pójdzie po kraju wieś, co może garść ludu, o gorącym i mężnym sercu. I wtedy nastąpi odrodzenie.

— Zosia ma dziś osobisty niepokój. W orszaku nieprzyjacielskim jechał Albin Urfeld, syn burmistrza z Kościerzyny, który na nią, szlachciankę śmiał atentować.

— Wiem, mówileś mi wczoraj o tem; wedle tego Zosię na Ukrainę wywieziono, gdzie ty ją poznałeś.

— Jest to c a u s a, dla której powinniśmy szanować i kochać pana Urfelda, ale Zosia...

— Boję się jego zemsty — wyszeptala.



— Ach, dziecinne obawy, co może taki mieszezuch wobec nas, którzy...

— I za co miałby się mścić — wtrącił pan z Pelplina — małoż dziewczek wychodzi zamaż, pozostawiając za sobą zastęp wielbicieli, którzy muszą schować dudy w rękach i za innymi pannami oglądać.

— Tak, ale on obiecał się pomścić!

— Każdy obiecuje.

— Ale on ma za co mścić się.

— Przecz?

— Bo gdy nieproszony na pokoje pani wojewodziny wtargnął, wojewoda kazał go hajdukom wyprowadzić, a gdy przed zamkiem okrutnie pomstował w słowach, ubliżę czyniących, nie przebierając, marszałek dworu kazał go batożkami przepędzić.

— Nie przeczę, złość za to może mieć w sercu. Ale my ci krzywdy uczynić nie damy.

Zofja uchwyciła dłonie męża i wuja.

— Nie dajcie mnie! nie dajcie!... Ja niczego od Boga nie pragnę: ani zaszczytów, ani bogactwa, ani zabaw z płasami i muzyką, tylko, żebym kędyś w cichym dworze z Romkiem i dziećmi żyła, wierną czeladką otoczona, zdrowiem i cnotą rodziny się ciesząca!

— I tak będzie, duszo ty moja!

— Coby ci on mógł uczynić?

Zofja zastanawiała się chwilę; twarz jej powlekła się jeszcze większym smutkiem.

— Mógłby mnie zabić!... A ja pragnę żyć, dla niego i dla dzieci!.

IV.

**O zdobycem mieście.**

Ulice Torunia rozgrzmiały gwarem i weselem. Wszystko co należało do augsburskiego wyznania, tak Niemcy, jak i niezliczna garść Polaków wyległo na miasto, wołając: „Hoch, Karl Gustav unser König!” Zaczepiano żołnierzy szwedzkich, zapraszano ich do mieszkań i jadłodajni, ścisniano i całowano dopytując o wszystko. Przed ratuszem, w którym ucztował Karol Gustaw z generalicją i niemieckimi dostojnikami Torunia, grała kapela wojskowa, przy dźwiękach której puszczano się w tańce bezładny, a namiętny, zasadzający się na skokach i wytupywaniu nogami par splecionych w uścisku.

W przepięknej radzieckiej sali ratusza ucztowano, wnoszono toasty i wygłaszano łacińskie i niemieckie mowy, będące od początku do końca przesadnymi i ubliżającymi godności wygłaszającego panegirykami.

Polska ludność w przeciwstawieniu protestanckiej, pozostawała w mieszkaniach, pełna trwogi i smutku. Przewidując możliwość rabunku i kontrybucji, obmyślano schówki, zakopywano pieniądze, klejnoty i drogocenne naczynia, radzono nad sposobami ucieczki i pewnymi schroniskami. Jedną z osób, które najgorliwiej może przykładały głowy i ręki do takiego dzieła, by-

ła pani Zofja Obertyńska. W pierwszej chwili namawiała męża, aby natychmiast opuścili miasto i skryli się na czas jakiś choćby w Tucholskiej puszczy. Ale wobec dokładnie strzeżonych bram niemożliwością było wyjechanie z Torunia kołmi i z łubami. Część kosztowności przeto zaszyto w pościółkę dziecka, część oddano Szalicie do przechowania w jednym z licznych schówków kantorka, o których istnieniu on tylko i żona wiedzieli.

Wreszcie przygotowano zniszczoną i obzarpaną odzież, którą, na wypadek, gdyby Szwedzi zaczęli prześladować znaczniejszych mieszczan i panów polskich, mieli Obertyńscy przybrać, aby w ten sposób ukryć się przed wrogiem. Ale minęły dwa dni, a do gospody nie doszła wiadomość o jakichkolwiek represjach, lub nadużyciach. Karol Gustaw odjechał, pozostawivszy w mieście załogę 1800 żołnierzy pod generał majorem Mardefeldem, którzy zostali rozlokowani po kordegardach. Żołnierze karmieni, pojeni i obdarzani przez mieszczan protestantów, mieli wszystkiego w bród, i o łupiestwie nie słyszano nigdzie, ani w bogatych kramach śródmieścia, ani w okazałych mieszkaniach, ani w spichlerzach miejskich.

Polacy zaczęli się uspokajać, nawet pani Zofja trzeciego dnia zdecydowała się wyjść z mężem do izby gospodnej, aby popijając słodką polewkę przysłuchać się rozmowom licznej kompanji. A było czego posłuchać; opowiadali — świadomi rzeczy,

że protestanci nieustannie skargi zanoszą przed Mardefelda na katolików, zwłaszcza na jezuitów, dominikanów i siostry benedyktyнки, pomawiając ich o „zdradzieckie” znoszenie się ze zwolennikami konfederacji tyszowieckiej. Dalej mówiono, że generał nie przejmując się tą gadaniną, z flegmą obiecując, że sprawy rozpatrzy. Słyszając takie zdanie ludzie, którym jakowa otucha potrzebna była wprost do życia, wnioskowali, że Mardefeld musi być mądry i sprawiedliwy i że jako taki wyrozumie, że katolicy, którzy najpiękniejsze swe kościoły pozostawiają w rękach protestantów, ograniczając się świątynią, św. Jana i kościołami: dominikanów i św. Wawrzyńca, już poza murami miasta leżącymi i tak są upośledzeni. Najwięksi optymiści przewidywali nawet, że uczciwy generał wejrzy jeszcze w krzywdy jakich doznają Polacy od rządzącej się autokratycznie Rady, ograniczającej żywioł polski w szkołach i cechach.

Dysputowano gorąco, wrywając sobie słowa z ust, uchwalając najczęściej zgodne wnioski, jako że wszyscy przeciwnicy Polski od wejścia Szwedów do Torunia zapelniali wyłącznie gospody utrzymywane przez Niemców. Pani Zofja, choć cała jej myśl zaabsorbowana była rozmową gości z gospody, czuła od jakiejś chwili, że coś jak uparta mucha błąka się po jej twarzy, żądając zwrócenia jej na drugi koniec stołu. Podniosła oczy. Naprzeciwno, przy szklanicy midodu siedział młody chłopak

najwyżej lat szesnastu, który nie spuszczał oczu z jej osoby. Chłopak miał wygląd chudopacholka, szaty skromne, ale wyraz twarzy pewien siebie, nawet arogancki do tego stopnia, że ona, pani rodowa, żona możnego pana i od dwóch lat matka, pomimo-woli oczy spuściła i starała się znowu zainteresować rozmową zebranych panów i mieszczan.

Po kilku minutach doszła jednak do przekonania, że wprost nieprzyzwoitem jest okazać, iż kobieta jej stanowiska wzięła do siebie zuchwałe spojrzenia pacholika i postanowiła spokojną i surową twarzą dać mu do zrozumienia, że nie sobie z niego nie robi. Gdy jednak spojrzała znów przed siebie, miejsce naprzeciw niej było opróżnione, szklanka wypita, a zuchwały chłopak stał oparty jednym ramieniem o szynkwę, rozmawiając z grubą Maryną, dziewczką, roznoszącą napitki i jadło w gospodzie. Maryna miała wyraz zdziwienia na twarzy i odpowiadała snać wahajęco, patrząc na nią. Serce pani Zofji załopotało w piersiach, jak ptak raniony, ale poczucie godności osobistej wzięło znów górę, odwróciła przeto głowę, postanawiając, przynajmniej pozornie, być zupełnie obojętną na zachowanie się dziwnego chłopca. Nie widziała przeto nawet, jak opuścił izbę i dopiero, gdy Maryna, zawezwana przez pana Ciecierskiego przyniosła mu grzane piwo, ocierając się o panią Obertyńską, ta rozejrzała się uważnie po zgromadzonych, a nie ujrzawszy wśród

nich zuchwałego pacholecia, zapytała dziewczynę niby mimochodem:

— Cóż się, Marysiu, tak przyglądała mi przed chwilą?

— A bo jeden gość wiele się o jaśnie wielmożną przepytował?

— O cóż się on pytał?

— A no, czy jaśnie wielmożnej Zofja na imię i czy jaśnie wielm. z kościelnego starostwa pochodzi.

— I cóż się odpowiedziała?

— Odpowiedziałam, że jaśnie wielmożny wołają na wielmożną: Zosia, a że wielmożna nie z naszej pruskiej ziemi, ale przyjechała aż zdaleka, przed kozoactwem uchodząc.

— I pocóż się to mówiła? uniosła się pani Zofja.

— Albow skłamała?

Pani Zofja opanowała uniesienie.

— Ale bo poco, rzekła łagodniej, byle komu wyjaśnienia dawać?... Co takiemu dzieciuchowi o mnie rozpowiadać. Jakiś obieżyswiat, oberwaniec.

— O nie miłościwa pani, to musiał być z pańskiej rodziny, ręce miał białe, całe nie urobione, a na palicu pierścień złoty, z tylin kamieniem, co się czerwienił jak krew.

— Jak krew, pomimowoli powtórzyła pani Zofja.

— Siła pieniędzy on musi mieć; i wczoraj i dzisiaj po kilka godzin przesiedział w gospodzie, każe sobie dawać i miody i wina

co najdroższe, a zamorskiemi bakaljami zagryza, nie pytając nawet ile co kosztuje.

— Wczoraj był także?

— Całe popołudnie przesiedział.

— Czy również pytał się o mnie?

— O nie, zgoła!

— O nic nie pytał?

— Pytać pytał, ale już nie pomnę o co?

— Przypomnij sobie... może ci to pomoże.

Wsunęła jej w rękę mały srebrny pieniążek. Maryna roześmiała się wesolo:

— Cóści gadał... cóści gadał...

— Nie pytał, czy tu mieszka młoda pani z panem, która...

— A jako żywo, jako żywo!... Skąd to miłościwa pani tak odgadła!... Jako żywo pytał, czy tu nie mieszka młoda pani z panem, pani co jest jasnych włosów i biała na gębie, z panem co jest włosów i gęby czarnej.

— A ty powiedziałaś, że mieszka taka para.

— No juści.

— Wtedy on poszedł sobie?

— O nie!... Pytał w jakim alkierzu miłościwe państwo mieszkają, na dole, czy na górze, czy ów alkierz ma jedno wnijsie, czy dwa, czy wielmożny ciągle z miłościwą panią siedzi, czy miłościwa pani czasem sama ostaje...

— A ty mu na wszystko szeroko odpowiadałaś?

— Jako na świętej spowiedzi, nie nie żelgałam.

Powiedziałam, że wielmożny zawdy z wielmożną, od rannej Mszy u św. Jana poczawszy.

— Nie mówiłaś, że czasem bywam sama?

— No jakże, przecie wielmożny wedle wieczora zawdy sam do ojców dominikanów na godzinkę odchodzi... Prawda, a wczorajszego wieczoru nie wychodził wielmożny!

— I cóż dostała za tak szczegółowe objaśnienia?

Maryna pokazała w uśmiechu białe, równe zęby.

— A żeby miłościwa pani wiedziała, że taki samiuteńki srebrnik jako ten, co mi go wielmożna dała!... Złożę je do kupy w szkatułce, może im się dzieci urodzą!

Śmiejąc się odbiegła, bo ją do drugiego stołu, otoczonego przez kupców toruńskich wołano.

Pani Zofja traciła z lekka męża, zajętego ożywioną rozmową z kilku ze szlachty.

— Romku, mam z tobą miłościwy mężu, pilno do przemówienia.

— Czy aże tak pilno, że nie dasz mi rozmowy dokończyć?

— Pilne to, nad wszystko pilne.

Pan Obertyński popatrzał w poważną twarz żony, spochmurniał z lekka i rzekł wstając:

— A no idźmy, kiej taka aścki wola!

— Romku, zawołała pani Zofja, ledwie drzwi alkierza zamknęły się za nimi, musi-



my uchościć, musimy natychmiast uchościć!

— Przecz i dokąd?

— Dokąd zechcesz; tu nie możemy pozostać, Urfeld już dopytuje się o mnie!

I gorączkowo ją opowiadać o pacholęcium. Pan Obertyński wysłuchał dość chaotycznych słów żony, a gdy skończyła, zapytał spokojnie:

— I co dalej?

— Nie wiem co dalej będzie!

— Ale to cała już historja, co ci takowego strachu napędziła?

— Czy to niedość?... Zapytuje jak położony alkierz, czy bywam sama?...

— Toć nie mniemasz, że cię siłą chce pojmać.

— To nie, ale może wpaść kiedy, gdy ciebie doma nie będzie.

— Niechby sprobował!

— A gdyby sprobował? Co może wynikać z tego? będziesz się z nim bił i on równie może cię usiec, jak ty jego.

— Gdzież jabym się bił ze źle urodonym.

— Nie będziesz?

— Honor szlachecki mi nie pozwala.

— Jak Jasia miłujesz nie będziesz się z nim bił?

— Jak Jasia i ciebie miłuję!

— Jeśli tak, to już nie będę się bać.

— Bo też zgoła nie masz czego się obawiać. Że Urfeld się dopytuje o ciebie, zwyczajna rzecz, radby cię jeszcze ujrzeć. I ja mu tego nie wzbronię. Niech się ci napa-

trzy, niech się przekona, że przekleństwa jego ci nie zaszkodziły, że pełnego szczęścia zażywasz, bo wiadomo, że psie głosy nie idą w niebiosy.

Pani Zofja odetchnęła z ulgą.

— Tak, masz słusznąność mężu, co on może nam zrobić?

— No widzisz, żeś rozsądna. Wracajmy przeto do izby; takie ciekawe rzeczy imci pan Norbert powiadał!

— Wróć ty sam, Romanku, mnie głowa od tych gawęd rozbolala i pragnę ledz jak najprędzej.

— A jak pod moją nieobecność wtargnie tu Urfeld i porwie cię niebogo?

— Droga mu przez izbę gościnną — tobie pilnować alkierzowych dzwierz.

— Zaprę je plecami, a ty śpij spokojna.

— Czuję, że będę spać jak nowonarodzone dziecko, jak już od trzech dni nie spałam.

I rzeczywiście młody organizm pani Zofji domagał się spoczynku i pozwolił w głębokim śnie doczekać późnego zimowego ranka. Zbudziła się spokojna, silna i wesola. Wykąpała dziecko w wielkiej miedzianej misie i ubrawszy zasiadła w fotelu, by nakarmić je słodką papką. Dziecko również było tego ranka weselsze niż innych; raz po raz brało w paluszki szczyptę z talerza i wkładało w usta matki, powtarzając pytająco: dobre?

Miły ten rodzinny obrazek uderzył przyjemnie nawet roztrzępaną i niezmiernie żywą Szalitową, która około dziewiątej

sama przyniosła śniadanie pani Obertyńskiej..

— Miłościwa pani z tem dzieciątkiem, to jak Matka Boska ze św. Janem... Boże wybacz mi porównanie.

— Czemu właśnie ze św. Janem?

— Bo św. Jan przedstawiony jest na obrazie taki czerniawy, z ciemną kędzierzawą główką. Miłościwa pani biała jak mleko, a mały...

— W ojca się wdał!

— Tak, czysty tatuś.

— Wiecie, co wam powiem pani Szalitowo, on nie tylko, że z twarzy, i budowy ciała w małżonka mego się wdał, ale nawet ma na łopacie takie samo znamię, jakby dwie krople krwi, akuratnie takie, jakie i mąż mój ma na plecach, jeno trochę wyżej.

— To tak bywa; powiadają ludzie, że dziecko wtedy takie podobne do ojca, gdy matka kocha go nadzwyczajnie i na odwrót — do matki, gdy ta jest kochaną bardziej niż sama kocha... Moje dzieci oboje kubek w kubek do mnie podobne.

— To znaczy, że waćpani niedosyć kocha męża.

— O nie, ja go całem sercem miłuję; ale on mnie więcej; on mnie miłuje jak wielki pan, alibo jak wielki warjat!

— Sądzicie, że wielcy panowie mocniej miłować potrafią?... Siła mogłabym o tem powiedzieć!... Napatrzałam się onego kochania na wojewódzkim dworze!... I wi-

dzi mi się, że prostaczek raczej mocniej kochać zdolen.

— Prostaczek rzadko ma na to czas, z silnem przekonaniem zakonkludowała Szalitowa. Ot, niech to nie obrazi waszej miłości, ale porównajmy waszą miłość, a moją personę. Odkąd Toruń padł, mój małżonek jeszcze w dwójnasób zajęty; gospoda pełna ludzi, dzień i noc; a wasz małżonek, nie tylko przy waszej miłości siedzi, a pilnuje jej jako żrenicy oka swojego. Mnie się widzi, że gdyby tak kto do waszej miłości w koperczaki sunął, toby wasz małżonek ubił go na miejscu!... Ah prawda!.. Wedle tego ja dziś sama śniadanie waszej miłości przyniosłam, bo chciałam coś jej na osobności rzec, tak, żeby wasz pan a małżonek nie słyszał.

— Co takiego?... z wielkiem zainteresowaniem zapytała pani Zofja.

Szalitowa obejrzała się na alkowę.

— Mąż przyzostał na probostwie, gdzie na jakowąś naradę kilkunastu takich jak i my uciekinierów się zebrało... No, siadajcie, pani Szalitowo, i powiadajcie w czym rzecz.

Oddała dziecko piastunce, przykazała ubrać ciepło i wynieść na spacer. Gdy pozostały same znowu zwróciła się do Szalitowej.

— No, powiadajcie, gosposiu, co tam na wątpiach macie.

— A to chciałam wam rzec, miłościwa pani, jako wczoraj późnym wieczorem, gdy w gospodzie pozostali tylko ci, co na sło-

mie wedle komina spać mieli, przybył jakowys pan i jał długo o waszę miłość a pana małżonka rozpytywać.

— I mąż wasz odpowiadał?

— Juści, nie było co ukrywać, przecie o waszej miłości i panu Obertyńskim tylko dobre rzec można. Franek mój opowiadał, jako wczesną jesienią wasze miłości z Ukrainy tu przybyły; jak wasz małżonek do służby grodowej się stawił, jak czasu obleżenia w najniebezpieczniejszych miejscach bywał, a nadewszystko jak to was miłuje i szacunek świadczy, jakoby wiekowej matronie, nie takiej ledwo ze skrzata wyrosłej niewieście... Wasza miłość nie rada, że mój to rozpowiadał?

— Owszem, w tem wszystkim niema nic skrytego. Takimi wiadomościami można serce każdego prawego Polaka ucieszyć.

— A właśnie, że nie, miłościwa pani. Mój Franek, wiadomo, niedaleko patrzący jest, a jednakowie, gdy tak o powodzeniu i cnotach waszego małżonka powiadał, zauważył jako on gość mienił się na licu, a głównie szabli w garści ściszał. To przyśzedłszy do mnie powiedział Franek: „Widzi mi się serce, że on gość, to jaki kawalir, któremu czarną podano polewkę, toć wielki rankor ku panie Obertyńskiemu żywie”.... Wasza miłość wie kto to taki?

— Wiem, głucho odpowiedziała Zofja.

— Odpalony kawalir?

— Tak..

— Strzeżcie go się, miłościwa pani; Franek powiedział, że wielka determinacja z lica mu patrzy... Taki poszukać zemsty może!

Do twarzy pani Zofji uderzyły rumieńce.

— Niech spróbuje! zawołała. Co może on wobec mego małżonka, chudopacholek, mieszczanin!

Wyraz mieszczanin, wyrzucony z pogardą z ust Obertyńskiej, dotknął niemile Szalitową.

— Niesłusznie pogardą ku mieszczanom pałacie, rzekła żywo. Małoż to między nimi zacnych i zasłużonych?

— Jako żywo, jako żywo, pospiesznie przytwardziła pani Zofja.

— U nas w Toruniu, niejeden wydał órkę za rodowego szlacheica, że dziś jest panią na zamku i włościach.

— Ja to wiem, kochana pani Krysto i wiercie mi, że jeżeli o uczuciu Urfelda ani słyszeć chciała, to dlatego jedynie, że jest on luteranin, gorzej, bo odszczepieniec, który przed sześciu laty, wraz z całą rodziną wiarę świętą katolicką porzucił.

Wejście Obertyńskiego rozmowę dwóch kobiet przerwało. Szalitowa zabrała tacę z zastawą i pożegnawszy Zofję miłym uśmiechem, odeszła.

— Wiesz, Romku, odezwała się zaraz po jej wyjściu Obertyńska, Urfeld już wczoraj zdążył przyjść do naszej gospody.

— Ano pilno mu; raz dostał kilka batogów, może teraz dostać kilkadziesiąt.

— Obiecałeś, że nie zaczniesz z nim waśni.

— Toć i nie zaczę... Szczerze ci powie-  
dziawszy nie mam żadnych złych zamia-  
rów naprzeciw tego kundla. Toć za one zu-  
chwalstwo, że na ciebie podnieść oczy się  
odważył jest aż nadto pokarany, że na na-  
sze szczęście będzie poglądać. Żadnej ubli-  
gi mu nie uczynię. A gdy tak sądzono, że  
spotkamy się nie na jakimym dworze, ale  
w gospodzie, gdzie dworskiej polityki nie  
trza przestrzegać, bo się szlachta z mie-  
szczaństwem i żołnierstwem społem spoty-  
ka, to i ja go niemal jak równego trakto-  
wać będę.

W tej chwili wbiegła Szalitowa, zamó-  
wiła się potrzebą zajrzenia, czy nie została  
srebrna łyżeczka, przytem nachyliła się  
nieznacznie nad Zofją i szepnęła jej w u-  
cho:

— Jest! przyszedł!

— Kto?

— Ów odpalony kawalir, odbiegła, stu-  
kając wysokimi drewnianemi obcasami.

— Romku, odezwała się żona. Wiesz  
Urfeld już jest w gospodzie.

— Ano dobrze... Lepiej, że poznamy  
się przy szklanicy, niż gdybyśmy z kor-  
dem w rękę znajomość czynili. Przyjdź  
i ty, gołąbko, ale pięknie przystrój się  
wprzódzi, żeby wiedział uchwały wielbi-  
ciel, że cię stać na brokaty i klejnoty.

Pani Zofja nad obyczaj długo przesie-  
działa tego ranka przy gotowalni; zbudzi-  
ła się w niej miłość własna kobieca, pra-

gnąca olśnić wielbiciela i dać mężowi jak największą, moralną satysfakcję.

V.

**Albin Urfeld.**

Zalopotało serce w piersiach pani Zofji, gdy wchodząc do izby gościnnej spostrzegła męża prowadzącego dyskurs z Urfeldem; był odwrócony do niej plecami, ale poznała go po rudawych kędzierzawych włosach i potężnym, czerwonym karku, który napelniał ją obrzydzeniem jeszcze za czasów, gdy była młodą panią. Opanowała wzruszenie i zbliżyła się do stołu. Urfeld ujrzawszy ją porwał się z miejsca, sponsowiał na twarzy i złożył niezgrabny ukłon, który wyglądał na przypadnięcie jej do nóg.

— Bywaj, mościa małżonko moja, rzekł Obertyński, siadaj wpodług nas i posłuchaj ciekawych rzeczy, jakie jegomość opowiada.

Ale Urfeld spłoszony i zakłopotany był wielce, zaczął coś belkotać, ale uczciwego zdania złożyć nie potrafił. Ulitowała się jego mizerji pani Zofja i pierwsza zagadnęła, skąd przybywa i dokąd zmierza.

— Przybywam z Kościerzyny, kędy od śmierci rodzica urząd burmistrza sprawuję.

— A na miły Bóg, wykrzyknął pan Ciecierski z Wąbrzeźna, jak może być ład w naszej Rzeczypospolitej, skoro dzieciuchy mleko jeszcze pod nosem mający, s u f r a g i a piastują.



Sponsowiał pan Albin.

— Dano mi godność gwoli wielkich zasług rodzica.

— To niedosyć... Wiadomo nieraz piękny *vir* pokraję spłodzi.

— Waszmość musiałeś się przy rodzicu przypatrzeć, a przyuczyć, jak miastem rządzić należy, podsunęła mu argument p. Zofja.

Spojrzał na nią z niezmierną wdzięcznością.

— Jako żywo, miłościwa pani.

Po raz pierwszy od wejścia Zofji odważył się objąć ją spojrzeniem, wyraz głębokiego zachwytu odbił się na jego twarzy. Uchwycił to Obertyński i pobladł.

— Małżonka moja podsunęła waszmości argumentum, przez serca nadmierną miękkość; ja przy niej nie mogę uderzyć psa, ani zdeptać robaka, bo dla wszystkiego co słabe i liche ma czulość w sercu niesłychaną.

Urfeld zagryzł usta, pomileczał chwilę i nagle — jakby za napływem niezwykłej odwagi, odrzucił w tył głowę i rzekł śmiało:

— Miłościwa rotmistrzówna zawdy takimi sentymenty się odznaczała; znałem ją i podziwiałem dużo wcześniej od waszej miłości.

— Zbliska chybać jej nie podziwiałeś dla stanu nadmiernej różnicy.

— I świętych w obrazie zdala tylko widzimy, a jednak podziwiać ich możemy.

— Poco waszmość świętych wspomina, kiedyś się ich sromotnie zaparł na luterskie wyznanie przechodząc. Jakeś wierny religji tak i kobiecie na niedługi czas wiernym być byś potrafił!

— Poniechaj, Romku, szepnęła pani Zofja, czując, że się na burdę zanosi.

Ale jego zdenerwowała ta jej przestroga, więc zachnął się i rzekł głośno:

— Cóż tak orendujesz za panem burmistrzem burmistrzowiczem? Boisz się, żebym go batożkami przegnać nie kazał?

Porwał się Urfeld, blady jak ściana.

— Waszmość panie!... zawołał.

— No, no, bez poufalości, panie burmistrzu burmistrzowiczu, gdy nie możemy spotkać się na herbowych tarczach!

— Przecz mnie wasza miłość atakuje? przecz napada? Cóżem mu winien?... Ciesz się, żeś szczęśliwszy odemnie!

— Nie ja waszmości nieszczęść przyczyną!... Kto w nieswoich lasach poluje, snadnie leb o jaki pień rozwalić może!

Urfeld wstał z miejsca, obu rękoma oparł się o stół i zwrócił bladą twarz ku Romanowi; wargi mu drżały, mówiąc chwytal powietrze, jak ktoś bliski omdlenia:

— Mości panie, podkomorzycu... Rzuć mi w twarz ubligę jedną za drugą, przy kompanji licznej, która rzeczy całkiem nieświadoma łącno pomyśleć może, że jakowego łotra, ojcobójcę, alibo katowskiego potomka ma między sobą... Wedle tego... ciężko mi... trudno... trza rzecz wyznać, aby zaś prawdzie uczyniło się za-

dość. Panie starościeu, pogarda wazsza nie na miejscu, rodzic mój, choć nie herbowy, z dziada pradziada wśród miejskich antenatów zapisanym bywał... Matka moja, Przewłocka, szlachcianka... — Zagrodowa!

— Chociażby!... Wiadomo, szlachcie na zagrodzie równy wojewodzie!... Jeśli ojciec mój mógł szlachciankę, Przewłocką, poślubić, czemuż nie miałem marzyć ja o... Tak moi panowie, słyszeliście tu jak policzkował mnie imci pan staroście... wspominał o batogach... Tak nie pierwsze przeżyłem w życiu, a wszystko dlatego, że ukochałem dziewicę nierówną mi stanem!...

— Waćpanowie lubicie teatrą? rzucił z ironją w stronę gości Obertyński, dopatrzwszy pewnego zainteresowania i współczucia na twarzy niektórych.

— Zaistel!... Niema co wasznościów moim bólem karmić. Powiem tylko jedno.. że gdy mnie tak nietośnie przez odrzuceno, po przeżyciu pierwszych najsroższych serca mego męczarni, żyłem już tylko jednym pragnieniem, żeby miła moja wybrała sobie na małżonka szlachetnego męża... I oto w tej chwili dusza moja zalewa się żółcią, gdyż świadom jestem, że i tem Bóg nie pozwoli mi się ucieszyć... Bo nie jest szlachetny ten, kto pastwi się nad człowiekiem, który bronić się nie może, kto dępcę honor człowieka, nie mogącego poszukać satysfakcji, bo mego wyzwania nie przyjmiesz, panie starościeu!

Coś jak szloch wewnętrzny wstrząsnęło piersią Urfelda, poczem nastąpiła chwila przykrej ciszy. Obertyński, człowiek dobrego serca, żałował już w tej chwili niepotrzebnych zaczepek, ale miłość własna nie pozwalała mu rejterować. Natomiast pani Zofja całą duszą zapragnęła pocieszyć nieszczęśliwego wielbiciela i wyciągnęła ku niemu rękę gestem wielkiej pani, a zarazem dobrej kobiety.

— Niech waszmość nie bierze do serca przymówek mego męża; on z przyrodzenia taki krotchwilny!... Wszystko mu jedno, wojewoda, czy chudopacholek!... Z panieńcia przynależącego do królewskiego rodu, jeszcze żarty stroić potrafi.

Urfeld ujął jej rękę białą, wąską, arystokratyczną, przypadł do niej ustami i nagle zaczął płakać jak dziecko.

— Tyle lat, tyle lat męczarni gorszych od piekielnych znoszę, szlochał.

Ale jej natura zawiele miała w sobie pierwiastków rycerskich, odziedziczonych po przodkach, aby to mazgajskie zachowanie, to publiczne wyznawanie niefortunnych uczuć nie miało napelnić niesmakiem. Cofnęła rękę, twarz jej powlekła się chłodem i rzekła krótko:

— Mówmy w innej materji.

— Racja! racja! mościa dobrodziejko, zawołał Ciecierski, bo od onych słuzów imci pana burmistrzowicza, sól docna zwilgła!

— Szkoda, koniec teatrum, westchnął złośliwie Obertyński.

Urfeld utarł głośno kilkakrotnie nos ogromną jedwabną chustką w kwiaty, wstał od stołu, zbliżył się do Wendorfa stojącego za ladą i wśród westchnień i chlipań, z odzylej raptem miłości dla pani Zofji się spowiadał.

Wendorf przyglądał mu się z pobłażliwym uśmiechem.

— Na miły Bóg rzekł wreszcie, gdy nowe zabiegi około rozczulonego nosa imci pana Alfreda pozwoliły mu słowo wsunąć, jedno rzec można, że was ona nieszczęsna miłość nie ususzyła bynajmniej; wyglądasz waszmość jak dojrzały pomidor topioną sperką obłany.

— Prawdą jest, chlipał Urfeld, że mój nieszczęsny do ena zapomniał. Pierwszy rok palcem sobie gryzł, bieliznę na poscieli nocami darł; późniejszymi czasy... toć chłop nie pustelnik... poznało się jedną, drugą dziewczkę... a że te przepadają za mną...

— Te co w tłustem kochaniu się lubują, zaśmiał się Wendorf.

— ...przeto potrosze... potrosze... Przyznam się waszmości, że od św. Bartłomieja zmówiony z Pelką Moździeńską...

— No to powinszować!

— Nasze gody małżeńskie mają się odbyć w zapusty...

— Tak, ale jak imci panna Pela Moździeńska dowie się, jakoś w gospodzie pod Modrym Fartuszkiem moczył słuzami rękę pani Obertyńskiej, a sobie hajdawery, ktowie, czy cię nie poniecha!

— A niechże Bóg!... wyrwało się z ust Urfelda, ale nie dokończył wykrzykniku, zadumał się chwilę i dodał matowym głosem: może by tak i lepiej było!

— Gwoli czego?

— Wiadomo, ta która mi sądzona?

— Może pani rotmistrzowa Obertyńska?

— A może!

Wendorf parsknął krótkim śmiechem, potem porwał rękę Urfelda w kułak zwinętą i wyrznął nią go w czoło.

— Puknij się waszmość własną prawicą.

— Mości panie, szanuj we mnie godność burmistrza! Chociam wiekiem...

— A tam co się stało?... porwał się z miejsca Wendorf, skoczył do okna i jał gorliwie chuchać i wycierać rękawem zamarzniete szyby.

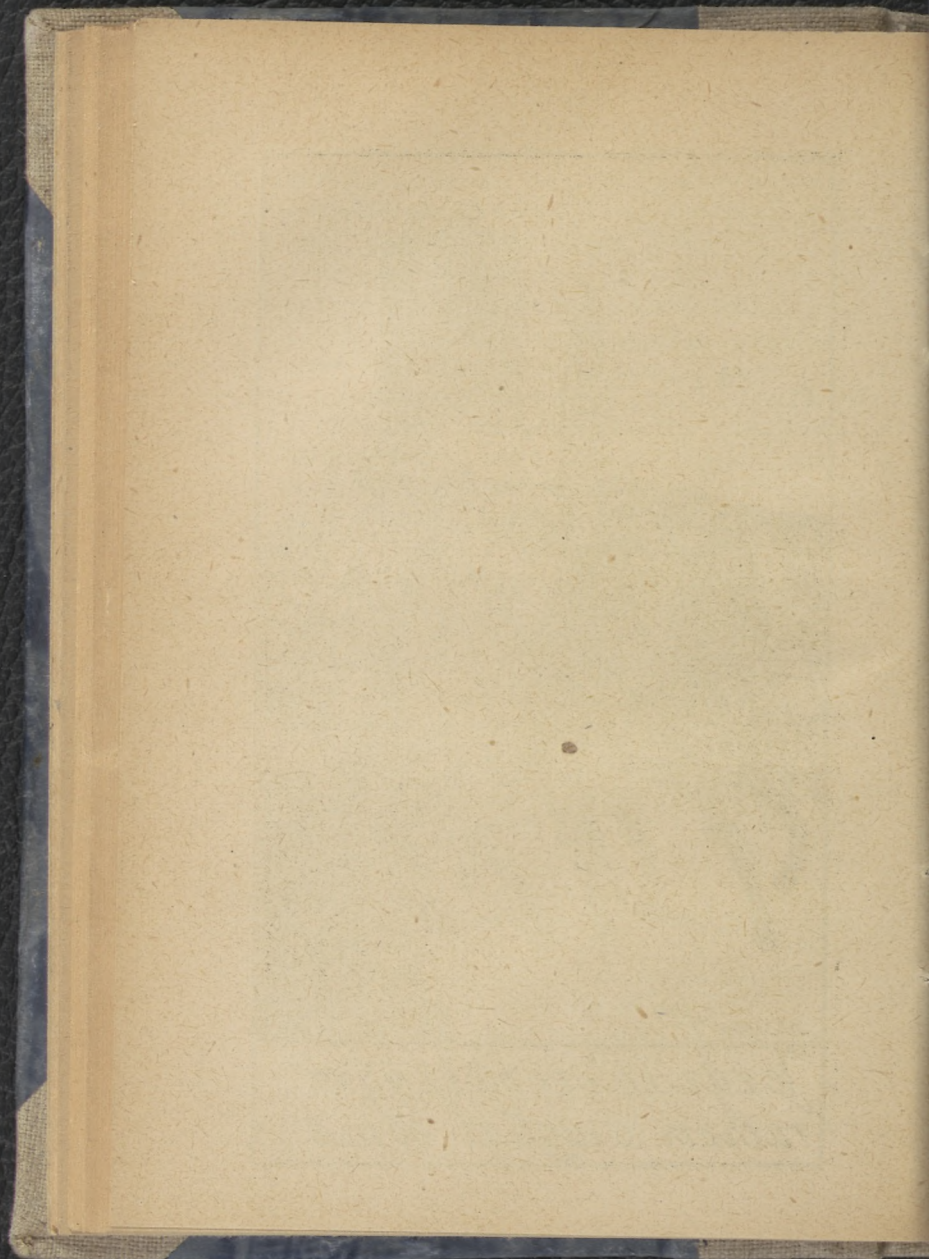
Tumult jakiś zrobił się na ulicy, śnać zainteresował i inne osoby w gospodzie; ten i ów zrywał się z miejsca, biegnąc do okna, lub naciągał szubę czy oponczę, kierując się ku wyjściu.

Na ulicy, wzdłuż wałów, biegł tłum wykrzykując i gestykulując żywo. Uderzającym było przytem, że w okrzykach Niemców przeważała nuta radosna, wśród Polaków słyszało się przedewszystkiem pytanie nacechowane niepokojem. Takież pytanie rzucono kilkakrotnie ze strony tych którzy wybiegli z gospody pod Modrym Fartuszkciem.



Si Dab.

Jeździec energicznym  
ruchem sciagnął konia...





— Szwedy Jezuitów rugują! rzucił w odpowiedzi jakiś drzący z niepokoju mieszczanin.

Kilknaście osób przyłączyło się do gromady biegnącej w stronę ulicy Łaziębnej. Ruszył też Obertyński, poprawiając z fantazją rysiego kołpaka, ale zatrzymała go żona.

— Już ku przodowi rwiesz?

— Zbiegnę tam; ujrzę co się dzieje.

— Co ma się dziać; przecie nie dobrego; jak w zwyczaju u Szweda: rabunek, krzywdą!...

— Obaczę.

— Nie idź, Romku, w takowych okolicznościach nie trudno o guza, a i o krew i śmierć!

— Będę stał na boku, patrzący, jakoby szabli przy boku nie miał.

— Nie zdzierzysz; gdy ujrzysz jako któremu ojcu krzywda się dzieje!...

Wstrząsnął się Obertyński.

— Duchowna i bezbronna osoba!...

— Widzisz, Romku, już cię na samą myśl o tem złość niepomiarowa ogarnia, a szablę w garść wciska.

— Posiekam krwawe juchy na kapustę!

Nozdrza mu grały, oczy rzucały iskry; odsunął żonę i skoczył naprzód. Rzuciła się za nim i zawisła mu na ramieniu.

— Romku, mężu mój i panie, miej litość nad moją boleściwą duszą!... Nie wystawiaj na nową udękę... Tylem się napłakała czasu obleżenia... aleś wtedy, rozu-

miem to, musiał na murach wśród obrońców ojczyzny stać! Ale tera poco zdrowy leb pod ewangelję kładziesz?

Szarpnął się niecierpliwy.

— Ostaw... mogę się tam zdać... Słyszysz jak te bestje wyją złowrogo? Napotkam może panów Bażyńskiego, Czystochlebskiego, to tak samotrzeć....

— Dacie głowę!

— Ostaw, Zośka, bo cierpliwości brak.

Zarzuciła mu ręce na szyję, tuląc drobną głowę do jego piersi.

— Romek, miej zmiłowanie, ja od onego nieustannego niepokoju docna chora jestem. Obaczysz nie porodzę zdrowej Magdusi!

Przez twarz Obertyńskiego przemknął dziecinnie uśmiech.

— Bo ja też nie chcę Magdy, jeno Maćka!

Wtem jedne za drugimi następujące strzały wstrząsnęły Obertyńskim; jak stary koń bojowy porwał się biec naprzód, że nie zdołała go żona zgonić, choć płacząc podbiegła jeszcze kilkadziesiąt kroków. Gdy znikł jej z przed oczu, wśród coraz gęstszych tłumów, stanęła, by się wydyszeć. Jednocześnie myśl przeniosła na mijające ją osoby, a widząc na twarzy stojącej naprzeciwko mieszcanki wyraz tej ciekawości, co to najtragiczniejsze racje czyjśgo dziwnego zachowania rada doczytuje, zawstydzila się swej słabości, pod pretekstem chłodu wsunęła ręce w aksamitny

sobolami obszyty pólsubek i podniosła je aż do oczu.

W tej chwili przysunął się do niej Ur-feld.

— Miłościwa pani, zdrowo — li to tak biegać jako ta sarna goniona przez ogary?

Jakaś serdeczna troskliwość brzmiała w jego głosie, a ona, odtracona przez męża, bez względu na stan jej, wymagający troskliwości, odczuła potrzebę takiego zadośćuczynienia ze strony czyjejkolwiek, więc podniosła na niego zapłakane oczy i rzekła:

— Małżonek mój zawdy zwykł rwać kędy niebezpieczeństwo może mu grozić; próżno błagam go, zaklinam, rycerska krew...

— Tak, widziałem, jako go wasza miłość jakoby samego króla jegomości upraszała, rękę jego do swych anielskich ust podnosząc; mało brakowało, a byłabyś go waszmość pani pod nogi podejmowała!

— Bo wiem, na co się naraża; wiem że jak ludzką krzywdę na własne ujrzy oczy nie będzie pytał, zali przeciw dziesiątkom czy setkom staje i do korda się porwie. Oczy jej znowu napłynęły łzami.

— Trzy lata minęły na św. Jan; jakem go poślubiła i w on niedługi czas już cztery razy rany mu opatrywałam i to raz jeden tylko przez miecz nieprzyjacielski zadana, a tak zawdy jakaś zwada, jakaś burda...

— Względem na waszą miłość nie ma żadnego, a toć pojawił się takiego anioła w

małżeństwo... Zająknął się; nie śmiał wyrazić całej swej myśli.

Wstąpili we drzwi gospody, które Urfeld, składając głęboki ukłon przed Zofją otworzył. Weszła z powagą i majestatem, bo w izbie kilkanaście osób rozmaitego stanu było, ale w tej chwili posłyszała krzyk dziecka, dochodzący z alkierzyka i pomknęła w tę stronę krokiem podlotka.

Mały nabił sobie guza o róg skrzyni, więc krzyczał w niebogłoso. Zofja wzięła go na kolana, a obsypując czułościami jęła przykładać chustkę maczaną w wodzie do stłuczonego miejsca. Dziecko lkało już coraz rzadziej; chwilami wstrząsało się nerwowo, i użalało niewyraźną mową.

— Wasza miłość niezmiernie kocha dziecko! zabrzmiało szeptem rzucone pytanie prawie w jej ucho.

Podniosła oczy; Urfeld stał przy niej; obejmując ją miłosnem spojrzeniem. Zrazu krew uderzyła jej do głowy, godność jej uczciwej kobiety i pani z możnego rodu pochodzącej wzburzyła się na widok tego śmiałka, co odważył się nieproszony wstąpić, aż tu do alkierza, śmiałka, co zapomniał nierówności stanu! Ale wnet jakiś złośliwy duch podsunął jej pragnienie szukania choć słabej zemsty nad mężem za nieczułość na jej prośby, przez dopuszczenie do familjarności tego, co okazywał jej część i czułość niezmierną, więc po krótkiej chwili namysłu, rzekła z głębokiem przekonaniem.

— To moje największe na świecie uko-  
chanie.

— Miłujesz go waszmość pani więcej  
od małżonka?

Zastanawiała się chwilę.

Nie wiem, co na to rzec waszmości....  
Kocham ich bardziej od własnej osoby.

— Ale gdybyć ci wybierać przyszło, za  
kim byś wasza miłość poszła?

— No pewno, że za dzieckiem; on da  
sobie radę i bezemnie, ale dziecko!... Bie-  
dny mój robaczek lichy!

Jęła całować rączki malca i tulić go do  
piersi. Jego rozculił ten widok i z wła-  
ściwą sobie czułościwością uderzył w łzy,  
wyrzekając na swe sieroctwo, na pustkę w  
burmistrzowskich apartamentach w koście  
rzyńskim ratuszu, nad nieziszczalnym ma-  
rzeniem posiadania dziecka ukochanej ko-  
biety.

Tak rozmawiających zastał ich w alkie-  
rzu wracający z miasta Obertyński. Był  
zły i zirytowany. Patrzył na krzywdę  
ludzką, ale nie tę co krwią opływa, trupa-  
mi się znaczy, nie na tę, która swą jaskra-  
wością kolacze do sere szerokiego tłumu.  
sposobiąc go do zemsty i walki. OO. Jezuici  
opuszczali rozległy swój gmach bez prote-  
stu, patrzyli na gwałt sobie czyniony bez  
łzy. Wyszli parami, z ojcem przelożonym  
na czele, mieszając swe czarne postacie w  
jaskrawe tłumy, na utyskiwania katoli-  
ków odpowiadając z przekonaniem: Bóg  
jest miłościwy; przyjdzie czas, że sprawie-  
dliwości jego uczyni się zadość! I ta wła-

śnie bierność, to zgadzanie się z losem rozsierdziło pana Romana. Biegając ku kolegum Jezuitów z gronem takich jak on ludzi o gorącej krwi i dzielnym ramieniu, miał nadzieję, że przyjdzie do zwady z luteranami i rokował zwycięstwo. A oto przez długi kwadrans pasł oczy swoje widokiem jawnego i butnego zwycięstwa nieprzyjaciół, napelniał uszy triumfalnymi okrzykami protestantów i obelżywami wyrazami rzucanemi w stronę pokornie opuszczających swą siedzibę zakonników. Czuł się jakby współwinnym w tem ich upokorzeniu, wściekły był na siebie i swych współwyznawców, swój zły humor rad był wyjawić na pierwszym lepszym, byle w krzykach i wymysłach trochę złości z serca odrzucić.

W złą godzinę przestąpił Albin Urfeld próg alkierzyka zajmowanego przez Ober-tyńskich. Siedział na brzegu zydlu, gdy wszedł pan Roman, prawą nogę zgiętą w kolanie, trzymał nisko nad ziemią, jakby gotów w każdej chwili przykłęknąć, trzymał się w przywoitem oddaleniu od pani Zofji, rozmodlone tylko oczy na twarz jej zwracając. A jednak sam widok tego człowieka w poufnych warunkach prywatnej ich sypialni, tego człowieka, który nie tylko nie skrywał się, ale niejako czynił paradę ze swych uczuć, wstrząsnął nim do głębi.

— A ty co tu w moim!... zabelkotał z wściekłością, ja ci tu!... Waćpani jak śmiałaś wpuścić onego szubrawca?...

— Ja sam, przez przyzwolenia jej miłości tu wszedłem, i bez złych zamiarów, wybelkotał Urfeld.

— Ty mi jej nie broń, co między małżonkiem a małżonką...

— Śmiertelnie się boję, że ją waszmość sponiewierasz.

Twarz Obertyńskiego przybrała wyraz straszny.

— Oredownik!... widzisz go, oredownik!... Myślisz że twoje argumenta do ucha mego trafiają?... A to moje argumentum! moje! moje!

Wydobył szablę i plazował nią Urfelda po twarzy, głowie i plecach, które wnet zwrócił do niego uciekający z przerażeniem burmistrz. Obertyński biegł za nim przez izbą gościnną nie przestając zadawać razów, aż krew zaczęła znaczyć ślady uciekającego. Przy samych drzwiach dopadł go jeszcze Obertyński, obalił na ziemię i skopał podkutemi butami, poczem drzwi otworzył jak szeroko i wyrzucił w zablocony śnieg u progu gospody.

W izbie porwali się wszyscy, patrząc na nierzadkie w owe czasy, a jednak zawsze nowe widowisko.

Obertyński sapiąc z wściekłości, ponurą, zczerniałą twarz obrócił na zebranych i szepnął groźnie: A teraz z jejmością się rozprawię!

A ona stała już w progu alkierza, śmiertelnie blada i szła ku niemu nieustraszona z dzieckiem na ręku.

— Do izby jejmość! krzyknął Ober-tyński, nie wstyd — li tobie oczyma jeszcze tu wśród ludzi świecić po tem co zaszło?

— Właśnie po tem co zaszło słuszna i konieczna rzecz, abym tu stanęła i do oczu wszystkim waszmościom, którzy z o-czu wyrzucenia imci pana Urfelda, jakby jakiego gacha in flagranti schwytanego, snadnie krzywdzące moją personę domysły powziąć mogą. Więc oto klnę się na Chrystusa Pana, Matkę jego Najświętszą i cudowną Tróję, że imci mój małżonek złość surową wywarł na burmistrzu z Koście-rzyny za to jedynie, że jako gość pod nieo-becność pana małżonka do alkierza wejść się ośmielił. Klnę się na to dziecko, które jest także święte w swej niewinności, że nawet słowa obrażającego sumienie uczciwej kobiety żadne z nas nie wymówiło. Świadkiem dzieweczyna służebna.

Zakryła twarz rękami i zapłakała.

— O mężu, mój mężu! przecz stawiasz mnie w okolicznościach, że jak zbrodniarka publicznie submitować się muszę!

Tu podniósł się pan Jan z Pelplina i rzekł poważnie:

— Nie rozżalaj się, Zofjo, miłościwa siostrzanowo moja! Słuszność przyznać każe, że nieprzystojnie postąpiłaś, obcego mężczyznę za próg swej sypialni dopuszczając...

— Ja rada byłam precz go wyżenąć, ale nie śmiałam... Myślałam: pomyśli, że go o najgorsze zamiary posądzam, a ta-



kowe miewają wedle białogłów, co przychylnem okiem na występki przeciw alko-  
wie małżeńskiej patrzą; przed samą sobie  
pomyśleć nie śmiałam!

Wstyd kraśnym rumieńcem wybił się  
jej na jagody; piękną była w oburzeniu  
swym i żalu.

— No słuszna, słuszna mówił pelpliń-  
ski pan, prawda i szczerłość wypisana na  
licach twoich. Toż padnij panu małżon-  
kowi do nóg, a przebaczy ci lekkie przewi-  
nienie.

I usiłował skierować ją za ramię ku  
mężowi, ale ona odsunęła się dumnie.

— Przech ja?... On mnie o przebacze-  
nie prosić winien, za on wstyd, który tu  
przeżyłam!... I nie wiem, czy mu prze-  
baczę!

— A, brzydka wątpliwość, mościa do-  
brodziejko! Co zaś, czy takowe postęпки  
nie bywały po wsze czasy ad use?... A na-  
sza święta królowa Jadwiga nie przechod-  
dziła przez podejrzenia? nie musiała to od-  
przysięgać się i publiczne sądy przechod-  
dzić! Wspomnij na to, a lżej ci będzie  
tę przykrą chwilę przetrwać! Najwinniej-  
szy tu zuchwały burmistrz z Kościerzyny,  
ale też — słuszną otrzymał zapłatę, gdy  
jak zbity pies przed szablą pana Romana  
uchodził.

Parsknął śmiechem, któremu wtórowa-  
li wszyscy zebrani na sali, łatwo od jedne-  
go do drugiego przerzucający się uczucia.  
Nie śmiało się tylko ich dwoje; markotni  
i zasromani spieszyli zejść ludziom z oczu

uchodząc do alkierza, skąd długo jeszcze dochodził do gościnnej izby odgłos rozmowy nacechowanej gniewem, potem perswazją, wkońcu zobopólną czułością.

.....  
Słońce było jeszcze wysoko nad horyzontem, ale w mieszkaniu Hermana Eskena przy ulicy Białej mrok już panował zupełny. Zwłaszcza w gościnnej sali pierwszego piętra, której okna porżnięte gęstym deśeniem oprawy ołowianej i zczerniałych szkieł witrażu, skąpo sączyły zabarwione światło, jaskrawe tylko palenisko szerokiego komina dawało tyle blasku, że można było rozpoznać bogate urządzenie, na które składały się przepięknie, drzewną mozaiką wykładane szafy i kantorki, olbrzymi kredens rzeźbiony, obciążony przebogatą srebrną zastawą gdańskiej roboty, skrzynie inkrustowane perłową masą i kawałkami barwnych metali wschodniej roboty, wreszcie dywany, różnorodne, francuskie, obok perskich, niemile odsakujące od siebie różnością smaku.

W pobliżu komina na pufach, złożonych z trzech wschodnich poduszek, siedziało dwóch ludzi: właściciel domu, człowiek w podeszłym wieku, niezmiernej tuższy, ubrany w jedwabny kaftan w modne paski i fez na głowie, oraz Albin Urfeld, również w stroju niekompletnym bo w samym żupanie z pięknego brokatu, bez kontusza i pasa. Długimi obcęgami przerzucał głownie w kominie, raz po raz mamrocząc coś przez zęby z widoczną złością.

Esken palił fajkę z bursztynu, osadzoną na cybuchu sięgającym ziemi, co mu wraz z fezem i wschodnimi pantoflami podobieństwo do Turka nadawało..

Mówili z sobą po niemiecku i półgłosem.

— Jak jucha da się pochwycić, a wygada kto z czem go słał, obaj nałożym głowę, wyszeptał Urfeld.

Esken zaśmiał się grubym głosem, ręce splótł na brzuchu i mówił nie wypuszczając z ust cybucha.

— Mogłoby się to stać, ale nie w naszym Toruniu i nie za dzisiejszych czasów, gdy Bóg wszechmogący w swej łasce bezmiernej mądrą i zacną opieką imperatora Carolusa Gustava ku obronie wszystkiego co przez Polaków uciśnione, nam zesłał! Ja ci raczej powtórzę raz jeszcze radę, którą daję od początku: jeśli Rudolf i teraz z niezem powróci, cofnij rozkazanie, które mu dać raczyłeś, a imci pana Romana Łukasza, dwóch imion Obertyńskiego, co się... Jakim to ptakiem on rycerz, co to od tyłu napada, się pieczętuje?... Sowa?...

— Jastrzębiem.

— Zatem owego pazurzastego Jastrzębia przed sąd jego majestatu króla szwedzkiego staw i niech go z właściwymi honorami dla przykładu, na rynku kat zetnie!...

— Nie!... nie!... Za żadną cenę nie przyjmę rady wuja jegomości.

— Boś głupi!

— Nie, bom przewidujący! Ścięcie na rynku, tak, to by mi się nadewszystko wi-

działo!... Rynek nabity widzami, wszystkich oczy zwrócone w jedną stronę, przepychają się, wspinają na palce, z ust do ust podają zauważone szczegóły, a tam na środku szafot wysoki, na wierzchu szmat czerwonego sukna... nie żal go, że się krwią splami, niech świat wie, że tam nobilis, karmazyn, głowę daje, niech wie, że ta krew przecie nie błękitna, lecz czerwona, taka sama jak ta, która płynie w żyłach nas mieszczan, w moich żyłach choć wy panowie coś o podlej barwie mówicie!

— Tak, tak, przywtarzał, kiwając głową Esken. Toż mówię ci, nie pozbawiaj się takiej szerokiej zemsty, nie pozbawiaj się rozkoszy ujrzenia go śmiertelnie bladym, prowadzonym przez kata.

— Każe mu ukłęknać przy pieńku... zegnij dumne kolano, przed tym tłumem mieszczan, który zażądał krwi twojej!... On twarz składa na pniu, podaje hardy kark... mignął miecz w słońcu, spada głowa, bije jeszcze powiekami, porusza zsiniałemi usty...

— No widzisz, widzisz Albin... Nie lepiej tak, jak ja radzę!?

Urfeld wyciągnął ramiona, aż zatrzeszczały w stawach, potem załamał splecione palce na głowie i chwilę tak siedział z zamkniętymi oczyma, jakby chciał lubym widzeniem duszy dłużej się nacieszyć. Ale gdy podniósł powieki, oczy jego miały wyraz mętny, kąty ust zacisnęły się jakby z wewnętrznego bólu.

— Nie, nie!... Bóg nie ma mnie w swych łaskach do tego stopnia, abym miał tak rozkosznej zemsty doczekać!... Oddać go pod sąd, pod miecz katowski!... Sąd potrwa przynajmniej kilka dni, tymczasem on może uciec, mogą go przyjaciele odbić z więzienia, może los odwrócić się od naszych opiekunów i w rezultacie doczekałbym się tego, że raz jeszcze....

— Musiałby Fryc czyścić sromotne ślady szponów jastrzębia na górnej części twe-go dolnego ubrania, zaśmiał się rubasznie Esken.

Porwał się Urfeld z pasją.

— Nie! nie!... jak Bóg żywy!... ja muszę go!... W tej chwili otworzyły się wąskie drzwiczki w pięknym barokowym obramowaniu i bez ceremonji, hałaśliwie, wszedł wyrostek znany nam z pod Modrego Fartuszka. Stał wyprostowany, wesół, pucłowatą twarz zwrócił w stronę siedzących. Skoczył ku niemu Urfeld.

— No co?... Z czem przychodzisz?

Chłopak gwizdął tak przeraźliwie, że zdenerwowany Urfeld zatkał sobie oba uszy, krzywiąc się niemilosiernie.

— Cicho!... Nie drzyj się tak, bo ci łeb ze skóry obedre.

Na te słowa przybyły wywinął nagle koziołka, na moment stanął na głowie, wreszcie począł posuwać się ku Urfeldowi na rękach, zlekka kołysząc sterczącymi w górę nogami.

— Oj Rudolf, Rudolf, ucieszny błaznie! wołał Esken śmiejąc się do rozpuku.

Ale Urfeldowi mniej podobały się sztuki Rudolfa, porwał cybuch i palnął nim chłopaka przez nogi. Wrzasnął, tym razem szczerze i wnet stanął na równych nogach.

— Miłościwy pan, nie ma żadnej miłości bliźniego wobec pokornego swego sługi, zaczął jęklwym głosem.

— Bo mi dziś twoje psie figle zgoła nie do smaku... Powiadaj, czegoś się dowiedział!

— Kiedy mi dech od wielkiej boleści w pięty poszedł.

Urfeld zbladł z pasji; cybuch silniej ścisnął w garści i z zaciśniętymi zębami parę kroków ku Rudolfowi postąpił. Chłopak widząc, że to nie przelewki, spoważniał, cofnął się pod ścianę i wyrecytował:

— Nim słońce zajdzie, może wasza miłość mieć zadośćuczynienie.

— Gdzie będzie?... z kim?...

— Dziś u Mildy na Mokrem ma kolasę oglądać, którą on, Milda, od uchodzących Polaków nabył, a na zbycie przeznaczył.

— Gdzie szukać owego Mildy?

— Wie wasza miłość gdzie kuźnia?

— Wiem.

— Za kuźnią ze dwie staje w polu na lewo jest dom Mildy wśród ogrodów położony.

— Sam idzie oglądać oną kolasę?

— Nie, towarzyszy mu on wielmoża, co go pielgrzymem z Pelplina nazywają.

— Aha, Jezłowski!...

Przeszedł się kilka razy po komnacie i stanął znowu przed Rudolfem.

— Czy aby nie łiesz?

Chłopak z flegmą ramionami ruszył.

— Pocobym lgał, i tak nie zapłacicie mi aż gdy się spełni, to co ma się spełnić.

— Ale bo pocoby on kolasę kupował?

— Mają nią z żoną, dzieckiem i wszelkimi łubami w Kościerzyńskie jechać; jejmość wielce o to nalega.

Urfeld gorączkowo przetarł czoło.

— Aha, do pani matki!... Uszliby mi, ani chybi.

Przeszedł się kilkakrotnie po pokoju i stanął znów przed Rudolfem.

— U Iszena byłeś?

— Nie!

— Wszakżem ci kazał!

— Okrutne smrody wedle Chełmińskiej bramy od onych porzezanych łyczków polskich co miłościwych panów Szwedów do naszego grodu puścić nie chcieli!

— Dam ja ci lajdaku takimi sprawami się troszczyć!... Jak śmiesz nie stosować się do moich rozkazów!... I cóż mi z tego, że wywiedziałaś się gdzie dziś mogę spotkać Obertyńskiego, gdy musiałbym chyba sam!... A to nie może być!... Nie może być!

Oczy Rudolfa rozbłysły wesołością.

— Wszak ci idzie miłościwy panie jedynie o to... Knik!...

Wyrazistym ruchem uczynił gest, jakby przebijał kogoś, czy coś w powietrzu.

— Tobie nie do tego!...

— Jakże ma mi być nie do tego!... Toć Iszem nie za darmo oporządziłby Obertyńskiego. A to taki mały zachód!... Miłościwy panie, dodał nagle płaczącym tonem, rzuć okiem na szpangi moje... Toć to sito, istne sito,.. Małgosia, Wilhelma, mistrza włóczków córka, oczkiem na mnie mile zerka, a możeby i rączkę podała, gdybym w onej dłoni pierścieńczone jakąw dzierzył.. Możeby i ust purpurowych kielich ku mnie zwróciła...

— Milez!... Co mnie to wszystko obchodzi!

— Obchodzić cię winno, bo jeśli czeskie czy pruskie grosze zamiast bisurmańcowi dasz prawemu luteraninowi, słudze twemu powolnemu!...

— Ty mi Iszema nie zastąpisz!

— Czemu by nie!... Knik!...

I wykonał znowu gest obiecujący.

— Za młody jesteś na to!

Twarz Rudolfa rozblęła brzydkiem ukontentowaniem.

— Miłościwy panie, ja mam już taką wprawę!

Urfeld stanął przed nim i zapuścił spojrzenie w złą twarz chłopaka.

— Wiem, żeś zbrodniarz urodzony, ale tu trzeba jeszcze siły i męstwa... napadnięci będą się bronić...

— Spodziewasz się męstwa u Iszema!... Toś trafił!... To tehorz jak każdy najmujący się zbrodniarz i jeśli liczysz się z moją radą to ci powiem, że takie sprawy le-



piej załatwić przez własnych najemników chociażby mniej... wprawnych!

Zegar na ratuszu jęklawie wydzwonił cztery kwadranse, a potem zahuczał godzinę trzecią. Urfeld porwał się.

— Isć już czas!

— Jeszcze pora!

— Ty mnie nie ucz, szubieniczniku!

— Rudolf ma rację, odezwał się Esken. Niebezpiecznie nawet zbyt wczesnie wychodzić. Ujrzy was za dnia ten lub ów, wedle Mildy kręcących się, to, po znalezieniu trupa, przy dochodzeniu, kto mordercą, snadno na ciebie mogą wskazać.

— Jak kocham królową Sabę i księżniczkę ze szklanej góry, radzę, abyśmy dopiero o zmroku mury tego domu opuścili.

— Tak, a tymczasem on umknie nam w kupionej kolebce.

— Toć targ potrwa chwilę, wmieszał się Esken. Przytem, Milda spolszczony, przez matkę i żonę uszlachcony mówią, że papiery sobie jako Milski wyrabia...

Gdy w progi jego wstąpią zacni goście, wątpię, żeby wypuścił ich bez poczęstunku.

— I mnie się tak widzi, a w takim razie dobrze jeśliby wyszli na pierwszych wart zmianę dodał Rudolf.

Urfeld przetaił czoło i wielkimi krokami począł mierzyć komnatę.

— Wasza miłość, śmielej znów odezwał się Rudolf.

— Czego chcesz?

— Gardło mi wyschło jak gliniasta rola w upalne lato; brzuch skowyczy pusty, jak obszerna pieczara, w którą schroniły się wilki.

— Małoż wzięłeś odemnie pieniędzy na picie i poczęstunki przy przespiegach!

— Powiedz Frycowi żeby dał ci piwa i co do przegryzienia, odezwał się Esken.

— Dzięki waszej miłości składam,

— A trzymaj się w pogotowiu na moje wezwanie, dodał Urfeld, poczem wziął leżące na skrzyni suknie i gorączkowo począł przybierać się w ciemną oponcę i wypróbowywać kaptura, zali dostatecznie twarz przysłania. Esken patrzył na niego z pod przysłoniętych powiek; na jego otyłej, apatycznej twarzy niktby nie wyczytał, czy aprobejuje zamiary siostrzana, czy też jest im przeciwny.

Urfeld po dokładnem zlustrowaniu przebrania w zwierciadle, otworzył szkatułkę z czeczotkowego drzewa i po chwilowem przerwaniu wypełniających ją drobniaków, wydobyl sztylet oprawny w jaszczur koralami sadzony; pochwe włożył z powrotem do pudła, na stal kilkakrotnie chuchnął i z lubością patrzył jak drobniutkie wilgotne kropelki szybko ustępowały z błyszczącego ostrza.

Esken tymczasem dopalił fajki, strząsnął popiół z niej do komina i rzekł z flegmą.

— Więc zabijesz Jastrzębca... na śmierć zabijesz!... A co potem?...

Odwrócił się do niego Urfeld, jakby nagle zaskoczony pytaniem.

— Będę się napawał zemstą.

— Tak...

Splunął w komin, wydobyl bogaty kapiech i jał nakładać fajkę.

Długą chwilę panowało milczenie.

— Czy mścisz się tylko tego wyrzucenia cię z gospody, owego wieczoru gdy to jezuitów...

— Ja mszczę się wszystkiego!... Mszczę się za siebie i za innych!... Mszczę się udręczeń i upokorzeń, jakich doznawałem od chwili, gdym się z mym afektem dla szlachcianki Pawelskiej był zdradził.

— Masz słusność!... Syn starego rodu mieszczańskiego, spokrewniony z najwspanialszemi rodami w grodach pomorskich osiadłemi, tak myśleć i mówić powinien, ale w takim razie niedość zabić jego!

— A co jeszcze?

Urfeld pobladł, oczyma zawisł na ustach Eskena, jakby pragnął usłyszeć z nich zdanie, którego sam w umyśle swym nie śmiał sformułować.

A Esken najspokojniej zapalał węgielkiem fajkę i dopiero pyknawszy nią kilkakrotnie i puściwszy dym kącikiem ust, rzekł niewypuszczając z ust cybucha.

— Trzeba ją zmusić do poślubienia ciebie!

Sztylet z rąk Urfelda wypadł z brzękiem na podłogę, odpowiedziały mu echo wo srebra rozstawione na kredensie i poli-

cach, biegnących wzdłuż dębem wykładanych ścian komnaty.

Esken pyknął znów kilkakrotnie i cedził przez zęby:

— Trzeba pokazać światu, że i mieszcza nin może wziąć górę nad szlachcicem, że i jaśnie wielmożna może podać przy Sakramencie rękę „źle urodzonemu”.

Urfeld gorączkowym krokiem mierzył komnatę, potem stanął nagle przed Eskenem:

— Sposób!... dajcie mi sposób!

Esken długą chwilę delektował się fajką.

— Ach, nie mordujecie mnie!... Ukazaliście projekt niezrównany i oto pogrążacie mnie w rozpacznej niepewności!

— Różne są sposoby... Ale dla kobiety zameznej i matki jest jeden najpewniejszy niezawodny nawet — to dziecko!

— Jak to rozumiecie?

— Trzeba ją pozbawić dziecka...

Wstrząsnął się Urfeld.

— Ach, dzieciobójstwo!... Wstrętne!... Herodem nie jestem!

— Pozbawić dziecka na czas jakiś... niech ma je za stracone, a potem powróci! Niech wierzy, że przez twoją tylko łaskę i poświęcenie dziecko odzyskuje... Jak to uczynisz twemu pozostawiam dowcipowi.

Przy pierwszych słowach Eskena na twarzy Urfelda malowało się natężenie, jakby z trudem obejmował myślą szkic odległego planu; po chwili jednak twarz rozbliżyła mu pożądaniem.

— Gdybyż to było możliwe!... Posiadłszy ją byłbym dla niej dobrym, nie mściłbym się ani na niej, ani na dziecku... tak mi Boże dopomóż!

— Zali milujesz ją?

Urfeld znowu przez chwilę zbierał myśli.

— Pożądam jej!

— Życzę ci jej całą duszą.

Długo Urfeld przechadzał się po ciemnym pokoju; ciężkie jego kroki to rozlegały się głucho po kamiennej posadzce, to milkły, gdy wstępował na kobierzec. Esken palił fajkę i jękliwie zawodził pod nosem coś jak żałobne psalmy. Zegar wydzwonił godzinę czwartą.

— Wuju, rzekł Urfeld, stając nagle przed Eskenem, ja nigdy nie przypuszczałem, że miłujecie mnie tak wielce, że aż tyle zainteresowania mi okażecie; tyle dołożycie z duszy i mózgu waszego do moich niedoleźnych planów zemsty!... Czemuż, czemuż zdołam się wam odwdzięczyć!

— Nie potrzebuję twojej wdzięczności!

— Obowiązany do niej jestem!

— Mówię ci, możesz wdzięczność dla mnie w sakwę włożyć i wynieść wychodząc z tego domu, a potem w pierwszą kałużę ją wysypać.

— Znadto skromny jesteś wuju jegośmościu.

— Rzekłem jak jest... Ja pragnę byś zabił Jastrzębca, ja pragnę byś poślubił jego wdowę.

— Tyle dobroci!...

— Pragnę tego nie gwoli temu, aby mnie tak wielce obchodziło, czy umiłowaną białogłową do swej łożnicy wprowadzisz; ale pragnę abyś do naszego rodu wprowadził oną szlachciankę, Polkę, oną magnackiego rodu latorośl. Chcę, abyś Krwawo pomścił doznaną obelgę, nie dlatego, że spotkała ona mego siostrzaną, syna mej rodzonej siostry, ale, że spotkała ona jednego więcej mieszczanina, jednego więcej Niemca, ze strony szlachcica i Polaka!

Podniósł się, wsparł na cybuchu i mówił z wzrastającym ogniem:

— Nienawidzę ich! brzydzę się nimi!... Pragnąłbym, żeby choć ten piękny nasz gród spłynął krwią polską z końca w koniec! Pragnę, żeby te wszystkie kamienice i gmachy publiczne i wszystkie ziemie Pomorza stały się wyłącznie niemieckimi! Za wszystkie upokorzenia, których doznałem i z każdym dniem doznaję! Ja!... stary obywatel Torunia, rajca miejski, najbogatszy kupiec, mający więcej złota i skarbów w tej kamienicy niż wojewoda i prymas razem, jak ja byłem fraktowany przez polską szlachtę?!...

Ubiegali się o moje względy, to prawda, boć najpiękniejsze towary wschodnie: kobierce ze Smyrny, szale z Indyj, broń z Damaszku, wonności z Carogrodu, kto zakupywał za niesłychanie wysokie ceny, jeśli nie Esken! Za każdym razem gdy przybywałem ze wschodu, kolasy i poczty pańskie stawały przed moim domem nieledwie co dnia. Ale ci pa-

nowie co u mnie kosztowności targowali, jak odzywali się do mnie: mój Esken!... mój Esken!... Bodaj się dziesięciorako udławił temi wyrazami, wypowiedanemi łaskawym tonem!... A niejeden rozgniewany o to, że innemu sprzedałem piękną szablę, czy wschodnią makatę, zwymyślał mnie odurni! błaznów, bydła!... Oh!... Kilkadziesiąt takich wyrazów spadło na moją głowę, na mnie prawego kupca, obywatela bogacza, a ja pragnąłbym za każde choć jednego szlachezca, Polaka widzieć rozciągniętego trupem na ulicy Torunia! Dla tego masz moją rękę!... Gotów jestem niejedną ofiarę ponieść; gotówem złotem i srebrem hojnie ciskać, byle raz jeszcze przed zgonem oglądać własnymi oczyma straszne oblicze zemsty zwrócone ku Polakom!

Gończkowo podał mu rękę, którą Urfeld pochwycił, cisnąc w swych dłoniach.

— Pokażę ci je! pokażę!... zwrócone moją prawicą!... —

— Niech Bóg cię prowadzi!

Urfeld zarzucił opończę, kaptur zasunął na czoło i dwukrotnie klasnął w dłonie. Po małej chwili ukazał się Fryc w drzwiach.

— Niech Rudolf stawi się tu przedemną. Daj mu opończę z kapturem i jaki kostur do ręki.

Niebawem małemi drzwiczkami wsunęła się nikła postać w czerwonym płaszczu.

— Masz sztylet, ale nie waz się użyć go bez mego rozkazu!

— Pokorny sługa waszej miłości.

— Patrz, w rękę mam drugi, gdybyś chciał ująć, lub zdradzić...

Wykonał wymowny ruch sztyletem i wyszedł za pacholkiem na ciemną klatkę schodową.

## VII.

### W podmiejskim dworku.

W jadalnej sali dworku Wincentego, Mildy — Miłskiego służba kończyła zapalanie świec woskowych w mosiężnych świecznikach artystycznej roboty. Ochmi-strzyni, Matylda Jeniszówna, z dwiema pannami, pół służebnemi, pół respektowemi zastawiała stół okrągły obfitem jadłem na srebrnych półmiskach, owocami w złotych koszykach i omszałemi butelkami. Robota szła składnie, pomimo to imci panna Matylda nie przestawała gderać póki nie umilkła, wobec wchodzących gospodarza domu z małżonką.

Pan Wincenty Milda, urodzony z matki szlachciance, Doroty Knutowny, starościanki drohickiej, poszedł pomimo to drogą swego rodzica, prowadząc sumiennie handel zbożowy uzyskany w spadku i przewyższając ojca w urzędzie, bo syn ławnika sam do godności przewodniczącego sądu miejskiego doszedł, choć na czas krótki, gdyż ze wzmoczeniem się przewagi luteran w mieście, po roku urzędowania utraconym został. Natomiast król jegomość, gdy Milda nawiedzony głodem sieradzkiej ziemi trzy szkuty zboża darmo nadesłał, przy



chylił się do jego najgorętszego życzenia, czyniąc go szlachecciem i na pisanie się Miłskim zezwolił. Miłski poślubił również szlacheciankę, Katarzynę Uzdecką i doczekawszy się przez nią liczego potomstwa, otoczony dobrobytem i szacunkiem ludzkim, spokojnie starych lat dożywał.

W tej chwili, wszedłszy z połowicą, z zadowoleniem objął okiem dobrze oświetloną salę i stół dostatnio zastawiony.

— Ile nakryć położyła waćpanna? zapytał zwracając się do Jeniszówny.

— Sześć, miłościwy panie, bo mniemam że chłopcy nie przyjdą do stołu.

— Wystarczy im zjeść wieczerzę w ezeladnej, rzekła Miłska, a i niewieda, czy imci pan Obertyński wcześniej przyjdzie.

— Ichmościanki zasiądą?

— Tak jest.

— Jakby nie było, odezwał się Miłski, o jedno nakrycie jest zamało.

— Jakoż to?... Wasza miłość, z panią matką, dwie ichmościanki i imci pan Obertyński ze swym towarzyszem... nazwiska nie znam.

— To się zgadza... ale niema nakrycia dla „zagórskich panów”, jako w moim domu jest we zwyczaju.

— Jako żywo!

— Proszę przeto dołożyć jedno, a i serwis z wyobrażeniem polowania Djany, zastawić.

Po wydaniu tych rozkazów, zajął miejsce w fotelu przed kominem. Pani Miłska poszła za jego przykładem.

— Czy aby imci pan Obertyński nie obrazi się, mówiła monotonnym, cichym głosem osoby wycieńczonej wielokrotnymi chorobami, pani domu, że go do stołu jak równego sobie zaprosimy?

Milski wydał wargi i obie ręce wsunął za bogaty, słucki pas.

— A cóżem to nie szlachcic?

— Jako żywo; wszelako Obertyńscy stary ród, pono od Melsztyńskich z macierzystej linji się wywodzą.

— A Milscy od Knutów, na Drohiczy nie starostów po kądzieli z każdą parantelą równać się mogą!

— Wszelako imci pan Obertyński nie łađa rogatą duszę mieć musi i dla niżej zrodzonych pogardę, kiedy przed trzema dniami w gospodzie pod Modrym Fartuszkim, kościerzynskiego burmistrza wypłazował i za drzwi precz wyrzucił.

— Niewieda, czy ino dla marnej pychy na takowe periculum się porwał, nie raz to bywa, że równy równemu wstyd, ba nawet wyżej urodzonemu dyshonor uczyni, gdy takowy bolesną ubligą pod żebro mu podjedzie. A nie pomnisz, jak to...

— Cicho!....

— Co?...

— Psy szczekają, jak na obcego, ale nie podlego rodu.

Milski posłuchał chwilę i do okna się zbliżył.

— Od bramy idzie trzech ludzi; pacholcy ich z szuflami i latarniami poprzedzają.

— To chyba nie oni.

— Ta osoba w środku, to białogłowa. Miłska porwała się z fotela.

— Miałażby pani Obertyńska we własnej osobie nasze niskie progi zaszczyścić?

— Może to być, może to być; szuba na niej bogata.

— Chodźmyż powitać gości.

Postępując, nieświadomie wciągnęła na siebie półszubek bez rękawów i ku drzwiom zmierzyla.

Gdy weszli do sieni ujrzeli na ganku trzy osoby otrząsające się ze śniegu. Sprężystym, młodym krokiem postąpił ku nim Milda-Milski.

— Jestem Roman Łukasz Jastrzębiec Obertyński, rzekł zwracając się ku niemu pierwszy z gości.

— Całem sercem rad jestem waszmości.

— Jan Łodzia Jazłowski z Pelplina.

— Zaszczyt to dla mnie niemały tak zacnych gości w swych progach powitać.

— A to małżonka moja, Zofja z Pawelskich, rotmistrza Jana Nepomucena, córka.

— Niegodni, niegodni wasze miłości w domu swym przyjmować.

Pani Miłska podała rękę Zofji wiodąc ją do ciepłej i jasno oświetlonej sali.

— Wybaczcie waszmośćpaństwo, mówiła, że was, chociaż po interesie tu przybyłych, do stołu zaprosimy; na dworze zimno i ślota, rozgrzać się nie zawadzi.

— Na załatwienie kupna czasu jeszcze siła.

— Niepotrzebnie waszmość pan sumituje się z tego, że nas jako gości przyjmuje, nie dla samego bowiem interesu w wasze progi wstępujemy, mówił Jazłowiecki. Gdyby jeno o kupno kolebki nam chodziło, starczyłoby konie ze służącym przysłać, aby takową na pokazanie do nas przyprowadził. Ale tak mnie, jak i siostrzanowi memu szło o to, aby nie przez sługi porozumiewał się z człowiekiem tak godnym i obywatelem tak przednim, jakim waszmość pan, panie Milda-Milski, z Łaski Bożej jesteś.

— Bóg zapłać za tak zaszczytny dla mnie dyskurs, wszelako odmiennosc fortuny nie pozwala mi zapomnieć, jak świeżymi barwy moja herbowa tarcza rozbłysła... Ale gdy on splendor już na dom mój spłynął, pozwól waszmość pan, że go za stołem posadzę, boć vinum cor laetificat.

Podczas, gdy panowie dworskimi słowy prześcigali się w grzecznościach, pani Milska przedstawiała Obertyńskiej swoje dwie córki, Paulinę i Otylję, zwracając ich uwagę jak wielkim zaszczytem było dla nich przybycie tak zacnych gości.

— Wasza miłość nie lękała się wyjść z ciepłej izby na czas tak niemilosierny? pytała, czuwając wciąż nad tem, aby goście jedli.

Zofja nie odpowiedziała, tylko wzniosła na Milską oczy pełne troski i niepokoju.

— Błogosławię tę chęć wielmożnej pani, ale przyznaję, że gdyby mój małżonek

nie jedną karoceę, ale zamek miał kupować, jeszcze bym się nie zgodziła wyjść na czas tak niefortunny.

— Jest jedna rzecz, która wszelkie niechęci przemoże, odparła Zofja, upewniwszy się, że mąż zajęty rozmową o koniach, nie słucha co mówi, to trwoga o kochaną osobę; za nic w te czasy nie puściłabym męża na miasto, żebym nie miała mu towarzyzyć.

— Dla niebezpieczeństw?

— Jako żywo.

— Przeczby mu pani pomogła?

— Broniłabym go; krucicę nabitą noszę tera zawdy przy sobie.

A gdyby wrogowie byli silniejsi od waszmość pani?

— Umarłabym z nim razem.

Nastała chwila ciszy; Milska z przyjemnością patrzyła na wdzięczną kobietę, wzruszona jej pełną prostoty odpowiedzią.

— Waćpani nie ma dzieci?

— Mam, dwuletniego synka i....

Rumieńce uderzyły jej do twarzy.

— Tak... powinszować... Ale tem bardziej należy dbać o swe życie i zdrowie.

— Dziecko Bożkiej zdaje opiece i wierzę, że go nieszczęście nie spotka, ale mąż... Naturę ma taką, że wszędy samo chcąc niebezpieczeństwa szuka.

— Dziecina ma ochmistrzynię?

— O nie, od czasu jak jesteśmy tułaczami wyrzuconymi z gniazda, nie stać nas na ochmistrzynię; za ledwie małe dziewczątko Jasiénka zabawia.

— I pozostało pod opieką dziewczątka jedynie?

— Nie, Szalitowa, właścicielka oberży pod... Co to?

Nastawiła ucha; ze dworu dochodziły krzyki i wściekle psów ujadanie. Zwrócili też na to uwagę i panowie. Pan Milski wysłał pacholka, aby dowiedział się, jaka była przyczyna alarmu.

— Proszę się nie niepokoić, mówił Milski, zwracając się do pobladłej pani Zofji, dom mój leży za miastem, a przy ruchliwej drodze, snadno więc mógłby przyneść takich nieproszonych gości, przeto pieski trzymam zacne, brytany przednie, które w tak późną porę już z łańcuchów spuszczone są i czasem kogo potaroszają, nim psiarek nadaży.

— To nie jednego razu i niewinna ofiara może paść, rzekła pani Zofja.

— Co to, to nie! Dom dookoła często kołem otoczony, kołatka przy obu furtach donośna jest, przeto każdy kto prostą idzie drogą, od nieprzyjemności zabezpieczony jest, tylko ktoś, co by za dnia wszedłszy ukrył się w złych zamiarach, lub w takichże przez jakiś wyłom w palisadzie na podwórze się zakradł, może z zębami moich brytanów się zapoznać... Ot, brytany umilkły; pewnie odprowadzone zostały na przeciwną domu stronę.

Rzeczywiście hałasy na podwórzu od jakiejś chwili ucichły, natomiast w sieni przylegającej do jadalni, po przeciągłym

skrzywnięciu drzwi rozległy się kroki kilku osób, rozmowa i czyjeś pochlipywanie.

— Czekał przepyta ciebie jegomość, jak już będziesz na stolku leżał.

— Psi ci hajdawery tak oporzadziły, że ze spuszczeniem nie będzie biedy.

— Czego się na mnie, sierotę nieszczęsnego waszmoście zawzinacie się tak wielce?... Za dnia, ucziwie, z podniesionem czołem w on dom wszedłem, a żem zmęczony usnął krzywą pod krzakiem...

Tu podniósł głos do lamentu.

— Coż ja biedny pocznę; hajdawery ze mnie spadają. Psi krwie ze mnie wytoczyli, źli ludzie naśmiewają się z nieszczęśliwego,...

— Wyjdz, Wincenty, sprawdź jakowa onego tumultu przyczyna, rzekła pani do mu, a nie omieszkać dzwierzy zamknąć, bo on lament gorzka jadła przyprawa.

Jeden z posługujących pacholków wyszedł do sieni.

— Cichoście! krzyknął potężnym głosem. Wielmożny zapytuje, co to za rwetes.

— Ptaszkaśmy złowili!

— Ino mu pióra nieco psi nadszarpali.

— Na przespīgi pod oknami się włóczył.

Pan Milski niecierpliwy z natury zadawał lakoniczne pytania. Sąd był krótki.

— Ktoś jest?

— Sierota nieszczęśny; po pytaniu \*) chodzę.

\*) po żebraniu.

— Coś tu chciał?

— O nocleg prosić!

— Zdrowy, chłop, w ramionach kusze, alibo muszkiet lacno dźwignie...; nie powinieneś to w poczie jakowego wielmoży ojczyźnie służyć?

— Słabym jest; wielką chorobą, co od świętego Walentego ma swój początek Pan Bóg mnie nawiedził.

— Każdy włóczęga wielką chorobą się sumituje do kompanji wybrańców św. Walentego się pisze!...

Znam ja was przechery!.. Weźcie go stąd, parę batogów poniżej pleców i wyżeńcie za wrota!

— O panie, miłosierdzia!

Było coś rozzierającego w tym krzyku.

Porwała się z miejsca pani Zofja litości pełna, za nią z obowiązku gościnnej gospodyni, ruszyła pani Miłska.

— Darujcie mu miłościwy panie, wołała Zofja. Przecz pewnoś, że kłamie?

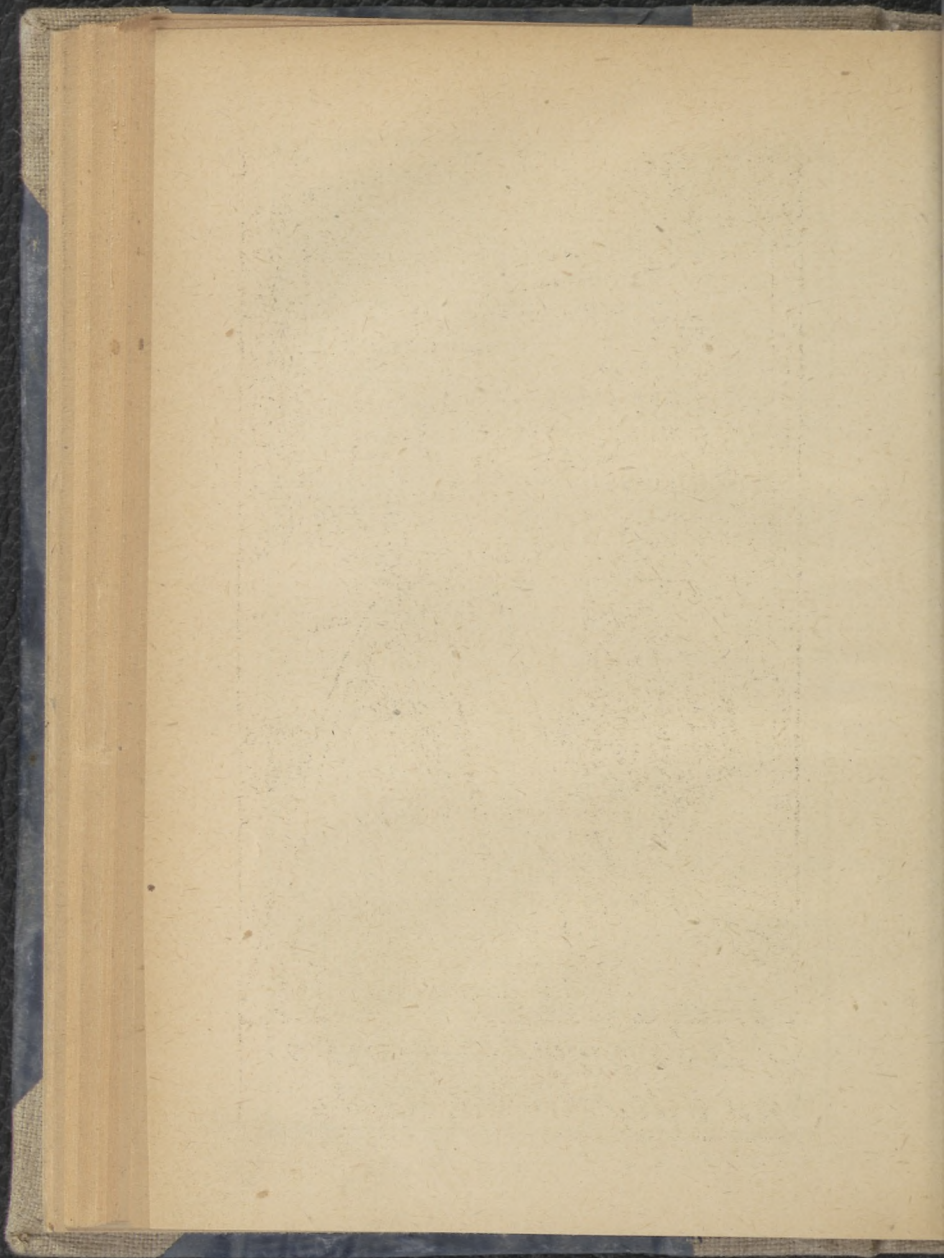
Wpadła w szerokie drzwi sieni i nagle stanęła jak wryta; spotkała się ze spojrzeniem przenikliwym, hardem, choć usta wyraz strachu wykrzywił; z temi oczyma wielkimi, pięknymi, ale które taką zaboŃną nieledwie trwogą przejęły ją wówczas w gospodzie. Cofnęła się, oglądając się, czy mąż siedzi bezpieczny, taki, jakim go pozostawiła przed chwilą. Tymczasem pani Miłska, wchodząc w intencje gościa, zwróciła się do męża.

— Daruj mu, miły, niech idzie wolno, albo raczej... Panno Faustyno, dopilnuj-





S. Dabr.  
*Szła ku niemu nieustraszo-  
na z dzieckiem na rękę.*



cie, żeby w czeladnej jakie posłanie otrzymał.

Wszyscy wrócili do stołu, panowie pili toastowali, pan Jazłowski swe wrażenia z pobytu w obleżonej Częstochowie musiał znów opowiadać, szeroko na zadawane pytania odpowiadając. Obertyński rozochocił się i jał sypać komplementy pannom Milskim, a nawet przyszłość im przepowiadać wedle układu kroperek na powierzchni wody w szklance, w którą wsypał jakiegoś czarodziejskiego proszku. Weselość ogarnęła wszystkich, pani Zofja tylko siedziała przygnębiona i jakby obca otoczeniu, roz-targniona, z wysiłkiem zmuszająca się do uwagi, gdy zwracał się kto do niej bezpośrednio. Trwoga i niepokój ogarnęły ją bezlitośnie; usiłowała wykazać samej sobie jak są nieuzasadnionemi, usiłowała uspakajać się modlitwą i polecaniem opieki Boskiej najukochańszych istot; próżno... jakieś drugie ja podszeptowało jej bezustannie, że jednak po pierwszym zjawieniu się tajemniczego chłopca zaczął się dla niej okres wrażeń i wstrząśnień, które docna zmarnowały spokój dotychczasowego jej życia. Dwukrotnie podnosiła się, wzywając męża do pożegnania uprzejmych gospodarzy, tłumacząc się niezdrowieniem i niepokojem o dziecko, ale wino u Milskich było tak wyborne i stare, jak rzadko nawet trafia się w książęcych domach, potrawy znakomite, gospodarstwo zachwyceni dostojnymi gośćmi, więc też spotykała się zawsze z protestem obu stron i perswazja-

mi męża, że dziecko pozostawione w bezpieczeństwie, a zdrowiu jej wszelka rozrywka wskazana.

Dopiero gdy z pianiem drugich kurów panowie, przywdziawszy szuby wyszli za pacholkami, niosącymi kagańce, w podwórze obejrzeć karoce, jadalną salę, w której pozostały tylko trzy kobiety, gdyż młodsza panna Milska i ochmistrzyni, nie przyzwyczajone do późnego zruwania wymknęły się zaraz po wieczery, dała się spowieć ciszy, a kąty snuły senność i nudę, pani Zofja ze łzami zwróciła się do pani domu:

— Nie nastawajcie, wielmożna pani, na męża mejego, aby pozostał, czasy są niespokojne, wracających późną nocą łąco jakowa zła przygoda spotkać zdoła.

— Nie myślcie przecie, miłościwa pani, że was piechotą odpuścimy. Kolebka nasza odwiezie was wygodnie, a i ze dwóch zbrojnych pacholków może towarzyszyć wam konno.

— Bóg zapłać za tak wielkie względy; wszelako pora mi do dziecka, do łoża; dziwniem mdła w te ostatnie czasy.

Pani Milska, wnikając w duszę Obertyńskiej, sama zresztą zmęczona, przyrzekła nie namawiać już panów do powrotu, ale oni sami wracali z podwórca owiani powietrzem, przeświadczeni o czarności nocy i radzi przekonać się, czy prawdziwie kolebka na rzemiennych pasach tak nadzwyczajnie niesie, więc też chętnie przyjęli propozycję pana domu, odesłania ich nią, dro-

gą pożyczania koni i woźnicy, który takowe po doczekaniu dnia luzem odprowadzi.

Gdy po wymienieniu stokrotnych podziękowań i wzajemnych komplementów państwo Obertyńscy zstępowali ze schodów ganku, rozległo się gwałtowne ujadanie brytanów.

— Rochu, trzymacie tam psy? rzucił gromko w podwórze pan Milski.

— Trzymam! odhuknął głos z ciemności.

— Cóż ten chłopak, przybłąda, śpi w czeladnej? zapytała pani Milska hajduka, jakby przeczuciowo idąc za myślą pani Zofji.

— Gdzie zaś; włóczykij to snać z przyrodzenia, alibo nam nie ufał; ledwo zszedł ze schodów, prysnął w bok i znikł w ciemności. Myśleliśwa, że znowu się gdzie przyczaił na czyją zgubę, aleśwa usłyszeli drapanie się na mur i łupnięcie obcasami o głazy co są po drugiej stronie muru, na brzegach rzeki.

— No i zakrzyknął nam cosik z onego bezpiecznego miejsca, dodał śmiejąc się drugi pacholek, czego bez ujmy szlachetnych uszów powtórzyć nie mogę.

— Możesz, możesz, pozwalamy ci, takowe obieżyświaty umieją być krotochwilne.

— A to powiedział: całujcie mnie poniżej krzyża, a pan Oberwański, czy Obertyński, i tak zginie!

— Jezus! wykrzyknęła siedząca już w kolebce pani Zofja. Romku, prędzej do mnie!

Ale pan Roman śmiał się serdecznie.

— To dla pana, imci panie rajco, za oberwane hajdawery, Oberwańskim waści nazwał.

— Romku, na miły Bóg siadaj już do karocy.

Obertyński wskoczył, zatrzaśnięto drzwiczki, woźnica palnął z bieża, dwaj konni pacholki wysunęli się naprzód; blask pochodni krwawą smugą obramował krzewy srebrną szacią osnute.

— Prowadź Bóg! rzucił jeszcze za odjeżdżającymi pan Milda-Milski.

— Prowadź Bóg! szepnęła pani Zofja przypadając do kolan siedzącego wprost niej małżonka i obejmując je gorączkowo.

## VIII.

### Pusta kolebka.

Długo kołatano do drzwi gospody, zanim jakiś rozespany pachol, po sprawdzeniu, kogo ma za drzwiami, roztworzył ciężkie, obite sztabami na krzyż układanemi, niemiłosiernie skrzypiące podwoje. Ogień kominka dostatecznie oświetlał wnętrze izby, aby pani Zofja mogła bez szwanku dla siebie, lub kogoś, przebiec między leżącymi pokotem żołnierzami szwedzkimi, którzy poprzedniego wieczoru liczną gromadą przybyli.

Wbiegła do swego alkierza; doniosłe chrapanie nianki zapanowało nad odgło-

sem jej kroków; biegła ku kolebce, niewiedząc skąd przeświadczona, że dziecko chore. Pochyliła się nad nią i nagle krzyk przerażający wstrząsnął niepokojem serca wchodzących w tej chwili mężczyzn.

— Co? co się stało? zawołał, nadbiegając pan Obertyński.

Z brzmienia okrzyku wiedział, że nie jakieś przewidzenie, nie bezpodstawny prze strach wydarł go z piersi małżonki.

— Jaś! Jaś!... dziecko!... Niema go! niema! Pan Obertyński się uniósł.

— Czyś całkiem zmysły postradala, o to takowy podnosić krzyk; pewnie mały płakał i Tereska wzięła go do swego boku.

Pochylał się już nad posłaniem niańki, ale ta leżała na wznak zupełnie obrana z ramionami rozkrzyżowanymi na poduszce, w głębokim śnie pogrążona. Dziecka przy niej nie było.

— Jezu! Jezu! jęczała pani Zofja.

— Wstrzymaj jeszcze on lament, głosem niezbyt pewnym odezwał się pan Obertyński. Może dziecko było niespokojne alibo niezdrowe i Szalitowa wzięła je do siebie.

Pani Zofja rozpromieniła się.

— Tak, ani chybi. Mówiła mi Szalitowa, że dziecka niepowierzy Teresce, która sypia jak niedźwiedź zimą.

— No widzisz...

— Strasznie Zosieńka niemęskiego serca jest, odezwał się pan Jazłowicki. Bez jakowej słusznej przyczyny...

— Ona takową nie była, bronił ją Ober-tyński. Czasu naszego przed Szwedem u-  
chodzenia zgola zdumiewała mnie swoim  
rycerskim, rzekłbyś animuszem.

— Na dziewczkę się jej ma, zaśmiał się  
Jazłowski.

— Gdzie idziesz Zośka? zawołał Ober-  
tyński, widząc, że żona zrzuciwszy szubę i  
futrzaną czepiec, zarzuciła szal na ramio-  
na i za kłankę drzwi ujmuje.

— Idę po dziecko.

— Dajżeż pokój, poco będziesz Szalito-  
wą za jej usługę po nocy niepokoić, a stra-  
szyć. Wiesz, Jasinek po kurach śpi do bia-  
łego dnia. Niech śpi, bo skoro go weźmiesz  
wybudzi się i będzie póty darł się, póki mu  
paru nie przyłoży, a ty tego pono nie lu-  
bisz.

— Takbym rada mieć go już przy so-  
bie, prosiła Zofja.

— A ja ci wzbraniam budzenia ludzi i  
włóczenia się po nocy między nieprzyjaciel-  
skim żołdactwem, stanowczym głosem o-  
dezwał się Roman.

— Zmiłuj się Romek nad niespokojnem  
sercem mojem!

— Nie wstyd to, by zacie urodzona  
białogłowa takowe strachy miała, jakoby  
niewolnik i dziewczka ją splodzili.

— Posłuchaj, Zosieńko, wmieszal się  
znowu Jazłowski, ide do swego alkierza na  
górze, po drodze zerknę do mieszkania Sza-  
litów, jeśli które z nich nie śpi, zapytam  
o chłopca, jeśli śpią sam się przy lampce



przed obrazem Najświętszej Panny rozej-  
rzą. Gdyby, czego nie mniemam, Jasia  
tam nie było, bo gdzieby się taki rak wy-  
patoczył... to przyjdę ci powiedzieć.

— Bóg zapłać wujowi ale nie omiesz-  
kajcie.

— Nie omieszkam. Ostańcie z Bogiem.

— Idźcie z Bogiem, dobrej nocy.

— Nocy spokojnej wam życzę, choć  
bliżej już dnia niż wieczora.

— Nie wstrzymujcie się niczem, śmia-  
ło do alkierza zakolączcie.

• — Nie omieszkam.

Rzeczywiście zatrzymał się przy  
drzwiach i długo wsłuchiwał w ciszę, po-  
tem przytworzył je i dwa kroki naprzód  
posunął. Na szerokim łożu z czarnego dę-  
bu rzeźbionem w girlandy owocu spoczy-  
wali oboje Szalitowie, od strony jego stało  
łóżeczko plecione z wikliny trzyletniego  
Tomka, przy matce starożytna kosztowna  
kolebka srebrem wykładana małej Anuli.  
Lampka wisząca przed domowym ołtarzy-  
kiem z ciemno-czerwonego szkła, tak mało  
światła rzucała, że długo musiał wyteżać  
wzrok w ciemności, zanim zdało mu się, że  
widzi jakiś różowy buziak w białym cze-  
peczku na poduszce obok Szalitowej spoczy-  
wający. Posunął się krok jeszcze, zmrużył  
oczy i pulchny łokieć Krystki otoczony  
koronkami kaftana, pod naciskiem silne-  
go pragnienia dopatrzenia dziecka coraz  
bardziej wizerunek twarzy śpiącego malca  
zdawał się zarysowywać. Wycofał się więc

z sypialni i na palcach, żeby nie budzić domowników udał się do swego alkierza.

Długo z bijącym sercem, nadsluchiwała pani Zofja, czy nie usłyszy powracającego wuja. Upłynęło dziesięć minut, Jazłowiecki nie wrócił, niepokój odplynął od jej serca, rozebrała się i legła na łożu. Ale za ledwie zamknęła oczy, znowu ogarnął ją lęk nieopisany; niepomogły żadne argumenta do jakich zmuszała swój umysł, trwoga coraz silniej ścisnęła jej serce, coraz okrutniejsze podsuwała obrazy fantazji.

Korzystając z tego, że mąż usnął ledwie przyłożył głowę do poduszki, sennym głosem kończąc.

— No widzisz, wujo nie wrócił; poczciwa Szalitowa..” wstała, wsunęła nogi w pantofle, narzuciła na siebie szubę i cicho wymknęła się na górę.

— Wybaczcie pani Krystyno, zaczęła szeptem, uchylając drzwi sypialni Szalitów, że was niepokoję.. Wybaczcie, usiłując uczynić szept wyraźniejszym i donioślejszym mówiła posuwając się, ale takam niespokojna...

W sypialni rozlegał się kwartet sennych oddechów w różnej sile.

Pani Obertyńska z niepokojem rozejrzała się po pokoju; jej macierzyńskie oko nie mogło dopatrzeć dziecka w jakimkolwiek urojeniu, serce jej szarpnęło najwyższe przerażenie.

— Pani Krystko, zawołała ze łzami w głosie.

Zbliżyła się do łoża śpiącej kobiety, zawadzając o cybuch leżący na stolku, który spadając uczynił rumot.

— Co to? sennym głosem, nie podnosząc głowy zapytał Szalita.

Ale Krystka siedziała już na łożu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! To, ty Maryśka?

— To ja, pani Szalitowo, wybaczcie że was niepokoje!... Czy dziecko jest u was?

— Jakie dziecko, które?

— Moje... Jasinek!...

— Zacz niema go w kolebce? w waszym,..

— Niema! z okrzykiem rozpaczy zawołała Obertyńska.

Krystka równemi nogami zeskoczyła z łoża.

— Co mówicie, miłościwa pani?... Możesz to być?... Może Tereska do swego боку?...

— Patrzałam zaraz!

— Może przy krzyku wypadło z kolebki was szukając?

— Obejrzałam każdy kącik.

— Rany Boskie! Rany Boskie! Franek! Franek! Wstawaj, na miły Bóg!... Pani Obertyńskiej porwano dziecko!

Rozpaczliwe krzyki Zofji prędzej niż wołanie żony zbudziły Szalitę.

— Nie może to być, nie może to być! powtarzał ubierając się spiesźnie.

— Dziecko bawiło się ślicznie z Tomkiem, zjadło papkę razem z mojemi, potem zesłam sama z Tereską do waszego alkiew-

rza i nie wyszłam stamtąd póki dziecko nie usnęło. Dziewczynie nie pozwoliłam się rozdziać, ani na posłaniu leć, lampkę miódu i trochę bakaljów jej pozostawiłam, żeby się zabawiała, a strzegła usnąć, bo wiem, że ją by zasie płacz dziecka nie obudził.

Mówiła spiesznie Szalitowa, ubierając się gorączkowo.

Oboje gospodarze, zaniepokojeni w najwyższym stopniu, zeszedli z zanoszącą się od płaczu Zofją na dół. Niebawem prawie kto żyw był na nogach. Najtrudniej przyszło rozbudzić się Teresce, pomimo, że Obertyński bił ją i kopał z wściekłością.

— Poniechaj jej, zawołał, widząc to, imci pan Jazłowski, dziewczynie śnać coś zadano; lepiej wody jej na łeb wylać.

— Świeconej wody do ust jej wlać krzywe, radziła Szalitowa.

Złana wodą zbudziła się Tereska i jęła drzeć na całym ciele. Z trudem przypomniała sobie co miało miejsce przed zaśnięciem. Wreszcie z pomocą zadawanych sobie pytań i przypominanych szczegółów, rozpowiedziała, że dobrze po odejściu Szalitowej wszedł do alkierza jakiś młody chłopak „na panięcia patrzący”, który jej rzekł jako przysłany jest przez panią Obertyńską, która wiele o dziecko niespokojna, kała zażrzeć zali śpi spokojnie.

— Pocóżes mu odpowiadała? Czemuś za drzwi go nie wyrzuciła; dość mocna na to jesteś! krzyknął z rozpaczą Obertyński.

— Przecz miałam myśleć, że łże? przecz miałam wyżenać onego judasza, kiej wszy-

stko dokumentnie mi gadał, jakby z moja panią do kupy był; prawil jako miłościwa pani w onej żółtej sukni z sobolowym futrem piękna dzisiaj jako nigdy!

— I co? i co? nalegali inni. czy zadał ci jakowego napitku?

— Ni!

— A pocóżes spać poszła, potworo, niegodna Boskiego miłosierdzia?

— Tak mnie cośik zamroczyło, jakim onego miodu, co pani Krystka przyniesiła, wypila.

— Przy nim pilaś...

— Ledwom zaczęła pić, jak on judasz wszedł do alkierza.

— Nie widziałaś, żeby ci co wsypał do lampki?

— Ni... Może kiedym do Jasia podeszła bo zaczął mi grymasić.

I znowu uderzyła w lament.

— Pewno, pewno wtedy jakowejś trucizny domieszał! mało co już w kubku zostało... Wróciłam od Jasia!... Moja ptaszyna złota, moje kochanie najmilejsze, gdzieś ty o tej godzinie!...

— Gadaj! więc co?... Wróciłaś od Jasia...

— Wróciłam od Jasia, a on bestja powieda, pora mi już iść; trąćma się na odchodnem.

— To on też pił! a co?

— Szklanice wina przyniósł wehodzący, co ją był kupił w gospodzie i kołacze białe takóž... I ja jadłam, jadłam, nie wiedząca że djabelski zjadam chleb!

— A jak wtedy trąciłaś się z nim?...

— Mało co już było w kubku, tom wy-  
piła do dna i wnet mnie zainroczyło, zatem  
podeszłam do okna, czoło krzynę do zimnej  
szyby przyłożyć i... i...

— I co?...

— Nie wiem, doszłam, zali nie doszłam,  
pewno padłam wedle posłania przechodzą-  
ca.

W tej chwili weszła do izby rozbudzona  
przez Szalitę Magda, służebna z gospody.  
Wiadomość, że dziecko zostało porwane ży-  
wo ją obeszła i wytrzeźwiła ze snu odrazu.  
Na pytania odpowiadała jasno i zwięźle.  
Młodego chłopca pamięta, bo nie pierwszy  
raz był w gospodzie, zawsze dużo pił, jadł  
i z nią rozmawiał. Tym razem mało co go  
widziała, ale bo też i izba pełna była żół-  
dactwa. Wypił szklanicę wina duszkiem,  
kazał sobie nalać drugą, wziął dwie ku-  
kielki, jabłkiem nadziewane i zaraz zapła-  
cił za wszystko, mówiąc, że może zapon-  
nieć, jeśli dłużej posiedzi. Zdawało jej się,  
że odszedł w głąb izby, pod okno. Kiedy  
wyszedł nie widziała.

Po zeznaniach Magdy nie wątpiono już  
że dziecko porwano z rozkazu Urfelda, a  
że dzień już robił się na niebie, O-  
bertyński z Jazłowickim uzbriwszy  
się odpowiednio, wyszli z domu, celem za-  
brania od pana Ładzińskiego paru drago-  
nów, dla udania się z nimi do domu Eskena  
aby pod grozą śmierci zażądać od jego sio-  
strzeńca oddania dziecka.

Zanosząca się od płaczu i mdlejąca raz po raz Zofję pozostawiono pod opieką Szalitowej, także ciężko zmartwionej nieszczęściem, jakie spotkało życzliwą jej osobę pod ich dachem.

Ranek był mroźny, wschodzące słońce krwawą luną zalało śnieżne pole, widziane u wylotu ulicy. Obaj panowie szli z pochylonemi głowami, zgnębieni, z wysiłkiem namyślając się nad tem co czynić wypada. Z wąskiej ulicy Podmurnej wyszła gromadka żołnierzy szwedzkich, z muszkietami na ramionach; przy idących w pierwszym szeregu szedł mężczyzna cywilny, ubrany w szubę z nastawionym kołnierzem po same oczy i w kołpaku lisim wciśniętym aż na brwi. Wyszli tak z za rogu, że odrazu spotkali się prawie twarz w twarz z Obertyńskim i Jazłowskim. Cywilny mężczyzna zwrócił się nagle do oficera, postępującego przy oddziale.

— To on, ten w niedźwiedziach, rzekł po niemiecku.

Zdumiony Obertyński ujrzał się obskoczonym przez żołnierzy szwedzkich.

— Z polecenia generała Marderfelda, aresztujemy waszmość pana i rozkazujemy iść za sobą, rzekł dość uprzejmie oficer.

Roman instynktownie sięgnął do szabli, ale spojrzał na swych przeciwników, policzył, że było ich czterem, pobladł śmiertelnie, ściągnął sobole brwi i spojrzenie pełne rozpaczyci rzucił Jazłowskiemu.

— Zośkę zwierzam ci, wuju i, na miły Bóg odnalezienie dziecka!

Jeden z żołnierzy pchnął go brutalnie.

— Nie pozwól waszmość potrącać szlachcica, rzekł po niemiecku do oficera...  
Wracaj wuj do Zośki, dodał w tejże mowie do Jazłowickiego.

Jazłowicki stał jak w ziemię wryty, widział uprowadzonego przez wrogów ukochanego siostrzana, którego był tak niespodzianie odzyskał po długich latach rozłąki, z którym żył się serdecznie w tych kilku ostatnich tygodniach, dzięki któremu spodziewał się znaleźć cel życia na stare lata. I jakaś okrutna pewność targnęła jego sercem, że widzi go po raz ostatni, że oto ten bujny, piękny młodzieniec prowadzony jest na śmierć. Więc pomimo powtórnego polecenia, nie zwrócił się do gospody, lecz wszedł za nim o kilkanaście kroków Sukienniczą i Szczytną i Żeglarską, aż do jednej z wież w murach od strony Wisły. Żelazne drzwi otwarły się na wezwanie żołnierzy, weszli w nie, uprowadzając Obertyńskiego.

— Romek! rzucił mu jeszcze z rozpaczą Jazłowicki! Romek, Bóg z tobą.

Ale Obertyński snąc tego nie słyszał, bo nie spodziewał się, że ktoś szedł za nim w tę okrutną drogę aż do kresu.

Jazłowicki spostrzegł natomiast, że cywilny mężczyzna nie wszedł w dziedziniec więzienny lecz zawrócił wzdłuż muru.

— To musi być Urfeld, pomyślał; jesteśmy sami, zatem natrę na niego szablą i zażądam zeznania, gdzie dziecko.



Ale w tej chwili rozległa się hulaszczą piosenka w obcym języku; Jazłowiecki spojrział przed siebie. Od skut, które lody uwięziły na Wiśle, stanowiących jednak spiżarnie zdobywców, szło kilku żołnierzy szwedzkich. Zrozumiał, że Urfeld znalazłby wnet obrońców, a może przytem pozabawił panią Zofję ostatniej opieki, więc przycisnął się do wnętrza muru, pozwolił przejść przed sobą zamyślonemu Niemcowi i po kilku chwilach pociągnął też ku miastu, rozmyślając z boleścią, jak opowie Zofji o nowem strasznem nieszczęściu.

## Rozdział IX.

### Zemsta dokonana.

Po krótkim zbadaniu został Roman odesłany do Dybowskiego zamku.

Odgłos zegarów miejskich nie przedstawiał się do wieży, w której osadzono Romana, tem więcej czas mu się dłużył i po dwóch godzinach już by gotów był przysiądz, że siedzi w ciemnicy dzień cały; głód coraz dotkliwszy zdawał się stwierdzać to przypuszczenie. Ale chociaż żaden odgłos nie dochodził z zewnątrz, wewnątrz więzienia pełne było szmerów i różnorodnych głosów, przebiegające raz po raz szczyry głuchym tententem i piskiem napełniały izbę. W miejscu przy ścianie, mającej swe fundamenty w błotnistym brzegu Wisły, które pod ciężarem przykutego do ściany przez lat kilka nieszczęśliwego więźnia, obniżyło się, nasiąkło wilgocią i utworzyło cuchnącą kałużę, pluskały żaby,

zwyrodniałe, odzywające się dziwnemi, rzekłbys niesamowitemi głosami! Jakis śmielszy szeszur wskoczył na kolana siedzącego na zbutwiałej słomie Romana, ale poczęstowany rękojeścią szabli z kwikiem uszedł do jamy. To sięgnięcie po szablę nasnęło Romanowi myśl zabawienia się krzyżową sztuką, jał przeto młynkować nią w powietrzu i zadawać rozmaite cięcia, przypominając sobie jak zadawali ciosy i parowali takowe różni znajomi rycerze.

Dzięki tej zabawie i szeszury się uciszyły i czas mu szybciej mijał. Dużo upłynęło czasu zanim uczuwszy silne zmęczenie ramienia, rzucił się na słomę. Wyczerpane siły zmusiły go do tego, niemniej ledwie legł, pożałował poddania się niemocy, bo czarne myśli, jak za zrządzeniem złego czarownika, wypełzły z dna duszy i jęły snąć najokropniejsze obrazy. Coś się przestoczyło w jego umyśle, gdy zamknęto go w ciemnicy, odczuwał zrazu dotkliwie tylko to wszystko co stanowiło namacalną, niejako niedogodność, lub cierpienie: ciemność, wilgoć, brak dogodnego siedzenia, wreszcie głód; obawy o siebie nie odczuwał żadnej, zawiele było w nim bujnych sił żywotnych, zaczęsto wychodził obronną ręką z niebezpieczeństw, aby i w tych okolicznościach poczucie własnej mocy i wiara w opatrność Boską nie brały nad nim góry. W tej chwili, jakgdyby w bezcelowej szermierce wyczerpał wszelką siłę nietylko fizyczną ale i duchową, uczuł się bezmadziejnie słabym, a położenie bez wyjścia. I mało

myślał o sobie... Śmierć!.. ta jedna chwila i przejście do żywota wiecznego; troskliwie wglądał w swe sumienie i nie znajdował na niem grzechu, który by mógł pozbawić go światłości niebieskiej: nikogo nie ukrzywdził, modlitw, postów, jałmużn stosownie do przepisów Kościoła przestrzegał, od młodości z nieprzyjaciółmi jego walczył... muzułmany, luterskie Szwedy... A odkąd tę anielską Zośkę poślubił, żyje wprost przykądnie i nie odmieni się żaden miesiąc na niebie, aby jakimś dobrym uczynkiem, za jej podszeptem sprawionym, Boga nie uradował. Nie drżał więc przed tem, co może spotkać go po dokonaniu żywota, ale o to co za sobą zostawiał na ziemi.. Zośka!... taka dobra, jasna, słodka, a słaba białogłowa, dziecko!... to jedno porwane, niewiedzieć w czyich rękach zostające i to drugie, co przyniesie ze sobą nieuknioną klątwę pogrobowca! Ból tak przenikliwy przeszył serce jego, że rękę wcisnął między zęby, aby dusza nie odezwała się jękiem, którego by sam przed sobą się wstydził. Potem padł na kolana i modlił się długo, żarliwie.

Szczury, znęcone ciszą, znowu z kątów wyległy, denerwującem łopotaniem i skrobaniem przeszkadzając Romanowi w modlitwie. Zwłaszcza dwa, najśmielsze raz po raz przyskakiwały do jego buta, nacieranego tłuszczem, zapuszczając zęby w skórę, poczęstowane kopnięciem, odskakiwały z piskiem, by za chwilę znowu szczęścia próbować. Ale przyszła chwila, że rzuciły się do nieczki i z kwikiem wpadły do dziury...

W podwojach zazgrzytał zardzewiały zamek. Porwał się też z kolan Roman, nie chcąc, aby go przychodzący wróg w kornej zastał postawie.

Smuga czerwonego światła weisnęła się do komnaty, zanim wchodzący zdjął jeszcze jakiś łańcuch i kopnięciem nogi rozwinął podwoje. Wszedł dozorca więzienny, niosąc w ręku dymiącą strawę w cynowej misce.

— Nie wiem, rzekł, wchodząc, czy nie jesteście na post skazani, ale że nie otrzymałem zakazu dania wam strawy, a godzina obiadowa wybiła, więc tak, idąc od drzwi, do drzwi...

Mówił to zwolna, trochę zadąsanym tonem, osadzając pochodnię w kłamece i wręczając miskę więźniowi.

— Bóg wam zapłać, Rybko-Karpiu!

Dozorca zdziwione oczy podniósł na Romana.

— Znacie mnie?

— A nie broniliśmy to społem Brodnicy tej jesieni?

Rybka się rozpromienił.

— Miana waszego nie pomnę, ale wiem jakieście. miłośnicy panie do wszelakich wycieczek w pole na wroga pierwszy zuch byli.

— I ja pomnę, jakoś one służy na przeprowadzających się Szwedów puścić sprawnie.

— Stryeczny mój, Rybka-Lin, zginął przy onej okoliczności!

— A teraz sam Szwedom służysz!?

Dźwignął ramionami z determinacją.

— Komuś służyć trza, tera oni tu pany; i tak łaska Boska, że mnie w polu nie u-siekli, ani w jeństwo nie zagarnęli.

— Tak, rozumiem, ale i to tuszę, że gdy ci Pan Bóg w swem miłosierdziu okazję do zratowania towarzysza broni nastreczy, iad będziesz onej sposobności.

— Gdzie mnie, nędznemu robakowi, gli-  
ździe ziemnej, o takowych rzeczach my-  
śleć.

— A toć, towarzyszu, moje życie w two-  
ich rękach.

Rybka z niepokojem ku uchylonym  
drzwiom zerknął.

Roman sakiewkę wyjął z kieszeni i du-  
kata z niej wydobył. Nie rzekł jeszcze nic,  
a dozorca już roześmiał się oczy, wyjrzał  
na korytarz i drzwi zamknął starannie.

— Słuchaj, towarzyszu, odezwał się zno-  
wu Roman, podając Rybce złoty pieniądz,  
masz klucze od więzienia, wypuść mnie, a...

Rybka wyciągnął ręce przed siebie, jak-  
by chcąc odepchnąć jakieś przerażające wi-  
dmo.

— Nie mogę, panie, nie mogę!

— Rozumiem, ciągnął Roman, że nie  
mógłbyś dokonawszy tego w miastowej służ-  
bie pozostać, ale to też uchodź ze mną, po-  
rzucimy Toruń, pójdziemy na daleką Ka-  
szubszczyznę, w orszaku moim ukryjesz się,  
zemsta żadną miarą tam cię nie doścignie,  
a ja i małżonka moja, wdzięcznymi być po-  
trafimy.

— Wszystko to dobrze, miłościwy panie,  
ale sęk w tem, że ja klucze jeno od cel na

onym korytarzu posiadam, a chcąc opuścić wieżę, trza być wypuszczonym od dozorecy z tej strony głównych dźwierzy i być przyjętym od wartownika z tamtej strony.

Roman z rozpaczą opuścił łyżkę.

— Radbym, z duszy, serca radbym zratować waszmości, ale nie w mocy mej, nie w mocy.

I pokornym gestem usiłował wcisnąć dukat z powrotem w rękę Obertyńskiego. Odtrącił go stanowczym ruchem.

— Jeśli nie możesz wypuścić, to zrób choć jedno... Kiedy wieżę opuścisz?

— O zachodzie zmienia mnie.

— Zatem pójdź zaraz do małżonki mej, pani Obertyńskiej; znajdziesz ją w gospodzie pod Modrym Fartuszkiem; powiedz w jakowej jestem opresji. Ona sama z wujem z Pelplina, ratunek dla mnie obmyśli. Ażeby zaś snadniej ci uwierzyła, pierścień ten jej oddaj. Ufam, że w uczciwe składam ręce.

— Wielmożny panie, rzekł Rybka, chrześcijaninem jestem i katolikiem, siódme przykazanie „nie kradnij” matka dobrem słowem, a ojciec batogiem od dziecka mi wdrażali w duszę; możecie mi zaufać i oddać nie tylko ten pierścień, ale i sakiewki i guzy, co macie przy żupanie i nawet on pas złotolity.

Roman nieufnie spojrział na dozorecę.

— Dobrze wam radzę, zaufajcie mi. Nie minie godzina, a przyjdą naczelniki od więzienia i z wszystkiego was ograbiają... Albo mi to pierwszyna, albo nie wiem, jakie to

tu porządki! Szablę nawet radzę wam wciśnąć w ten czarny kąć przy wykuszu, bo wezmą ci, ani chybi, a ostać przez broni...

Uczciwość biła z twarzy dozorey.

— Wszystko co dacie, małżonce waszej wiernie doręcę, za wyjątkiem onego dukata, skoro taka wasza wola.

— Tak, czuję, że mogę ci zaufać; wszystko, co mam cennego oddaję ci, zanieś to mej małżonce. Dukata zatrzymaj sobie, a ona ci bez mego rozkazania dużo więcej dołoży, wdzięczn. sercem usługę przyjmując.

Ciężar wielki spadł z serca Obertyńskiego. W jego pogodnej, silnej duszy, ugruntowała się zupełna pewność, że skoro nadzwyczajna pomoc zjawiała się tak zaraz u wstępu do więzienia, wyjdzie zeń niebawem i odzyska żonę i syna.

Przed wieczorem przyszło dwóch żołnierzy ze starszym, celem pozbawienia Romana niebezpiecznych przedmiotów, za takie uznano ciężkie niedźwiedzie futro, aksamitem kryte i kołpak sobolowy i safjanowe buty. Zdziwiono się przytem bardzo nie znalazłszy przy więźniu szabli, guzów przy żupanie i zrewidowawszy zupełnie puste kieszenie.

— Myślicie, że ci co przyprowadzili mnie tutaj nie postarali się otrzymać coś za swą fatygę? rzekł z ironją pan Roman.

Uwierzono w to i przeprowadzono rozneglizowanego przez korytarz, na którym nawiany wybitymi oknami śnieg, leżał grubą, zbłoconą warstwą, do innej celi, mniejszej, położonej na wyższym piętrze, ale po-

siadającej tapczan, świeżą słomą usłany i wąski kominiek w rogu, na którym wesolo trzaskały płonące gałęzie.

Obertyński, pozostawiony sam, zaraz przysunął się do ognia, rozgrzewając zgrabiałe ręce.

Niedługo to trwało; zazgrzytał znów klucz w zamku, skrzypnęły podwoje i przez uchylone drzwi wpadł przedewszystkiem odgłos, który wstrząsnął gwałtownie sercem Romana. Na korytarzu płakało dziecko, płakało zupełnie tak, skarżyło się temi samemi monosylabami, jakimi skarżył się nieraz jego Jasinek. Ale do izby wszedł szybko młody mężczyzna, drzwi zatrzaskał za sobą i stłumił płacz dziecka.

Byłóż to tylko złudzenie przedenerwowanej wyobraźni?

Mężczyzna, który wszedł do izby był wysoki, okryty czarnym płaszczem od oczu, błyszczących pod szerokim rondem kapelusza, aż po koliste cholewy butów. Zamknawszy drzwi odwrócił się, stanął w smudze światła kominkowego i nagle płaszcz opuścił. Obertyński zadrżał; przed nim stał Urfeld, zwracając nań twarz, tehnącą nienawiścią i pogardą.

— I na co ci to przyszło, mości panie Obertyński!... zawołał. Jesteś w moim ręku!

— Jestem w ręku Boga, przerwał mu:

— Nie, w moim ręku jesteś; ty pan z panów, szlachcie i rycerz, jesteś w rękach moich chudopacholskich, mieszczanina, urzędowaniem jeno odznaczonego.



— Deus mirabilis!... Lada godzina fortuna może się zmienić!

— Ja nie pozwolę, tej dziewczce, losu pokornej słudze, oblicza do was odwrócić. Pospieszylem się; tam już twój los zdecydowany, wyrok zapadł; jutro rano na śmierć cię poprowadzą, na szafot.

— Jest zatem przedemną jeszcze noc, dwunastu godzinami ograniczona i nieograniczona moc Boska.

— Nie ci ona nie pomoże. Śmierć cię nie minie!

— Śmierć nikogo nie minie, a kilkoma laty później, czy wprzódzi!...

— Wiem, że męstwo twoje nie tylko w wyrzucaniu bezbronnych zacnych ludzi folgę miewa i wierzę, że nie zadrzysz na widok kata z toporem w dłoni, na twój damny kark czyhającego, ale i to wiem, że jednego dusza twa nie ścierpi, to dobrowolnego wyroku śmierci na żonę twą i dziecko.

Ponure, pełne nienawiści, lecz i zainteresowania spojrzenie Romana, było mu odpowiedzią.

— Syn twój jest w moim ręku... Nie wierzysz?... Skoczył ku drzwiom, uchylił je i rzucił w głąb ciemnego korytarza.

— Rudolf! bywaj tu!

Przytrzymał drzwi, któremi wszedł znany nam chłopak z dzieckiem na ręku. Malec, otulony w opończę, smoktał w tej chwili kawał cukru trzcinowego i był spokojny, spostrzegłszy jednak ojca, rozkrzyczał się w niebogłosey, wyciągając do niego rączy-

ny. Obertyński także nie umiał się powstrzymać od objawienia najwyższego wzruszenia, rzucił się ku dziecku, ale uderzył się o pierś Urfelda, który mu drogę zastąpił. O jakżeż żałował w tej chwili, że go zabrano z kazamaty, w której przytulona do występu muru stała jego ostra szabla.

— Hola, panie Obertyński! Będziesz mógł uściskać i pożegnać syna, wprzód jednak pogadamy o warunkach, jakie dadzą możność zapewnienia dziecku i małżonce waszej bezpieczeństwa i spokojnego, a nawet szczęśliwego żywota... Rudolf, wynieś dziecko, bo nazbyt się drze; czekaj mego zawołania.

Rudolf wyszedł, wtykając znowu przemocą cukier w usta dziecka, a Urfeld zwrócił się do Obertyńskiego.

— Przekonałeś się, że dziecko jest w moich rękach. Małżonka wasza niemniej każdej chwili może znaleźć się pod moim dachem i w mojej mocy, ale ja nie chcę brać jej przeciw woli. Tuszę przeto, że waszność pan, nie chcąc żonie najcięższej przeznaczyć doli, raczy jej rozkazać, uprosić i pismem przyniewolić, aby mnie poślubiła...

— Nigdy!

— ...aby mnie poślubiła, dziecku...

— Nigdy! nigdy! słyszysz!...

— ...dziecku ojca życzliwego dała...

— Po co ty to mi mówisz!... Sam nie wierzysz, abym upadł tak nisko, bym żo-

nie taką wolę przyporuczył! Ja szlachcic, zacie urodzony, ja...

— Małżonek i ojciec kochający!

— Tak, małżonek i ojciec kochający, nie może godzić się dobrowolnie, aby żona i dzieci do podlejszego ustępowały stanu, aby...

— Macie wóz i przewóz!... Ja małżonkę waszą bądź co bądź poślubię!...

— Ona ciebie nie zechce!... Zanadto mnie miluje!

— Tak nie zechce sprzeniewierzyć się twojej woli i dlatego dufam, że jej tę ulgę zrobicie, osłodę w doli...

— Nie! nie! nie!...

— Zapominacie, że mogę małżonkę waszą bez żadnych Sakramentów do łóżnicy swojej...

Porwał się Obertyński, piana wystąpiła mu na usta, ręce zacisnęły się kureczowo, skoczył ku Urfeldowi, ale ten umknął się tak szybko, że gwałtowne rzucenie się Romana, spowodowało silne uderzenie się jego o przeciwny mur, aż jęknął, chwilo-wo zamroczony.

— Tak sobie nie poczynaj, panie podkomorzycu; nie zapominaj, że mam szablę przy boku, a za sobą strażę i żołnierzy.

To powiedzenie Urfelda przypomniało Romanowi, że przecie nie zagasła jeszcze nadzieja wydostania się z więzienia, dzięki życzliwemu dozorecy. Opanował się i odezwał zmienionym głosem:

— Waszmość żądasz odemnie czynu nad ludzkiego. Na miły Bóg, wniknij wasz-

mość w mojej persons alteracją!... Toć żeby wyrzec takowy wyrok na samego siebie, trza trochę ochłonać, serca swojego srogi bunt opanować... Chcesz, żebym małżonce mej poślubienie ciebie, panie burmistrz doradził. Bene, atoli jak zdolę to wykonać, jeśli nie drogą pisma, a zali utrzymam ja pióro, chociażże lekkie w swem ręku?... Nie ma rady, do jutra czas musisz mi pozosta-  
wić.

— Zgoda i na to; oto inkaust i pióro; miast papieru, naści skóry białej kawalek, pieczęci nie trza, bo sam ono pismo dorę-  
czę jejmość pani. Życzę spokojnej i ma-  
drej decyzji waszmości; przyszlę wam ja-  
dło i wina gąsiorek dla animuszu.

Nienawistnym wzrokiem Roman zmie-  
rzył Urfelda.

— Dziękuję; kością w gardle stanęłoby  
mi wasze jadło, zatrulooby mnie wino! Na-  
tomiaast suplikuję o jedno: pozwólcie mi  
tę ostatnią noc w życiu z synem moim prze-  
pędzić; pozostawcie mi dziecko!

Urfeld namyślał się chwilę.

— Małżonka moja wdzięczną wam bę-  
dzie za oną łaskę wyświadczoną mnie, u-  
mierającemu, mówił przebiegle, a i ja ła-  
niej powierzyć wam moją niewiastę i dzie-  
cko zdolę, widząc że nie jesteście okrut-  
nym człowiekiem.

— Niech się stanie zadość woli waszej.  
Urfeld wyszedł na korytarz, zostawia-  
jąc za sobą drzwi otwarte.

— Rudolf, daj dziecko... Co to, śpi?

— Wsadził paluch w gębę i usnął.

— Daj, zaniosę go ojcu.

— Dać pokój, rozbudzi się i potem będzie się darł przez całą drogę.

— Ja go zostawię na noc u ojca.

— Co wam w głowie, miłościwy panie. Zali pomyśleliście nad tem, co robicie. Toć ten człowiek może raczej uśmiercić dziecko, aniżeli wam oddać, a takim sposobem cała wasza przewaga nad jejmością przepadnie.

— Masz rację, Rudolfie; lebski z ciebie chłopiec.

Jakaś ręka w żółtym kaftanie pociągnęła drzwi ku korytarzowi. Zazgrzytał klucz w zamku. Roman zatoczył się na tapczan, twarz ukrył w dłonie i zapłakał.

## Rozdział X.

### Promyk nadziei.

Promienna i zadyszana wpadła Szalitowa do alkierza pani Zofji.

— Nowinę! dobrą nowinę niosę wam, miłościwa pani! Tomko widział Heroda z Jasieńkiem.

„Herodem” przewano Rudolfa, w przypuszczeniu, że porwał dziecko Obertyńskich.

Pani Zofja upuściła na kolana zwój koronki, którą miała wkładać do szkatułki, poblądła bardziej jeszcze i zsiniałemi usty wyszeptała jakieś niewyraźne pytanie.

— A no, cały dzisiejszy dzień moi bracia, Benek i Jędrak, biegali po ulicach, a Tomko chodził tu i tam w pobliżu domu Eskenów, w nadziei, że ten djabelski wy-

słaniec nie gdzieindziej jeno tam dziecko zaniósł, bo wiadomo, że Urfelda to matki rodzony i tam, przybywszy ze Szwedami zamieszkał.

— No tak, więc co, który z nich?...

— Benek i Jędrak zbiegli wszystkie gospody, każdy w innej ździebko posiedział; pod Trzema Koronami widział Urfelda ze Szwemem i Ulmachem, przysiadł się poblisko, ale nie wiele z ich rozmowy mógł wymiarkować, zdaje się, że o publicznych sprawach mówili.

— Więc Tomek?...

— Tak, dopiero Tomko gdy słońce już stało za Krzywą Wieżą zobaczył, jak z sieni domu Eskenów wyszedł on djabelec...

— Tomko go znał?

— Obie z Magdą detalicznie opowiedziałyśmy mu jak wygląda i że na kapeluszu ma pióro w połowie czerwone, w połowie żółte. Tedy Tomko dobrze poznał, że to on, choć się cały aksamitnym płaszczem przyodział... Ale aksamit był wytarty i łatany w kilku miejscach. Pod płaszczem tym chłopczyk miało dziecko, które płakało i wołało po polsku: „do domu, do mamy ce!”

Pani Zofja porwała się z krzykiem, twarz przysłoniła rękami i wybuchnęła płaczem. Szalitowa ciągnęła dalej.

— Tomko poszedł za nim parę kroków, a potem zagadał po niemiecku:

— Skąd ci ten przybytek, kawalerze, nie wstyd to, żeby taki szwarny chłopak rzemiosło niańki sprawował. A on rzekł

bardzo politycznie: Stulcie pysk, bo nie wiecie w czym rzecz.

— Nie, nie! zawołała pani Zofja! To są jakoweś przewidzenia. Kto porwał dziecko, to ukrył je dobrze, a nie spaceruje z nim po ulicy.

Szalitowa się obrazila.

— Ja dla waszego dobra rozpedzilam braci na cztery wiatry, nie pozwolilam wrócić do domu póki jakowych śladów nie wywąchają, a wy lgarzy ze mnie i z moich chłopaków robicie!

Pani Zofja porwała ją za obie ręce, zwracając ku niej oczy łez pełne.

— Nie gniewajcie się, pani Krystko, boję się uwierzyć, abym zaś potem w gorszą rozpacz się nie zanurzyła. Ale wam sercem całem, duszą całą wdzięczna!

Przyciągnęła ją do siebie, całując serdecznie.

— Rozumiem, że wam dziwno być może, i ja w pierwszej chwili głową kręciłam niedowierzająca, ale skoro Tomko powiedział, że na rogu ulicy Żeglarskiej stał wóz namoszczony słomą, a w nim siedział Urfeld, i że Herod z dzieckiem wsiadł doń i pojechali kędyś wzdłuż Wisły, zgadłam, że śnać dziecko wywieźli z Torunia.

Pani Zofja załamała ręce.

— Nieszczęsna godzino! Wywieźli kajsi mego jedynaka i gdzie ja go szukać będę? Kraju całego nie zbiegnę, gońcami nie obeszlę.

Zaniosła się płaczem, Krystka Szalitowa pocieszała ją ze swego punktu widze-

nia, że z tych okoliczności wnioskować można jedno, że dziecko uniknęło najgorszego wymiaru zemsty, to jest śmierci, a jeśli wywiezione, to zapewne aby zostało przedmiotem przetargów, w nietykalnych warunkach zakładnika. Ledwo udało jej się przekonać i cokolwiek uspokoić nieszczęśliwą matkę, gdy do alkierza wszedł p. Jazłowski i rzekł zaraz od proga:

— Mam z imością w osobliwej materji na osobności pomówić!

Na twarzy Krystki odbił się wyraz przykrości; złożyła ukłon wchodzącemu i bez słowa ku drzwiom zmierzała. Przykrość jej odbiła się echem w subtelnej duszy pani Zofji, skoczyła za nią, wzięła w ramiona i do serca przycisnęła.

— Dziękuję wam, pani Szalitowo, za to troskliwe w mojem nieszczęściu baczenie i zachody.

— Albow to w nieszczęściu tem nie winna w pewnej mierze? Czym pilnowała dziecka tak, jakbym swego baczyła?

I rozplakała się głośno.

— Cóż ja bym miała taką miarą o sobie powiedzieć, którąm dziecko pozostawiła w takie niebezpieczne czasy, a sama poszłam się zabawiać!

— Poszliście męża strzec.

— Tak, pewno!...

— Idę, bo się wielmożny Pelpliński pan niecierpliwi.

— Tak, zostawcie nas, a to... tu zniżyła głos... weźcie odemnie na pamiątkę. przyda się wam.



— Koronki brabanckie, cały zwój!...  
Gdzieżbym ja to przyjęła!... Zrobiła wam  
w manelach takowy ubytek!

— Weźcie, pani Krystyno, jeśli mój  
małżonek, a choćby tylko synaczek nie  
wróci, żalobne jedynie szaty patrzeć mi się  
będą.

— Zośka, sprawa jest osobliwie pilna,  
syknał pan Jazłowiecki.

— Bóg zapłać, szepnęła Szalitowa, uj-  
mując radośnie zwój koronek i wybiegła.

Pan Jazłowiecki siedział za stołem, na  
którym rozłożył złotolity pas, a na nim  
dwie sakiewki, jedną pełną dukatów, dru-  
gą srebrnych pieniążków, guzy z koralu  
zapomocą maszynek wciskane w ubranie,  
tabakierkę z kości słoniowej i ozdobę z gra-  
natów w kształcie komety z kółka Ober-  
tyńskiego. Pani Zofja pochyliła się nad  
tem, pełnym niepokoju wzrokiem zrobiła  
przeгляд znanych sobie przedmiotów, py-  
tające a śmiertelnego przerażenia pełne  
spojrzenie rzuciła Jazłowieckiemu, a nie o-  
trzymawszy zaraz uspakajającej nań od-  
powiedzi, zachwiała się i padła zemdlona.  
Niemaló poniósł trudu, zanim położona na  
posłanie i roztarta solami, otwarła Zofja  
swe piękne, modre oczy.

— Per omnia sacre! opamiętaj się ko-  
bieto, nie wyprawiaj breweryj, a raczej o-  
boma uszami i wszystkim rozumem twoim  
słuchaj i nad sposobem ratowania Roma-  
na...

— Więc on żywie?... Nie od trupa to  
zabrane pamiątki?

— Żywie i do tej pory, dzięki Panu Jezusowi i Pannie Najświętszej, cały i zdrow na ciele, one kosztowności szle tobie, bo jako od pozostającego w rękach nieprzyjaciół, snadnie przez jakowego lotrzyka zabrane byćby mogły.

— A gdzie? gdzie mój miły?

— W wieży Dybowskiego zamku.

— Boże miłosierny! Jakże go wydostać stamtąd.

— Gratio coeli, znalazł się dozorca z pośród obrońców Torunia, który do Romka jako do towarzysza się odniósł, nowiny nam przynieść przyrzekł i wszystko co cenne zabrał od niego, bo Szwedzi, jako i Niemcy, radzi zawsze przy takowej okoliczności dobrem cudzem się obłowić.

— Gdzie? gdzie jest ten wysłannik aniołów?

— W izbie go pozostawiłem, przykazawszy Szalicie dostatnio go nakarmić; wart tego.

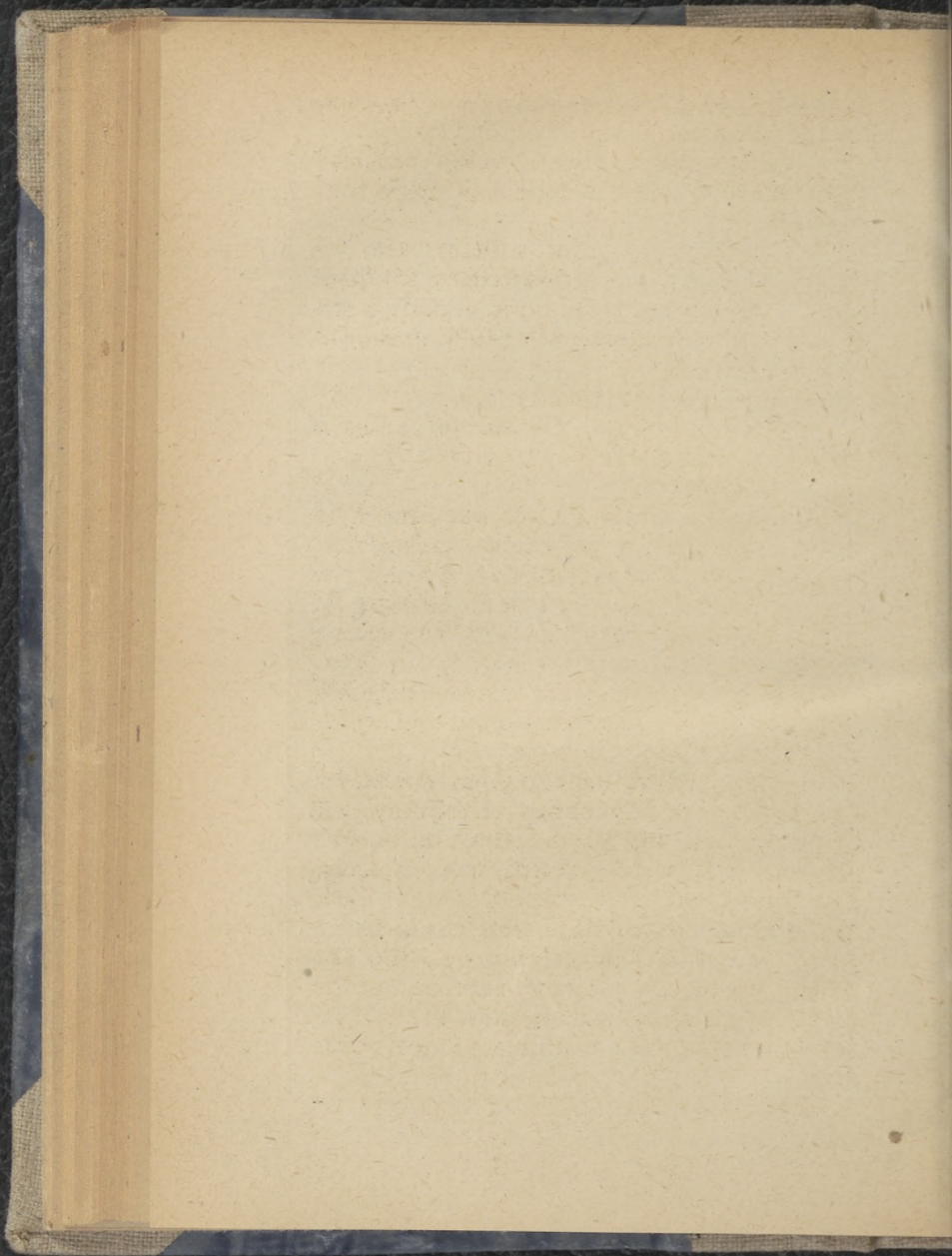
— Och, sprowadźcie go tutaj, wuju miłościwy, chcę by nam wszystko o Romku rozpowiedział.

— Takżeście długo z Szalitową rzegotały iż mniemam jako do tego czasu dostatecznie naładował brzuch, zatem przyzwę go tutaj.

Oddalił się do izby gospodniej, a Zofja, z przyzwyczajenia, poprawiła włosy i przyprowadzała do porządku odzież przed przyjściem obcego. Wszedł z dobrą miną, bo pokrzepiony paru szklankami miodu i stanął przy drzwiach, wytłuszczonym, skó-



Jaś! Jaś!... dziecko....  
Niema go! niema!..



rzanym kaftanem wsparłszy się o białą ścianę alkierza.

— Przystąpcie bliżej, rzekła pani Zofja i mówcie: więc widzieliście mego małżonka?

— Jakżem nie miał widzieć, kiej już dzień był jasny, gdy go szwedzey żołnierze z oficerem na korytarz wprowadzili, kazali zamknąć w nadrzecznej celi i strzec jak oka w głowie.

— Okrutnaż to kaźń?

— Pewno, że nie miłosierna; przez okna, szczurów pełna...

— O Boże!

— Gdy na Anioł Pański przynieśli kocioł ze strawą dla więźniów, zaniósłem i waszemu panu miszkę strawy, bo mi nikt nie powiedział, żeby był, jako Łukasz Jagnek, łońskiego roku, na głodową śmierć skazany.

— O niech wam za to miłosierdzie Matka Najświętsza nagrodzi, a i mojej wdzięczności pewni być możecie!

— Zgadaliśmy się z panem chorążym, przypomniałem my obronę Brodnicy, no i tak, od słowa do słowa, oddał mi one kosztowności i iść tu poklonić się waszmość pani przykazał.

— Boże on w takim strasznym lochu!

— To ino tak, na pierwsze składowisko; potem przyszedł główny dozorca, powiedział, że go do paradnej izby zabiorą, bo jakowis wielmoże z miasta mają go odwiedzić.

I był kto?

— Widziałem, jak po zachodzie słońca szedł po schodach jakiś strojny pan, a z nim pacholę młode niosło na rękę płaczące dziecko.

— Dziecko!... Na miły Bóg!.. Nie by-  
łoż to przywidzenie?

— Przeciem nie pijany, bo od świętej niedzieli pierwszy raz kusztyczek miodu wypilem. Dziecko widziałem własnymi oczyma, włoski jak len, jak wielmożna pani podobne...

— Moja dziecina, mój aniołek drogi!

— I nietylkom widział, ale słyszał, z dobre trzy pacierze, płakało i wołało, to „mama”, to „tata” to jakoś... „leska”.

— Tereska! tak to on, nikt inny, on zawsze na Tereskę „leska” wołał! No i co, czy tę dziecinę takż do więzienia wtrącili?

— Widzi, mi się, że tak, i to z naszym panem chorażym pospołu, bo jego ino celę otwierałem, wszedł tam najprzód sam jeden on wielmoża, potem giermek z dzieckiem, no i pewno malca ostawili, bo jakim zszedł na dół, żeby więźnia z pod krzywej belki na sąd wyprowadzić, wróciwszy spotkałem obu na schodach, ale dziecka śnać nie było, bo płaczu nie słyszałem.

— Boże, Boże, czy aby go ostawili przy moim małżonku!.. Może zabili go w oczach ojca, by najsroższą zadać mu męczarnię!

— POCO takowe rzeczy suponować, które jeno mdłość członkom naszym i sercu

zadają, lepiej mężnie, stando\*) nieszczęście spotykać, a trzeźwym rozumem baczyć, zali skąd jakowy ultor\*\*) się nie jawi. Ja myślę, że Urfeld, chce ich społem mieć na oku, a o okupie teraz pomyśleć, boć taki mieszczuch vulgaris\*), jakowych szlachetniejszych sentymentów i szukania czystej, bogom milej zemsty, chęci w duszy swej nie posiada.

— To jedno niedobrze, odezwał się tu zakłopotanym głosem Rybka, że Urfeld, który mnie w dozorstwie do jutrzejszego południa zastąpił, otrzymał zlecenie, żeby rano żołnierzy puścił, co pana chorążego pod topór katowski poprowadzą.

Iżnowu wiadomość ta nie była proporcjonalna do sił pani Zofji, omdlenia następowały jedne po drugich, aż topiony wosk na podolek lano i dopiero srogi ból fizyczny przemógł moralny i pozwolił jej przywołać wszystkie władze umysłowe dla obmyślenia środków ratunku.

Nastąpiła nagle reakcja, Zofja po męsku brała udział w debatach nad sposobami wykradzenia Romana. Dowiedziano się od Rybki, że dla dotarcia do niego trzeba pozbyć się, lub przekupić trzech dozorców: jednego przed bramą, drugiego w podwórzu, trzeciego w korytarzu. Rybka brał na siebie pierwszego, krewniak jego, z rodu Rybków, niegdyś najpierwszego w cechach rybitwów, krzywdzonego przez zawi-

\*) stojąc \*\*) wybawca

\*) pospolity

stnych Niemców, który nienawiść do nich z piersi matki wyssał. Przyłożyć mu kilka dukatów nie zawadzi, boć będzie musiał czempredziej zabrać żonę i dziecko i zejść z oczu dawnych swych panów. Do dwóch drugich dozorców trzeba będzie zastosować przemoc, bo są nimi świeżo przybyli Szwedzi.

W przewidywaniu tego pan Jazłowiecki poszedł, aby poszukać kilku zbrojnych pacholków, którzy za dobrą zapłatą, zdobędą szwedzkie przebranie i kogokolwiek bądź z lekkim sercem zasztyletują. Zabrał z sobą Rybkę, by go jeszcze przed niebezpieczną drogą pokrzepić, pozostawiając Zofję, podnieconą i zgorączkowaną.

Gdy po godzinie wszedł do jej alkierza, spostrzegł ze zdumieniem siedzącą w obcysłym stroju męskim, który jej już zmienioną figurę śmieszoną czynił. Stojąca za nią Krystka starannie włosy jej pod okrągłą czapkę chowała.

— Na miły Bóg, a to co za maskarada!?! Zośka, zamysłaszże z nami iść?

— Jako żywo; pani Krystka szaty Gustka, najmłodszego brata swego, mi przyniosła.

— Ale jakże ty wyglądasz! Każdy łatwo pozna, żeś białogłowa.

— Płaszcz tu dostatni mam.

— Ale przecz chcesz iść z nami? Pomocą nam nie będziesz, jeno przeszkodą!

— Ja muszę iść!



Niebezpieczeństwo primas partes \*)  
ściągniesz na siebie... A skoro jeszcze za-  
czniesz brewerje i mdłości, płacze i czkaw-  
ki jako przed godziną było, piękna będzie  
historja.

— Zobaczycie jako mężnie się zachowam.

— Ale przecz, przecz ty z nami w onych niebezpiecznych perypetjach?

— Tam może dziecko moje... kto jeśli nie ja w ramiona swe weźmie i utuli!?

## XI.

### Odsiecz.

Wśród przejmująco czarnej nocy szli poślizgując się na miejscach równych, u-  
tykając w dziury i rozpadliny, klnąc bez-  
wiednie.

Benek, Jędek i Tomko Wendorfowie sami zaofiarowali swe bezinteresowne u-  
sługi, w miejsce płatnych i zawsze niepe-  
wnych najemnych zbirów. Dorodni, krzep-  
cy, wyrobieni w sztuce wojennej czasu dłu-  
gotrwałego oblężenia, szli teraz ochoczo,  
chęcią wrażeń z jednej strony, pragnie-  
niem przysłużenia się dobrej pani Zofji z  
drugiej pędzeni.

Pan Jazłowicki szedł pierwszy, obok  
Rybki i otrzymywane od niego szeptem o-  
strzeżenia, przekazując postępującym za  
nim.

— Stańcie, szepnął Rybka, tu w pobli-  
żu musi być chata mego kumotra, który

\*) przedewszystkiem

nas łodzią przeprowi do Dybowskiego zamku.

Zatrzymali się wszyscy i podczas gdy Rybka oddalił się na lewo, pokrzepiali się winem z manierek.

— Czy aby nie poszedł on nieprzyjaciół uwiadomić, którzy nas tu otoczyć mogą z odcieniem trwogi szepnął Tomko.

— Wszystko w mocy Boga, również nie bez niepokoju dodał Jędek.

— Możecie być bez niepokoju, mości panowie, przeczyby to czynił? dla zysku?... Nie miały bogactwa małżonka mego, trzósów pieniędzy pełnych, guzów koralowych, pasa, które nie za byle grosz mógł sprzedać jakiemu żydowinowi? Mógł to zrobić i ktoby go karał, ktoby wiedział?

— Aż mi cudnie, że tyle uczciwości w grubem chłopisku się mieści, zauważył Benek Wendorf.

— Cichoście, szepnął Jazłowicki, ktoś skrada się ku nam.

Zaparli dech, rzeczywiście, jakieś ciche stąpania szły prosto ku nim, zaułkiem prowadzącym od rynku.

— Policzyli kości moje, wyskali krew moją, o szaty moje kości rzucali, rozległ się ponury, ochrypli głos tuż przed nimi.

Wzdrygnęli się wszyscy; pani Zofja drząc przypadła do boku Jazłowickiego. Benek objaśnił szeptem:

— To Choim, żydowin, który czasu niewoli tureckiej przy jednym chrześcijaninie, na galarach społem w ciężkim trudzie pracując, przez onego nawróconym został

i wody chrztu świętego zapragnął. Ochrzczony, gdy za sprawą wojewodziny Żółkiewskiej do kraju powrócił, był przez swoich tak męczony, że mu rozum do cna przewrócił się w głowie.

— Jeśli którego z nas zaczepi, dodał Jędrak nie trza mu sprzeciwu czynić, bo woneczas rzuca się, gryzie, jak dziki zwierz i dusić usiłuje. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, wyrzekł w tej chwili, spostrzegając, że Choim ręce na jego ramiona składa.

— Na wieki, wieków, amen. Śmierć krąży koło ciebie, ale nie lękaj się jej, albowiem po krótkim żywocie ziemskim, żywot wieczny cię czeka.

Złożył na twarzy jego pocałunek, zimnemi jak lód ustami i nucąc psalm, oddał się brzegiem Wisły.

— Wolejby zbrojnego pachoła, któryby mnie pod bok nożem zgnął, spotkał niż onego śmierci wysłannika przekłętogo! rzekł spluwając Jędrak.

— Gadasz waszmość bez sensu i chrześcijańskiej uczciwości, rzekł Jazłowiecki. Ożłek ten w wielkiem poszanowaniu u niebieskiego dwora być winien. Wiera, nie zapragnął on wody chrztu świętego, jako pierwsze Chrystusowe, a apostołskie drużyny, nie cierpiał to męki srogie, rękami zbrodniczych współbraci zadawane? A choć mdły rozum onych nie przemógł boleści, usta nie przestają wielbić Pana nad Panny, wielką nauką nam urodzonym chrześcijanom...

— Cichoście, idą...

Rzeczywiście wśród ciszy nocnej rozległy się kroki, dwóch osób, stąpających ciężko, choć starających się nie czynić kroku pewnym i posuwistym.

— Rybka? rzucił pytająco Jazłowski.

— Panu Jezusowi chwała, jest tu ze mną Czech, kumoter... wzięliśmy też drągi dla panów braci Wendorfów, bo kumoter powiada, że łodzią nie przejeździem jako, że wykutą w lodzie przeręblę już świeżym lodem zaciągnęło. Niema innej rady jak prom.

— Zgoda i na prom.

Na rzece zdawało się dużo jaśniej; na prawo i lewo szerokie płaszczyzny ośnieżonego lodu czyniły bardziej plastyczną sylwetkę miasta z jednej strony Dybowskiego zamku z drugiej. Woda czarna i bez blasku, monotony plusk promu i ciężkie sapanie kierujących nim ludzi składały się na przykry i ponury akompaniament pieśni duszy, która straszonym niepokojem napełniała panią Zofję.

Gdy przybili na drugi brzeg, Jazłowski hojnie wynagrodził Czecha, aby nie wątpił, że warto mu było zakłócić sobie spoczynek w ciepłej izbie i polecił czekać dla zabrania ich nazad za ponowną zapłatą. W milezeniu podeszli kilkaset kroków.

— Wstrzymajcie się waszmościowie, rzekł Rybka, sam pójdę rozmówić się z krewniakiem.

— Masz dla niego sześć dukatów!

— Boga mi! za tyle złota możnaby i Judasza przekupić, a Bartek prawy chłop.

Oddalił się, Pozostałą gromadkę pod ponuremi murami zamku ogarniało coraz dotkliwiej poczucie niebezpieczeństwa i grozy; w ciągu kilkunastu minut musi rozstrzygnąć się niebezpieczna partja, albo wyjdą zwycięsko tą oto bramą nabijaną olbrzymiemi gwoźdźmi, albo legną po nią krwawemi trupami, lub co gorsza skrępowanymi jeńcami w rękach niemiłosiernych wrogów. Pani Zofja czuła szum w głowie, gwałtowne tętno w gardle. Przed oczyma jej duszy zarysowały się kolejno fantastyczne obrazy, raz męża rozpromienionego, oddającego jej uradowane dziecko, to znowu okrutną wizję celi, na podłodze której leżał krwawy trup dzieciątka, a ponad niem pochylająca się, okaleczająca straszna postać męża, który był już w rękach oprawców, drogą tortur wymuszających zeznania. O tylu okrucieństwach mówiło się w owych czasach, jak o chlebie powszednim, wszystkie w spotęgowanej gorączką wyobraźni, szkicowały obrazy straszliwe i kazały wzdrygać się duszy.

Rybka powrócił zadowolony. Krewnika przekonał bez trudu, dowiedział się od niego hasła i imienia dozorców z podwórca i korytarza, przytem rad zaznaczał, że nie spowoduje nawet wielkich zmian w życiu Rybki-Kielbia, bo ten żonę i dzieci jeszcze przed wejściem Szwedów do Torunia, do rodzicieli pod Chełmno wyprawił i sam,

nie czekając, z onymi dukatami co miał w garści w drogę ku nim się wyprawił.

— Ułożmy zatem sposób wtargnięcia, rzekł Jazłowicki. Skoro brama na hasło Rybkowe się otworzy, wkroczą Rybka i dwaj panowie Wendorfowie, którzy sobie szwedzki strój zdobyli. Stante pede jeden z was czemkoli łeb dozorecy omota, drugi sztyletem pehnie i pójdziemy za Rybką na korytarz pierwszego piętra, gdzie to samo się powtórzy.

— Ja waszmościom staranne omotanie Augusta przyporuczam, rzekł Rybka i niezagłośnie wtargnięcie, bo warta śpi pobok, conajmniej dziesięcioro zbrojnego chłopca. Warujcie się ich pobudzić, boby ostatnia wybiła nam godzina.

Nie uważało za potrzebne towarzystwo zeiszać kroki przy postępowaniu pod zamek. Rybka śmiało ujął kołatkę i czterokrotnie nią uderzył, dwa razy wolno, powodując oddźwięk długi, dwa razy szybko, raz po raz, a silnie.

— Wer da? dał się słyszeć głos przytłumiony.

— Prosta szpada i krzywa szabla; to ja Rybka — Kielb i ichmościowie z dragonji pana Szendorfowej, niebezpiecznych ptaszków, złowionych tej nocy wiodący.

Zgrzytnął klucz, skrzypnęły podwoje, ukazała się długa szyja sklepionej bramy, rozświetlona olejną lampą, wiszącą pośrodku. Rybka wsunął głowę w charakterystycznej żółtej czapce dozorecy więzienne-

go, potem cofnął się, przepuszczając przed sobą Jędrka i Tomka Wendorfów.

— Nie wiesz jak oddać cześć wojskowym, groźnym głosem zakrzyknął Jędrak, zrzucając na ziemię kapelusz żołnierza o szerokiem rondzie.

Żołnierz instynktownie schylił się ku ziemi, a w tejże chwili Tomek zarzucił mu wór skórzany i silnie zaciągnął sznurki wkoło szyi. Żołnierz począł szarpać się, wydając głuche okrzyki, ale już Benek dopadł go, obalił na ziemię i wąski, długi sztylet w piersi mu wraził. Reszta przybyłych nie czekała wyniku zmagania, lecz z chwilą, gdy ujrzała worek na głowie wartownika, rzuciła się za Rybką w błotniste podwórko, a stąd po krętych oślizgłych schodach wieży ku korytarzowi, który obiegał kołem więzienie znajdujące się pośrodku.

— Cichoście, na miły Bóg, cichoście! zaklinał szeptem Rybka, skoro wartownik z korytarza posłyszysz, że idziemy, zakrzyknij na pomoc żołnierzy, którzy w kordegardzie czuwają, a wtedy zginiemy, co do jednego.

— Mnie przecie i brata, jako oficerów szwedzkich, prowadzących jeńców, wpuścić możesz.

— Żadną miarą, na piętrze wieży, ani jednej pustej celi; zaraz zmiarkuje, że nas tutaj nie mogły warty skierować.

— Co zatem począć?

— Zrobimy tak, rzekł Jazłowiecki. Cicho dojdziemy do drzwi i ustawimy się

tam w szeregu, gotowym do skoku i uderzenia. Wartownicy zwyczajni są po noccy po korytarzu się przechadzać. Zatem skoro znajdzie się pod naszymi drzwiami, a odwróci od nas, trza jednemu zręcznie a śmiało z tyłu go uderzyć, a drugiemu w tejże chwili płaszcz mu na łeb zarzucić, żeby zaś jakowego tumultu nie uczynił.

— Ja pójde pierwszy! ja! ja! ja! wołali jeden przez drugiego bracia Wendorfowie.

— Ja wprawny jestem w uderzaniu, wołał Tomek, mało to wołów od jednego pchnięcia położyłem u taty w bydlobójni!

— Ty Benek, zwracaj, miałeś już uciechę dokonać tamtego.

Uradzono, że w samym otworze drzwi stanie Tomek, za nim Jędek, Jazłowski, Benek, nakoniec Zofja z Rybką. Ustawiono się w tym porządku i kilka minut trwano z zapartym oddechem.

— Niema go, czy śpi? szepnął Jędek.

— We drzwiach jest kryte okienko, uważał Rybka, poszukajcie lewą ręką guzika na wysokości waszego ucha.

Przysłonkę z cyzelowanego żelaza odkrył Tomek, uniósł, rzucił okiem w korytarz i szepnął radośnie:

— Śpi!

— Idź, bij!

— Stój, stłumionym głosem zawołał Jazłowski. Trza się upewnić.

— Śpi, mówię wam, w szparze drzwi słyhać jak chrapie.

— Pomaluśku odsuwaj drzwi.



— Nie, szarpnijcie je raczej, radził Rybka, inaczej skrzypiec będą. Czekałta ja sam to uczynię.

Podsunał się do drzwi, szarpnął je i w połowie przytrzymał, przytem z zadowoleniem spojrział ku Jazłowiickiemu:

— Żebym tyle co paznogieć u małego palca posunał dalej, już by skrzypnęły, jak szubienica, sto lat na dworze stojąca.

— Jędrak, ty ze mną! Na palcach!...  
W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Jak złe duchy w swych czarnych płaszczach przesunęli się pędem przez korytarz, rzucając się ku śpiącemu żołnierzowi. Jak gdyby sam na śmierć się skazywał, ułożył się odpowiednio, łokcie wsparłszy na kolanach, głowę wtuliwszy w dłoń, a szeroki czerwonny kark otoczony białym kołnierzem, pod ciosy napastników podając; błysnął sztylet i zniknął w nim do połowy, lecz śnać zsunął się po kości i wbił się w mięśnie, porwał się bowiem żołnierz z sykiem i rozpoczął rozpaczliwą obronę. Zdołał wyciągnąć szablę i machał nią przed siebie, bez żadnej sztuki i zasady, pomimo to, odciał już ucho Jędrkowi Wendorfowi, i przeciął wzdłuż całe ramię Tonka.

Rybka tymczasem pochwycił klucze od cel, leżące na ławie.

— W której mój małżonek? bez tehu rzuciła Zofja.

— Nie wiem!

— O Boże!

— Otworzyć kilka cel, wypuścić kogo się da, komenderował Jazłowiicki; trza, że-

by się nie zorientowano dla kogo zrobiony był napad.

Zofja, Benek i Rybka rozebrali między siebie klucze, i według numerów kierowali się do drzwi.

Tymczasem wobec krzyków żołnierza, usłyszano łopot kilku par butów na podwórzu.

— Możecie się nie trudzić ielmościowie zawołał po niemiecku Jazłowieki, który przez otwór strzelnicy ujrzał biegnących ku wieży rajtarów, więzień jeden wywalił popsowane u dzwierzy zawiasy i uciekać chciał, alem mu już kopyta poprzetracał i leży cicho.

— Nie trza wam pomocy?

— Przeciw onemu pól żywemu nieborakowi?... Powiadam, możecie spokojnie w kości grać dalej.

I rzeczywiście napadnięty żołnierz leżał już cichy, tylko krew bulgotała z przetrzętego od ucha do ucha gardła. To Jędrrek pomścił tak swe kalectwo rzeźnickim nożem.

Równocześnie otwarło się troje drzwi więziennych. Pani Zofja ledwie zdołała się rozejrzeć w celi, z najciemniejszego kąta której, z barłogu zwalókl się chory Morwa, gdy silne jakieś ramiona otoczyły jej kibić od tyłu. Poznała ten rodzaj przygarnięcia, odczuła go przy sobie. Z krzykiem radości odwróciła się i na szyi mu zawisła.

— A dziecko! Jasinek! zapytała przedewszystkiem.

— W bezpiecznem miejscu, bo jako wi-  
dzą, za zakładnika go mają.

— Nie zabawiać się! nie zabawiać ich-  
mościowie, nawoływał Jazłowski. W no-  
gi! aby się wróg nie obaczył. Jędrak za-  
wiń głowę choćby moim pasem, niech krew  
na śladach naszych kierunku drogi nie  
zdradzi. Mości Tomaszu, otul rękę dobrze  
rękawem. Prosto ze schodów, a cicho, za  
Rybką, za Rybką! Baczac, że w kordegar-  
dzie i wartowni żołnierze! Cicho, ostro-  
żnie.

Przemknęto się przez podwórze i bra-  
mę, Jazłowski zewnętrzną bramę zam-  
knął na dwa spusty i klucz rzucił do Wi-  
sły.

— Nie wydostaną się łatwo dla zarzą-  
dzenia pogoni, mówił.

## XII.

### Jędrak Bez-Ucha.

Księżyc wyjrzał z za chmur i oświetlił  
szybko podążające postaci, z których dwie  
przytulone do siebie i okryte jednym płas-  
zczem słowa gorącej miłości szeptały.

Krystka Szalitowa oka nie zmrużyła  
tej nocy. Sama jedna wtajemniczona była  
w cel wyprawy, nie tylko sercem siostry,  
nie tylko życzliwej kobiety, ale i roman-  
tyczną trochę głową pragnęła powodzenia  
i triumfalnego powrotu Obertyńskiej i  
braci. Równomierną z siłą pragnienia by-  
ła siła niepokoju, dlatego odczuwała go o  
tyle więcej, aniżeli czasu obleżenia, gdy  
co noc po kilku z jej czterestu braci by-

wąło wśród obrońców. Wielokrotnie podchodziła do okna, uchylała małą szybkę z szafirowego szkła i wsłuchiwała się w ciszę nocy, przed świtem jeszcze wstała, włożyła futrzane buty męża, otuliła się szubą, zbiegła na dół i z bijącym sercem stanęła przy wrotach. Instykt jakiś wiódoznie wiódl ją w to miejsce w owej chwili. Doszedł ją bowiem wyraźny odgłos kroków kilku osób i szmer rozmowy. Wyteżyła wzrok i po sposobie wahadłowego przerzucania się z boku na bok przy stapaniu poznała Jędrka, zmierzającego wprost ku niej w pierwszym szeregu.

— Jędrak! krzyknęła radośnie, 'nie mogąc podbiec, dół spódnicy bowiem zaplątał się w ciernie i musiała starannie zdejmować rąbek z koley, aby nie rozszarpać materji! Jędrak! bywaj! powtórzyła, gdy już ją mijal.

Ale on nie zwrócił na to uwagi, mijając ją bez słowa. Spojrzała za nim; wydało jej się, że ma w sobie coś upiornego, w ogromnej, rozniesionej głowie.

Nie zdołała się zorjentować, że cały płaszcz otacza jego głowę, gdy nadchodzący Benek i Tomko wykrzyknęli radośnie:

— Bywaj siostró miła, ano dzięki Panu Jezusowi wracamy żywo!

— I cało, dodała radośnie, biorąc w ramiona szczególnie umiłowanego przez siebie Tomka.

— A no cało nie bardzo, odrzekł z uśmiechem; mnie jucha Szwed groblę od ramienia po łokieć szablikiem uczynił,

a Jędrkowe ucho może już więzienne psy w onej chwili dojadają.

— Co mówisz! ucho?... ucho całkiem odcięte?

— Jako hubka od drzewa — jednym zamachem.

— Rany Boskie! jako on bez ucha żyć będzie?

— A no wszystko w mocy Pana Jezusowej.

— Będzie się zwał Jędrak Bez-Ucha i ułatwi ludziom odróżnianie wród Wendorfów, których zawielka hurma w naszym mieście, śmiał się Benek.

— Lepiej mu zwać się bez ucha, niż bez dowcipu.

— Jezu Nazareński, królu żydowski, ależ to go strasznie boleć musi.

— Pewno, że go swędzi, a nie głaszcze.

— Zaraz po Icka poszlę, żeby go opatrzył.

Weszli wszyscy do jadalni Szalitów, wesołej z powodu jasnych, jesionowych mebli i mnóstwa pstro malowanej porcelany rostawionej na policach.

— Mój Jędrusiu miły, tak że cię on pluder okaleczył, mówiła z czułością Krystka, odwijając płaszcze z jego głowy, silnie krwią przesiąknięty.

— Owinęliśmy mu leb płaszczem, żeby ślady krwi pogoni za nami nie ułatwiły.

— O Jezu Nazareński! O Matko Bolesna litościwa! lamentowała Szalitowa, odrąbane, do cna odrąbane ucho i kawał mięsa z twarzy odcięte jak przez rzeźnika.

— Naszlachtuję ja ich za to, naszlachtuję, mówił zaciskając zęby z bólu Jędrzej Szalitowa i Benek jęli się przemywania ran Jędrka i Tomka.

— Ale powiadajcie, jako to było: dostaliście aby pana Obertyńskiego?

— To się wie, gdzie trzech Wendorfów było, tam przynajmniej trzech zratowanych być musi.

Wiecie kogośmy w onej wieży jeszcze znaleźli? A to pana Morwę, towarzysza pancernego.

— Tegośmy przez całą drogę społem z panem z Pelplina prawie nieść musieli, taką chorobą nawiedzony, gorąc od niego był jak od piekarskiego pieca opowiadał Benek.

— A kto tam był jeszcze?

— W jednej kaźni siedziało czterech: Bejda Władek i trzech jeszcze, których nie znamy, ale chłopcy na schwał, a bardzo polityczne.

— A gdzież pani Zofja? pan z Pelplina?

— Nie chcieli pana Obertyńskiego tu przywieść jako, że skoro się pomiarkują, tu przedewszystkiem szukać go mogą. Poszli ukryć go w jednej z zagród ojcowej bydłobójni, nocą go z miasta wywiozą.

— Ale i oni wnetki powrócą, w łoża jak by nigdy nie lec, żeby jak przyjdą żołnierze podejrzeń nie powzięli.

Jakoż o świcie przybył Jazłowicki z Zofją. Młoda kobieta powitana krzykiem radości przez Szalitową, padła jej w ra-

miona z płaczem, dając folę zdenerwowaniu, opanowywanemu przez noc całą. Krystka pomogła jej zrzucić męskie szaty i położyła do łoża, poczem przyniosła gorącą polewkę i karmiła jak dziecko drżącą kobietę słuchając planów, jakie snuła:

— Romana nie można ostawić w Toruniu; wujo Jazłowski obiecał mi zabrać go do swoich dóbr. Ja w mieście ostanę, póki Jasieńka nie odbiorę.

— Skąd pewność, że go odbierzecie?

— Wiemy już, jako w rękach pana Urzędowych się znajduje; pewnie on lotr będzie chciał grzechu i niesławy mojej za oddanie dziecka.

Krystka pobladła.

— Przystaniecie i na to!

— Będę zapewniała go, że tak uczynię. A skoro dziecko znajdzie się w moich rękach... Panu Jezusowi tylko wiadomo, co się zrobi; może go własnymi rękami udusić!

— Daj wam Bóg, daj wam Bóg tyle mocy.

I nagle jej ładne, piwne oczy błysnęły radością.

— Dopuszczcie go tu, do alkierza, choćby do łoża, a skoro będzie gotów, zakrzyknijcie na mnie, będę w pobliżu!... Szpilkami psubrata nabijemy! Ukropem po odrobieniu sikać na niego będziemy.

— Byle Jasieńka mieć! byle Jasieńka mieć.

Ledwie kilka godzin wypoczęła pani Zofja. Zabrała się gorączkowo do przygo-

towania wyprawy meża. Około południa sprowadzono do bydlobójni zaufanego cyrulika, ogolono starannie, przybrano w niewieście szaty, zawoje białe starannie na twarz nasuwając.

Zastali go zupełnie nagim, tulącym się w baranie, niewyprawiane skóry, których w schronieniu tam było poddostatkiem.

Opowiedział, że wkrótce po pozostawieniu go tutaj przez żonę, przyszli jakowis dwaj ludzie, których twarzy dla ciemności nie mógł odróżnić i wezwali po imieniu hajdawerów, bielizny i szkaplerzy, jedynych przedmiotów, jakie miał na sobie. Polecili mu potem okryć się skórami i zapewniwszy go, że czynią to dla jego dobra, odeszli.

Przebrany w niewieście szaty Obertyński udał się w towarzystwie jednego z pacholków pana Wendorfa do gospody pod Trzema Koronami, gdzie tytułowano go kasztelanową Leszczyńską i wielkie honory czyniono.

Szalitowie, Jazłowicki i Obertyńska dzień cały z niepokojem wyczekiwali rewizji i połączonego z nią zazwyczaj rabunku. Wieczór jednak zapadł, ten i ów przyszedłszy z miasta opowiadał o zuchwałem odbiciu więźniów z Dybowskiego zamku, o zamordowaniu dwóch dozorców, jednego więźnia, oraz o ucieczce żołnierza wartownika będącego zapewne w zмовie z napastnikami.

Zupełnie już po nocy przyszli Benek i Jędrak Wendorfowie, ten ostatni z głową



tak omotaną w opatrunki, że ledwo twarz widać mu było i zażądali od siostry, aby poprosiła do jadalni panią Obertyńską. Przyszła niepokoju pełna, zali nie przynoszą jej jakiejś złej wiadomości. Ale młodzieńcy mieli twarze pogodne i wesołe. Na wstępie oznajmili, że po dłuższej naradzie z panem Jazłowieckim i kilku ze starszyny postanowili wywiezienie Obertyńskiego opóźnić, dowiedzieli się bowiem, że narazie wszystkich wyjeżdżających zatrzymują przy rogatce, badając i rewidując. Ale jednocześnie zapewniali panią Zofję, że mąż jej w większym jest niż kiedykolwiek bezpieczeństwie, zarząd więzienia bowiem ma go za umarłego.

— Ledwośmy się rozstali z waszą miłością, mówił Jędrak i weszliśmy na Mostową, potknąłem się o jakieś ciało. Benek zaświecił hubkę, patrzymy chłop okazały na ziemi leży, z głową rozrąbaną czekanem; snąc dla rabunku go rozplatali, bo miał zabrane wszystko co na osobie i w kieszeniach wielmoży, a takowego zdradzały szaty i bielizna, znajdować się zwykło. Pomyślałem se: żeby tak leżał bliżej wieży, powiedzieliby że i ten to nasza sprawka. Zatem, rada w radę z braćmi, postanowiliśmy zbudzić Bartka i Otta, najsilniejszych i najbardziej rozmiłowanych w rzeźnickiem rzemiośle, parobków naszych i przyperuczyć im zabranie od pana Obertyńskiego odzienia wszystkiego co Szwedzi pozostawili na nim, przyodziania w nie trupa onego wielmoży...

— Za to mieli podzielić się przyodziewką zdjętą z niego, wtrącił Benek.

— Tak, przyodziewką dostatną. Potem odrąbać mu łeb, a ciało pozostawić u wrót więzienia...

I ścięcia tamże dokonali.

— Jako żywo. Łeb cisnęli do Wisły, a...

— I dali się Szwedy na hak przywieść, przerwał rozpromieniony Benek. Otto, udając rybitwę, jał w pobliżu przerebłę wyrąbywać i widział, jak zesła się starszyzna cywilna i wojskowa, jak przywieźli pana, na którego Urfeld mówili, a ten zapewniał, obejrzawszy ubranie i medaliki, jako to nikt inny jeno pan Obertyński być musi.

— Nie mogło inaczej być, zawołała wesoło pani Zofja; na jednym z nich, z wizerunkiem Najświętszej Panny ze Świecia, kazałam w czasie wryć: „najmilszemu Romkowi, żonka Zosieńka”.

— Jakoż przy takim corpus delicti miał mieć wątpliwość!

— Czy jeszcze mógł co zasłyszeć on pachol?

— Jużci, toć się tam gromadka ciekawych niemała zebrała, przystanął on bliżej jeszcze od drugich, a że doma u nich tylko po niemiecku mówią, rozumiał, jak się dziwowali czemu zaś jego zamordowali. Jedni powiadali że zrobili to nasi, to jest Szwedzi, inni temu negowali, dowodzący, że żołnierz byłby szpad przebił, lub czemniebądź na śmierć rozsiekł, ale przecz głowę mu uci-

nał i zabierał ze sobą? Zdecydowali przede-  
to, że nie może to być inaczej, jako, że pan  
Obertyński już ranny od którego z dozoro-  
ców, pod bramą bez życia padł, a inni  
chcąc odwrócić od siebie pościg, głowę od-  
rabali. Stąd wniosek, że wykradzenia do-  
konali pana Morwy, alibo Bejdów zwolen-  
nicy, bo gdyby tam byli pana Obertyń-  
skiego przyjaciele, toby na takowe sponie-  
wieranie trupa nie pozwolili.

— Zatem wszelakie niebezpieczeństwo  
od męża mego odwrócone! zawołała rado-  
śnie pani Zofja. Oko wroga już go nie ści-  
ga! Wszystko to dzięki wam, zacni pano-  
wie Wendorfowie.

— A no jakoś się zrobiło z Pana Jezuso-  
wą pomocą, rzekł Benek. Ale co ten po-  
mysł z trupem, co nam go Pan Bóg na Mo-  
stowej przygodził, to tylko Jędrkowy po-  
mysł.

— Ach! dla pana Jędrka, wdzięczność  
moja nigdy nie będzie miała miary. Tu  
słaby jeno, mizerny i najlichszy jej dowód.

Podala mu niewielki obrazek kwadrato-  
wy ze złotej blachy zrobiony, na którym  
wypukły wizerunek Matki Boskiej z dzie-  
ciątkiem Jezus się znajdował; zawieszony  
był na złotym łańcuchu misternej roboty.

— Ryngraf! wykrzyknął z radością Ję-  
drek biorąc przedmiot i przypadając do  
kolan Zofji. Ryngraf! jakbym rycerzem,  
alibo towarzyszem pancernym był!

— Daj wam Bóg jak najprędzej nim  
zostać! Co będzie w mojej i w męża mego  
mocy, to waszności w tem pomożemy.

Trzymaj się tylko waszmość mego małżonka.

— Ja i bez tego już sobie postanowił nie opuszczać pana Obertyńskiego. Zapytaj się, miłościwa pani Krystki, załim jej nie powiedział, że pod postacią woźnicy z panem chorążym pojedę.

— O Bóg wam zapłać!

— Kalekam już, bez ucha, ależ to mi nie przeszkodzi w każdej okoliczności zasłonić go i ratować.

— Więc przedewszystkiem pomnij waść jedno; znasz Albina Urfelda, burmistrza kościelżyńskiego?

— Znam.

— Zapamiętaj przeto; to jedyny małżonka mego śmiertelny wróg; od niego broń go i strzeż!

### XIII.

Przez dwa dni następne domniemana podkomorzyna Leszczyńska grała w warcaby z panem Jazłowieckim, a pani Zofja z niepokojem i niecierpliwością wyczekiwała przyjscia Urfelda, nie mając żadnej wątpliwości, o co ubiegać się i jakie warunki stawiać będzie.

Trzeciego dnia była już w formalnej gorączce, drżała o życie tego wroga, nieledwie tak, jak o życie męża swego lękała się dni poprzednich. Na przypuszczenie, że stało mu się cokolwiek, że już nie przyjdzie więcej, serce jej bić przestawało, bo jak wówczas szukać Jasieńka? Jakiemi drogami dążyć do niego?

Pod wieczór dopiero wbiegła Krystka i zakomunikowała jej z błyszczącymi oczyma:

— Przyszedł, przyszedł; szaty ma na sobie nikiej jak! wojewodzie, albo zgoła i królewicz; a olejkiem różanym leci od niego, jak od Greka handlarza wonności.

— Czy pytał o mnie?

— Nie wiem; z okna na górze go ujrzałam, przez izbę gościnną przebiegłszy, widziałam, że przy ladzie, snać dla animuszu, szklanicę najstarszego miodu ciągnie, a rad pogląda, że siedzący mieszczanie strój na nim wielkiej ceny podziwiają.

— O zdaje się, że idzie tu.

— To dobrze; nie odchodźcie zaraz pani Krystko, niech wie, że życzliwą niewiastę mam przy boku.

Zakołatano do drzwi, które wnet otworzyły się jak szeroko i na ciemnym tle, pograżonej w mroku izby gospodniej, ukazał się Rudolf. Miał na sobie krótki obcisły strój, właściwy giermkom, z niebieskiego jedwabiu, złotą frendzlą i galonami przybrany, na ramionach szeroki kołnierz z koronką, sztanowate włosy.

Paniątko, rzekłbyś, z królewskiego dworu.

Rudolf swe zimne, lśniące jak z porcelany oczy zwrócił na siedzącą pod oknem Zofję, usta jego przybrały wyraz ironji; wytrzymał ją chwilę pod strzałami tego wejrzenia nie kwapiąc się ze słowy. A Zofja na widok tego pięknego, a tak dla niej

groźnego pacholecia uczuła coś, jak ledowatą rękę, która brutalnie pochwyciła jej serce i zatargala boleśnie; czuła, że błędnie, że siły ją opuszczają, to też na wygłoszone przez Rudolfa: „Imci pan Albin Urfeld, burmistrz kościerzyński”, ledwie dosłyszalnym głosem wymówiła:

— Poproś!

Albin Urfeld strój miał poważny, złożony z żupana z materji genueńskiej, na tle złotogłowym tłoczone aksamitne czerwone kwiaty i kontusza ciemnozielonego z ljońskiego aksamitu o wylotach z blad różowego atlasu. Przepyszny pas, kołpak soboli, delja podbita błękitnemi lisami dopełniały bogatej całości. Złamał się w pół w ukłonie i szedł tak zgięty aż do jej kolan, które ścisnął pokornie.

Chciała wyrzec jakie powitanie, ale gwałtowne bicie serca, ścisnęło jej krtani i nie dopuszczało do słowa. Podniósł na nią oczy; wydała mu się piękną jak nigdy, w czarnej sukni i kwefie upiętym na jasnych włosach.

— Pani miłościwa, rzekł zająkliwie, nie wątpię, że wiesz... że nie mniemasz... że wierzysz mi... Oto klnę się na Boga, żeby tak kule, mór i zaraza miały mnie szczęśliwie, jako prawdą jest, że nie jam winien śmierci waszego małżonka.

— Nie wątpię o tem.

— Jakżem szczęśliwy, że to slysze. I ktoby nie chciał, moge mu zaprzysiężonych na krzyż i na kord świadków postawić, zem onej nieszczęsnej nocy spał w mie-

szkaniu wuja mego Wilhelma Eskena, nie o niebezpieczeństwie grożącym waszemu mężowi nie wiedząc. Żeby tak siarczysty ogień nie...

— Poco te zaklęcia, mości panie burmistrzu, przerwała Zofja, gdy ja z mej strony przekonana jestem, żeście nie targnęli się na życie mego małżonka. I ja wiarę mam zaprzysiąć mogę, na dziecko moje, oby przy życiu będące.

— Żywie wasze dziecko! żywie!

Zofja porwała się z miejsca.

— Wróć mi go, wróć! gdy w twoich jest rękach, błagała.

Urfeld zmieszał się.

— Nie w moich ci on jest rękach, ale wiem, gdzie się obraca i wierzcie mi, czuwam nad tem, aby włos mu nie spadł z głowy.

Zofja błagalnie złożyła ręce.

— Zwróćcie mi go, zwróćcie, na Boga! Ułitujcie się boleści mojej!

— Całem sercem pragnę to uczynić, wszelako nie jest to rzeczą łatwą. Ci co unieść dziecko kazali, położyli warunki zwrotu, o których zrazu może nie chcieli-byście słyszeć.

— Czemuby nie? Zali jest co zbyt trudnem dla matki, pragnącej odzyskać syna?

— Ciężko mi wam one conditia przedłożyć. Bo widzicie wieść o obeldze, jakiej doznałem od śp. małżonka waszego, lotem ptaka rozbiegła się po mieście i wstrząsnęła do głębi trzewiami honoru wszyst-

kich szlachetnych ojców miasta, od imci pana burmistrza Odelheima poczynając. Zwołano rajców do sali radzieckiej, gdzie w długich dyskursach nad wymiarem sprawiedliwości za owe podeptanie czci ucziwie urodzonego i wysoko postawionego mieszczanina, debatowali, różne arkania takowej przedstawiając. Jedni żądali gardła, coby się u miłościwie nam panującego króla Gustawa Adolfa, łącno uzyskało, inni chcieli zadośćuczynienia dokładniejszego.

Zawahał się chwilę, w jakich wyrazach dobrze myśli wypowiedzieć. Ona nieawistne spojrzenie mu rzuciła, ale nie spotkało się ono z jego wzrokiem błędzącym po zamarzłych szybach okna; wiedziała, że kłamie, wiedziała że oto przystąpi teraz do punktu, który obrażać będzie jej cześć kobiecą i godność szlachetnie urodzonej; jak na widok gorącego żelaza związała jej się w sobie przerażona dusza, szukając podpory w kilku modlitewnych wyrazach, powtarzanych raz po raz: Boże, miłosierdzia! Boże miłosierdzia!

On odchrząknął kilka razy i mówił, ciągle unikając jej wzroku:

Zażądano, abym o rękę waszą, miłościwa pani zabiegał i za waszem pozwolenstwem, jako prawą mą małżonkę do rodu Urfeldów wprowadził.

Ognie były na nią, a drżała na całym ciele.

— Rozumiem, jakby wam ciężko było bez przyzwolenia małżonka... Przedłoży-



łem mu onego wieczoru, w którym mówi-  
łem z nim, jak łatwiejszy będzie los wasz,  
jako mojej prawej małżonki, aniżeli tuła-  
cza dola wdowy; mówiłem, jak dla wycho-  
wania syna twego, miłościwa pani, trudu  
i sumptu szczenił nie będę... No i małżo-  
nek wasz przyzwolił, gorąco polecając na-  
mawiać waszą miłość...

— Kłamiesz! wyrwało się z ust Ober-  
tyńskiej.

— Na Boga i św. krzyż przysięgę mo-  
gę, jako mi uroczyście obiecał pismem do  
was własnoręcznem ową wolę swoją wyra-  
zić i do wypełnienia polecić... Gdyby nie  
to nieszczęsne morderstwo, byłbym tu  
przed wami śmiałem czołem stojący, pi-  
smem rzetelnem poparty!

Podniosła na niego łzawe oczy.

— Zali chcecie, abym tak świeżą żalob-  
bą okryta?...

— Nie, nie żądam, abyście wnet przed  
ołtarz ze mną stanęli. Pragnę jeno, abyś-  
cie publicznie oblubienicą moją się uznali.  
Do godów weselnych się sposobiąc, u ma-  
tki mej zamieszkać raczyli, a post czter-  
dziestodniowy, w popielecowym dniu wscho-  
dzący, jako prawa małżonka moja, powi-  
tali.

— A dziecko kiedy mi oddacie?

— Zaraz po otrzymaniu przyzwolenia  
waszego zwrócę wam go w zdrowiu i we-  
selu.

— A zatem przystaję! przystaję! Ale  
biegnijcie po mego synusia, biegnijcie za-  
raz!

— Przyrzeczenie musi być przynajmniej przy powadze dwóch świadków orzeczone.

— Sprowadzę Szalitów!

— Ja swoich świadków postawię.

— Kiedy?

— Dziś już późno.

— Nie późno! nie późno jeszcze!

— Także wam pilno do onego ślubowania? zapytał złośliwie.

— Jakże mi jeszcze noc jedną bez mego dziecka przepędzić? On tam płacze, tęskni!

— Upewniam was, że bynajmniej nie zbywa mu na kobiecej opiece, przeto na pieieszczotach i laskotkach.

— Luto mi bez niego!

— Niebawem mieć go będziecie.

— Zmiłujcie się nademną! Tyle już przez was strasznych chwil przeżyłam!

— Przemennie?!

— Jako żywo!... O, nie negujcie!... Sami suspieji mieć nie możecie, żebym wierzyła, że niebyło waszej woli, a działania w porwaniu dziecka i pojmaniu małżonka mojego!... Nagródźcie mi one lzy krwawe, które za nimi wyplakałam, wróćcie mi dziecko ninie, niech wiem, że macie serce, że mnie nie dla zemsty, ale z miłości pojmać chcecie. Toć boleść by dla mnie była niemiała, że mnie jeno dla zadowolenia górnych pragnień, alibo z rozkazu starszych w mieście pojmać pragniecie! Niech wiem, że mnie za coś macie, że we mnie choć ona macierzyńska godność szanujecie!

Porwała się z miejsca i przypadła mu do kolan, pokorna i błagająca. Zmieszał się Urfeld i jął podnosić ją z kolan.

— Miłościwa pani, co czynicie! powtarzał; mnie to przed wami na kolana paść, a koniuszki cizemków waszych kornie całować!

Opierała mu się.

— Nie wstanę z kolan; podniesiona dzie sięć razy upadnę, póki nie usłyszę wspólnaomyślnego zapewnienia, że synaczek mój dziś jeszcze zwrócon mi będzie!

— Jakże mi przyrzekać! Chociaż nie szlachcie, słowo dla mnie świętość. Przyrzeknę, to nie omieszkam dziecię wam dziś odesłać. A kto mi zaręczy, że nie ujdziecie z nim w świat, nie omieszkając, dzisiejszej jeszcze nocy.

Porwała się pani Zofja, otworzyła kuferek skórą losiową obity, wydobyla z niego skryteczkę perłową masą wykładaną i podała Urfeldowi.

— Oto szkatulka, są w niej moje bogactwa... Naciśnij ten koleczek, a wieko odskoczy; przekonacie się sami, jak wielkiej ceny są tam klejnoty. Weźcie to wszystko, niech jako zastaw wam służy!

Urfeld szkatulkę z rąk jej odebrał i postawił na stole, a oczu nie spuszczał z jej postaci. Stała przed nim z rozwianym włosiem, jak w aureoli złotych promieni, z błyszczącymi oczyma, z wypiekami na twarzy. Bił od niej jakiś żar, jakaś siła, jakieś nieskończone pożądanie. Ujął ją za obie ręce, przycisnął do swej piersi, że wy-

czuła gwałtowne bicie jego serca i sunął ku niej swą twarz rozpaloną, topiąc wzrok w jej licu.

— Innego, innego zastawu chcę od ciebie, przyszła małżonko moja!

Cofnęła się przed nim, wzrok rannej gazeli zwracając na niego, aż opadła na fotel stojący za nią, dysząca, przerażona. Czowała ze wstrętem oddech jego przepojony wypitem niedawno winem, aż zadrżała usłyszawszy stłumionym szeptem wyrzuczone:

— Jedyne zastaw, to ty sama!... Ciebie pragnę!... Choć chwil kilka! choć chwil kilka!

Szarpnęła rękę, tak, że wyrwała je z dłoni mężczyzny, kalecząc palec jego prawą jednego z pierścieni. Nie mogąc zapanować nad sobą, rzuciła mu spojrzenie takiej pogardy i nienawiści pełne, że ochłonał cokolwiek, zawahał się chwilę i dodał zmienionym tonem, jak gdyby przez upór tylko obstawał przy swoim:

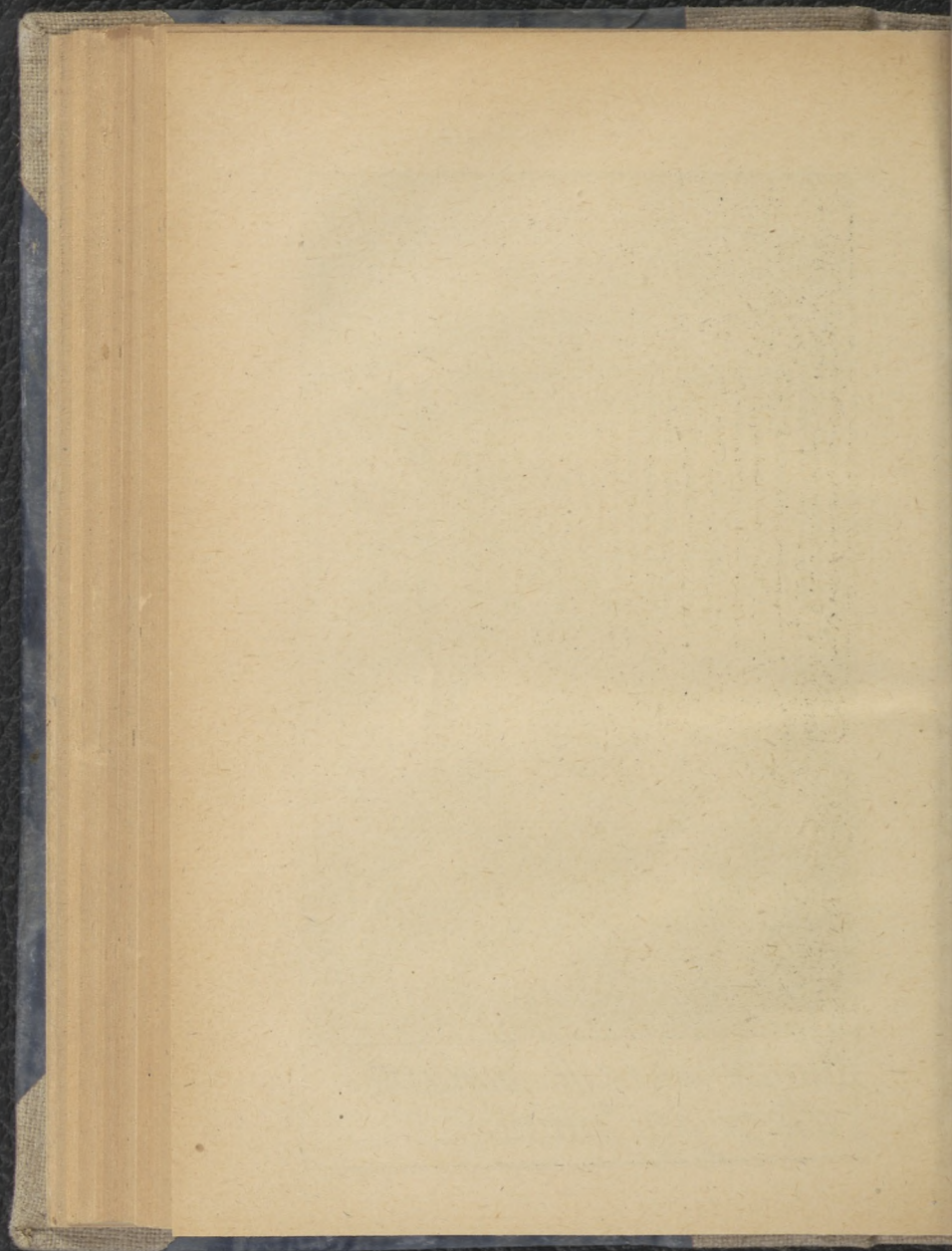
— Choć jeden pocałunek, choć jeden! Wyciągnęła przed siebie ramiona, jakby gotowa do obrony.

— Inaczej nie odeszlę dziecka!... Pomyśl, miłościwa mi!... Jeden pocałunek, a za godzinę będziesz miała dziecko w swych objęciach!

Zamknęła oczy, rozkrzyżowała ramiona, głowę rzuciła na wezglowie fotela. Przypadł ustami do jej ust; były zimne jak lód, chłód jakiś i lęk go ogarnął, że ograniczył się jednym pocałunkiem, lek-



*Nagle okrzyk wydart  
się z jej piersi .....*



kim, przelotnym; poczem wyprostował się podniósł kołpak, który mu upadł z rąk na ziemię, złożył niezgrabny ukłon i wyjąkał, zmierzając ku drzwiom:

— Idę po dziecko!

Długą chwilę Zofja leżała w fotelu jak nieżywa.

Krystka Szalitowa, ciekawości pełna, widząc wychodzącego Urfelda, bez zameldowania wpadła do alkierza.

— No co?... Odda, odda Jasieńka?

Pani Zofja wyprostowała się, blada twarz zwróciła na wchodzącą i nagle zawołała z mocą:

— Wody mi dajcie, kubek wody gorącej! ukropu! wrzątku!

— Czemu? miłościwa pani?

— Tereska, wody gorącej, gotującej, wrzątku! rozumiesz?! Dziewczyna wybiegła wobec nakazującego głosu swej pani. Szalitowa, zaniepokojona, raz jeszcze zaryzykowała zapytanie:

— Zali odda Jasieńka?

— Odda, ale...

— Ale co?...

— Zbeszcześcił mnie pocałunkiem!

Porwała kubek z rąk wchodzącej w tej chwili Tereski i zanurzyła w nim wargi, aż jęk bólu wyrwał się z jej piersi.

Krystka zrozumiała; przypadła przy niej na kolana, przywarła ustami do jej zwisłej ręki i wyszeptwała:

— Modlitwa lepiej zmyje ów wstyd z warg waszych aniżeli wrzątek.

XIV.

Doradcy.

Albin Urfeld wracał promienny. Był to jeden z tych ludzi, których uczucie nie rozdmuchują lecz gaszą duże przeciwności, najmniejsze zaś powodzenie podnieca i zachęca. Gdy zrekurowany przez matkę Zofji jednakże pojechał za panną na Ukrainę, czynił to, budując nadzieję na kilku dobrych słowach, któremi panienka starała się przy pożegnaniu osłodzić rekuzę. Odepchnięty brutalnie na dworze wojewodziny, cierpiał bardziej przez obrażoną miłość własną, aniżeli zawiedzione uczucie, tem więcej, że próżność jego umiała zawsze wynaleźć jakieś dowody rzekomego przywiązania panny, ulegającej przemocy starszych. Nie przeszkodziło mu to dość prędko zapomnieć jej i szukać powodzenia u innych.. Spotkawszy Zofję w Toruniu, w warunkach dalekich od świetności, w jakiej widywał ją poprzednio, w szarych ramach gospody, w otoczeniu mieszczan, i to nie dygnitarzy miejskich, jak on, lecz rzemieślników i kupców, uwierzył, że zdoła ożywić domniemane uczucie, spodziewał się łatwego zwycięstwa i dlatego zabiegał o nie, ale i to ostrożnie, przez osoby trzecie, zwłaszcza posługując się zręcznym Rudolfem, bez narażania się osobiście. W rezultacie znowu przeszedł przez dotkliwe upokorzenie miłości własnej, która jedynie stała się sprężyną w zabiegach jego celem zgladzenia Obertyńskiego. U-



ezucie to silne nie mogło jednak zagłuszyć nieustannej trwogi. Tchórzliwy z natury, drżał na myśl, iż odkryte machinacje mogą sięgnąć nań niebezpieczeństwo odwetu przyjaciół Obertyńskiego; z niepokojem myślał, że w najlepszym razie przyjdzie mu zwalczać opór Zofji do złamania, którego nie czuł się dość silnym.

Aż oto okoliczności składały się nad wyraz pomyślnie. Roman zginął, (jak sądził) nie z jego ręki, ani nawet na szafocie, eoby zawsze w umyśle Zofji nasuwało podejrzenie jego w tem współdziałania. Przyehylny los czynił ją wdową; już przy pierwszej rozmowie uzyskał jej przyzwolenie, przytwierdzone podaniem dumnych ust szlachcianki. Wzgląd, że uzyskał to wszystko nie od kobiety, lecz jedynie od matki, nie zapuścił korzeni w jego umyśle; ehciał widzieć w tem dowód przychylności Zofji, przejaw rozniecającej się w płomień iskry, przysypanej rumowiskiem narzuconem przez ludzi złej woli i że tak jest, silnie uwierzył.

Z piosnką na ustach wszedł do mrocznej sieni, uklonił się żartobliwie figurze rycerza, misternie wyrzeźbionej w drzewie, stojącej w postawie szyldwacha u stóp krętych schodów i wbiegł na nie, przeskakując po dwa stopnie.

— A cóż to imci pan Albin leci, jak nie przymierzając Tatarzyn w pościgu? zapytał stary Fryderyk, czyszczący właśnie metalowe części rampy.

— Gdzie pan?

— Gdzie pan?... Gdzie pan?... Nie w kordegardzie i nie na radzieckiej sali; nie na ubitej ziemi i nie na cmentarzu...

— O rety!... Co to za gaduła!... Gdzie jest?

— W paradnej izbie, jak zawdy o tej porze?

— Mogę tam wnijsć?

— A no, jeśli nie potrafisz sfrunąć, musisz wnijsć!

— Et głupiś, jak kobiątka za wozem!

Wszedł do sali: Esken, jak zwykle • szarej godzinie siedział na pół rozdzielony przy fajce i piwie.

— No co, będzie miał Fryc siła roboty z czyszczeniem górnej części twego dolnego odzienia?

— Wuju, bacz, nie szczęście a ukontentowanie li z liców mych promienieje?

— Zbliż je do mego oka waszmość, niech obaczę zali pazurami niewieściami, jak to one snadno potrafią, nie scyzelowane.

— Wuju, gdyby pocałunek mógł zaszczytną pieczęć na ustach młodzieńca wycisnąć, ujrzałbyś takową na moich.

— W tak dobrą trafiłś godzinę?

— Sama mi swe kraśne usta podała?

— Co mi tam usta!... Piękniejsze i gorętsze u byle dziewczki tanio możesz dostać, ale u niewiasty zacnie urodzonej, a w złote pierze porosłej jedna jest tylko korpusu część zachodów wszelakich godna, to ręka!

— Za ustami i ręka pójdzie!

— Na, na!... Czy się aby w onej pokorności jakowa zdrada nie kryje?

— Wuju, bacz na jedno: ona mnie wcześniej od Obertyńskiego znała; ona mnie już w dawniejszych leciech w sercu swem nosiła. Ninie wolna jest komu chce rękę swą oddać...

— I mienie!...

— .... dosyć od rigorem et literam małżeńskiego prawa sentymentom swym gwałt czyni!

— Daj Bóg, żeby gadanie waści nie było kręceniem kołowrotka bez przedzy, żeby siostry mej syna potomstwo z krwi senatorskiej splodzone było!...

— Nie minie rok, a snycerz będzie na oddrzwiach kopienicy Urfeldów w Koście-rzynie herb Pawelskich rzezał.

— Wszelako boję się jakowej zdrady!

— Bądź waszmość bez strachu.

— Co się zanadto po szwie porze prędko się rozlata!... Kiedyż prósisz na wesele?

— Trza przeczekać nieco. Kościół nawet...

— Mnie nie pilno.

— Obiecałem jej dziecko jutro odwiedzić.

Esken wykrzywił twarz i począł trząść głową.

— Tędy droga!... Na!... na!... to już rozumiem, czemu p. referendarzówna, a pani starościna, podkomorzyna, wojewodzina, czy jaka jej tam godność!... tak pochopnie pocałunki ei dawała... Zabierze dziecko i zmyknie gdzie pieprz rośnie; ty

się jej potem napatrzysz, co dymu do wystrzale z kuszy!

Urfeld się stropił.

— Tak myślicie?...

— Tyle ufaj niewieście, co zaczajonemu lisowi; związany tylko, z pyskiem spętany — twój!... A jedyne lyko w tej okoliczności skutecznie służyć mogące, to one dziecko w rękach twoich!

Urfeld począł przechadzać się po sali; na skłopotanej jego twarzy znać było wytężenie i wahanie. Wreszcie stanął przed Eskenem i odezwał się głosem, któremu próżno usiłował nadać brzmienie pewności:

— Jest ci drugie lyko, jeszcze trwalsze, to jej dla mnie sentyment.

Esken zmrużył jedno oko, popatrzył na niego z sarkazmem i rzekł zjadliwie:

— Ono lyko rozmiękło od pocałunków, które imci pan Obertyński przez lat trzy na jejmości składał; pęknie ci w dłoni, pęknie jako żywo!

Urfeld znów się stropił.

— Żebyś wiedział, wuju, jak gorącym sentymentem płonie jej serce ku mnie!

— Niech płonie... ale ci nie zawadzi, jeśli wichry przeciwności podmuchają nieco na ono płonienie. Wiadomo, taki wichur wielki sentyment roznieca bardziej, jeno małe gasi.

— A właśnie!...

— Dobrześ, żeś mi nazbyt pewien; nie doznasz łatwo zawodu.

— Jakiem czołem pokażę jej się bez dziecka!... słowom jej dał!

— Zabierz dziecko, pobaw u niej czasu nieco i weź z powrotem.

— Tak... chyba, że tak zrobię.

Klasnął trzykrotnie w ręce, poczem zbliżył się do stołu, nalał sobie kielich wina i pił skwapliwie, a że nikt nie nadchodził, zaklął siarczyście, podszedł do małych drzwi i kilkakrotnie z coraz większą pasją nawoływał Rudolfa. Nadbiegł wreszcie zdyszany, oberwał kilkakrotnie po łbie i skrzywiony okrutnie, stanął pod drzwiami, słuchając rozkazów Urfelda:

— Jutro przed południem powiesz Marię, żeby wyszykowała dziecko w oną piękną szubkę, com mu sprawił i w cizemki aksamitne; zabiorę go z sobą.

— Dokąd?

— Do gospody pod Modrym Fartuszkciem.

— Chcecie oddać matce? Co za myśl??

— Milcz! pana swego zamysłów nie sądz! Ma lepszą głowę od ciebie!

— Jak do czego!

Urfeld znowu z pięścią doskoczył do chłopca, który umknął się szczęśliwie.

— Mniemam, wmieszał się Esken, że można wtajemniczyć Rudolfa w czem rzecz; przychylny jest i roztropny.

— Ale nadto zuchwały; wyobraża sobie, że nie obejdę się bez jego opieki.

— Źle czynisz, panie, gardząc mojami rady! Pomnisz onego wieczora, kiedyś gotów był dziecko ojcu w więziennej celi

ostawić? Ja ci odradziłem i zali źle się stało? Obertyńskiemu łeb ucieli, byłoby i dziecko społem zginęło, wam broń z ręki byłaby wytracona i zasie wieczna żalu do was w sercu jejmości przyczyna!

— Jako żywo! przytakiwał Esken.

— No tak, nie neguję, że miewasz szczęśliwe pomyslenia, wszelako w tem jeszcze nie rzecz, abyś w zuchwałości wzrastał, jako paw. Rudolf zdarł z głowy błękitną czapeczkę i o ziemię cisnął w rzekomej rozpaczy.

— Taką to mi wdzięczność! Toż mi wdzięczność. Za moje wierne służby, za to, że w każdej chwili za jegomością w ogień, w wodę skoczył gotówem, za to, że każdego wroga jegomości na wolnym ogniu bym smażył i gorącym sadłem oblewał...

— Na wolnym ogniu smażyłbyś nie dla mnie, jeno dla samego delektowania się ludzką męką, duszo kata i oprawcy!

— Żebym chciał dla samej delieji ludziom mękę zadawać, na kaciego pacholka do grodu bym się najął!

— Nie zarobilbyś tyle, jako w mojej służbie.

— Jeżeli mi wasza miłość wymawia, to gotówem w każdej chwili do odejścia. Nie wolnym chamem Bogu dzięki nie jestem! Jeno mi waszej miłości żal, bo z waszem sercem jak sadło, co się przy byle podgrzaniu topi niedaleko zajdziecie wśród tego grzesznego świata, gdzie człek, czleku wilkiem i szakalem!

— Przestańże wyć! zawołał Esken, bo nie masz po temu przyczyny. Pan twój łaskaw na cię aż do zbytku i chętnie cię do konfidencyj dopuszcza! Powiedz raczej śmiało: nie radzisz dziecka matce nosić?

— Pewno, że nie!

— Przecz?

— Bo jak je tam zaniesiemy, to już nie zabierzemy stamtąd?

— Pan twój powiada, jako je matce pokaże jeno, pobawić się niem zezwoli i zabierze z powrotem.

— Tak, jak kur o północy psim głosem zaszczecka. Jak taka gładka białogłowa zacznie prosić, a nalegać.

— Oprę się; mężnego jestem serca.

— Serce wasze mężne, jeno, że z sadła, a niewieści dech tak gorący, że wnet je topi.

— We dwóch nie damy jej nad sobą panowania.

— Zważcie, jegomość, że imci pani Obertyńska w gospodzie pod Fartuszkim mieszka siła czasu, ma tam samych znajomków. Gdy się wieść rozbiegnie, że dzieciak powrócił, wszystko to się zleci, a cieńczy się niem będzie. Będiesz li miał dość mocy, aby dziecko wyrwać z tyłu ramion?

— Pewno, trzebaby je niemal siłą brać.

— Herodami już nas wołają, trzebaż, żebyśmy tam ludziom na oczach w posłannictwie w rzeczy jakoby herodowem się stawiali?...

— Tak, łatwo to perswadować, ale co uczynić? próbował jeszcze oponować już przekonany Albin. Ja słowu danemu chybić nie zdołę.

— Słuchaj, Albin, wmieszał się Esken. A czemu by Obertyńska nie miała tu do mojego domu zstąpić? Za niskieź to progi? Czerwonem suknem ljońskim wymościć je każe!... Królowe nasze: szlachetna Elżbieta Rakuska, prawa Austrjaczka i Marja Ludwika czasu swego w Toruniu pobytu po piękniejszym nie stapały.

— Nie zechce ona! nie zechce!

— A z tobą do ołtarza pójdzie?

— Na to jeszcze siła czasu... przywyknie!

— Przebóg, szlacheianki tych czasów dumniejsze aniżeli królowe dawnych! Kim że był Wierzynek? Mieszczanin, jako ja, którego kamienica w Krakowie później przez przodków jego wzniesiona była, niż nasza w Toruniu, a jednak królewski i cesarski majestat i książąt krwi poczyty wspañiałomyślnie w progi jej wstępowały, chlebem, solą, winem i podarkami kosztownymi nie gardząc. Przedstaw to imci pani Obertyńskiej i niech potrudzi się do mej chaty. Godnie ją przyjmę, najgodniej.

— Mnie się widzi, odezwał się Rudolf, że imci p. Obertyńska nie przez pychę wahałaby się wejść pod on dach. Patrzałem ja na nią w gospodzie, widziałem jako do poufalości ubogie mieszczany dopuszczała, w długie gadki z nimi się wdając, więc



— mniemam, że i tu bez wstrętuby szła zwłaszcza, gdyby dziecko miała tu odnaleźć.

— Ale jest inna rzecz, która może ją powstrzymać.

— Co?

— Podejrzenie zdrady!

— Zapanowała chwila milczenia.

— Jako jej udowodnicie, że uczciwie względem niej macie zamiary? Możnaż dziwować się niewieście, gdy się za nią ciężkie drżwirze pana Eskenowej kamienicy zatrzasną, że pomyśli sobie: „zali nie niewoli to dom?”

— Słusznie mówi Rudolf, odezwał się Esken. Matka w dzień św. Zofji począć go musiała.

— Matka ze świętymi w konfidencyjne nie wchodziła, bo jako prawa protestantka dostępu na dwór niebieski katolickiego Pana Boga nie miała. Ale dziad mój księdza Kopernikusa książki i globusy codziennie z kurzu obmiał,

— Więc, przerwał mu Albin, dziecko nieść tam nie radzisz, tu sprowadzić matkę nie dajesz; więc co czynić? Odmówić i na gniew jejmości się narazić?

— Owszem, możecie dziecko pokazać, ale w takowych okolicznościach, w których jejmość nie będzie przez cały dwór popleczników obstawiona.

— Nie łatwo to!

— Łatwiej niż tu sprowadzić! Dość do jakowej gospody zaprosić!

— To i co; w każdej gościnnej izbie ciżba ludu cały dzień; ja sambym się sro-

mał na widowisko ludzkie podać z dzie-  
ciakiem się włóczęc. Niewieda co pomy-  
śleć mogą!

— Pokażecie jej dziecko w ustronnym  
alkierzu.

— Uczciwa niewiasta nie wstąpi do cu-  
dzego alkierza.

— Nie bójcie się miłościwy panie, już  
ja tak urządzę, że idącej do gościnnej izby  
ono ptaszę zaświergoli, a wonezas pójdzie  
za niem niepomna alkierz to, czy nie al-  
kierz.

— Słuchaj, Rudolf, увидziała ci się  
klamra koralami sadzona, com ją łońskie-  
go roku z Gdańska przywiózł?

— Aż mnie mdli na podółku, gdy o niej  
pomyślę.

— Twojać będzie, gdy wszystko prze-  
biegle przysposobisz i na miły Bóg tak,  
żebym słuzów umiłowanej białogłowy nie  
widział!

— Pobuczyć, pobuczy, gdy przyjdzie z  
dzieckiem się żegnać, ale wasza miłość  
przysięgnie się na Lutra i Matkę Boską,  
że dziecko codziem pokaże, a białogłowa o  
tyle ma długie włosy, o ile krótki rozum.

— Ależ ja najchętniej każdego dnia na  
godzin parę malca przywiozę, wszakże  
nam słodko będzie, tak jakbyśmy już w o-  
woenem stadle żyli, pozostawać.

— Nie rozbecz się sam z rozezulenia,  
rzekł złośliwie Esken, a zastanów raczej,  
każ ono spotkanie z panią Obertyńską się  
odbędzie.

— Jak myślisz, Rudolf, która gospoda będzie godna naszych olimpijskich biesiad?

— Nielacno doradzić: „Pod Aniolkami” niema ustronnych pokoi. „Pod złotego gryfa” brać imci pani Obertyńskiej nie przystoi, boć tam i najgorsze dziewczki bywają... chybać „Pod Trzy Korony”?

— Tak przystojne tam izby i okna alkierzy na zaciszną ulicę Ciasną wychodzą, którą prawie nikt nie przechodzi.

— Wasza miłość może śpiewać i huknąć do woli.

— Nie radziłbym „Trzech Koron”, bo tam wszystka generalicja stoi wtrącił Esken. Nie dalej, jak wczoraj Drews z Gdańska próżno tam choć o ką w gościnnej kołatał.

— Szkoda; widziałaby mi się ta gospoda!

— A czemu nie tentowałbyś o izbę pod „Złotym Pierścieniem”; piękniej urządzonych pokoi nie znajdziesz w Toruniu.

— Podobno, odparł Rudolf, ale właściciel, Szpotański, zaciekły Polonus, Niemcom okrutnie nieprzychylny.

— A cóż mi to może przeszkadzać? Wszelako Niemce często, gęsto tam mieszkają.

— Bez wątpienia, rzekł Esken; ja sam, gdy czasu pierwszej wojny szwedzkiej po-ciski dom mi uszkodziły, przez sześć niedziel w onej gospodzie mieszkałem.

— Tak, tak, doskonale wspomnienie! Pamiętam, piękne izby!... Postaraj się

Rudolf zamówić mi on alkierz, okryty szpalerami\*), co cienistą altanę przedstawiają. Będziemy tam gruchać jak dwie ptaszyny!

— Oj Albin, Albin, ty jednak ciężko głupi jesteś! Jakiś wyrodek w naszej rodzinie, co wszystka statecznego rozumu była.

— Jeśli tak jest rzeczywiście, wuju kochany, szczęście podzielonej miłości rozum mi pomieszało!

## XV.

### Wojewodzina Leszczyńska.

Nazajutrz rano Rudolf ruszył ku Chełmińskiej szosie, gdzie o kilkadziesiąt staj poza ementarzem stała gospoda obszerna, zwana Pod Złotym Pierścieniem, znana z dostatniego urządzenia gościnnych pokoi. Właściciel jej, Wincenty Szpotański, szlachcic zagrodowy, za młodu z wojskami Żółkiewskiego chadzał, między kozakami czas jakiś pozostawał, z nimi w wyprawach na Carogród i Moskwę brał udział, a że śmiały i przebiegły był wielce, potrafił nie siłą, to fortem, zawsze coś od mieżkańców zdobyć, wyludzić, lub drogą zamiany piękny sprzęt nabyć, bo smak i znanstwo z przyrodzenia miał niepospolite.

Gdy różnych obić, makat, kobiercy i szpalerów, kantorków i szkatulek nabrało

---

\*) zasłony tkane w desenie, naśladowujące barwne rysunki.

się tak wiele, że niepodobna było kilka fur naładowanych za sobą włóczyć, a pełnięcie tatarskiej szabli pod biodro i moskiewska kula w stawie kolana zbyt dotkliwie przypominały się staremu Szpotowskiemu, odkupił za psie pieniądze posiadłość od umierającej stuletniej staruszki, bezpotomnie schodzącej ze świata i z prawdziwą lubością jał się urządzania gościnnych pokoi, o których niebawem szeroko mówiono na Pomorzu. Zwabiały też one tak przejezdnych bogaczy i dostojników, jak i wyszarzaną a ambitną szlachtę, która w wykwintnych pokojach bardziej niż u siebie w skromnych dworach, mogła zadawać szyku, przyjmując przejezdnych panów i zagranicznych kupeców. Tu najchętniej i najdłużej wypoczywali rycerze wracający z wypraw do Szwecji i Danji; tu wystawiali kupecy wschodni swój przebogaty towar; tu mieszkaly miesiącami słabego zdrowia niewiasty, z odległych włości przybyłe, gdy pomoc pobliskich felerów, drogistów i znachorów okazała się niewystarczającą.

W dniu, w którym Rudolf wybrał się, aby zamówić pokój dla Urfelda wyczuwano się jak zwykle to życie przejezdnych bogaczy, przestrzegających, aby wkoło nich było rojno a jednak zacisznie.

Pierwsze piętro zajął, wracający z Gdańska do Warszawy Radziejowski ze swym orszakiem. W dolnych pokojach sąsiadowali ze sobą pułkownik Weiss i były rotmistrz chorągwi pancерnej, Ostrow-

ski, wreszcie domniemana wojewodzina Leszczyńska od trzech dni z gospody Pod Trzema Koronami przybyła.

Wyróżniony tak niepospolitymi gośćmi, wpadł w złość imci pan Szpotański, gdy Rudolf zaproponował mu odnajęcie jednego pokoju, dla pana, którego nazwiska wymienić nie chciał. Próżno chłopak pukał dukatem o dukat, próżno szeroko rozwodził się nad możliwością i wdzięcznym sercem swego pana, Szpotański powtarzał wciąż od początku do końca listę swych gości, ze wszystkimi tytułami, godnościami i domownikami, wykazując fizyczną niemożliwość odstąpienia komukolwiek którego pokoju do wyłącznego rozporządzenia choć by tylko na kilka godzin. Wreszcie, wobec niez mordowanych molestowań chłopaka zaproponował mu, aby sam uprosił którego z lokatorów o ustąpienie izby, gdy jakoweś okoliczności ich z onej wywiodły.

Ruszył Rudolf do pierwszej z brzegu izby rotmistrza Ostrowskiego. Napalone w niej było tak mocno, że żar aż dech zapierał, gdyż pan rotmistrz, korzystając z przymusowej bezczynności, leczył się potami z ciężkich przypadłości „kaduka”. I w tej chwili, zawinięty w giezła od stóp do czupryny, pod pierzyną, ledwo wychylił górną część głowy, aby „aklą siarczyście i przykazać pacholce wyrzucić „na łeb” nieproszonego gościa; skłoniło to Rudolfa do ucieczki co tchu ku przeciwległym drzwiom pułkownika Weissa. Stojący

przy nich żołnierz szwedzki wysłuchał jego prośby, ale zapewnił, że próżnoby próbował porozumieć się z pułkownikiem, bo każdego popołudnia przybywa doń cały zastęp towarzyszy broni, aby zabawiać się do późnej nocy kielichami i grą w kości.

— Porozum się chyba z wojewodziną, która przed trzema dniami najpiękniejszą izbę zajęła, o ustąpienie jej twemu panu na onych kilka godzin, bo i tak co dnia po zachodzie słońca wyjeżdża kolaską i kilka godzin kajsi, gdzieś przepada. Ale nie tuszę, abyś od niej coś wskórał, dziwna to bowiem niewiasta; do rozmowy zgola nie pochopna, z ruchów i postawy do mężczyzny podobna, a gębę białym zawojem otacza aż pod same oczy, rzekłbyś mniszka.

— Może ślubowała Panu Bogu z mężczyznami ani zbliżka, ani zdaleka sprawy nie mieć?

— Co to to nie; co dnia tu jakiś starawy szlachcic przychodzi i większą część dnia z nią spędza; powiadają, że to małżonek wojewodziny, jeno, że oboje czystość ślubowali.

— Po pięćdziesięciu leciech!?

— A no... może!

Roześmiali się obaj; żołnierz rubasznie, Rudolf cynicznie.

— Za którymi drzwirzami ona rarytna dama mieszka?

— Za temi na których jelen wyobrażony.

— Okrutnie się boję!

— Czego?... Wojewodzina ludzi nie zjada. Dziewki, co izbę jej sprzątają, prawią, jako politycznie z niemi poczyna; gadać do nich nie gada, jako, że polskiej mowy nie rozumie.

• — A któż ona? Szwedka?

— Nie, Hiszpanka.

— Fi, fi!,... Hiszpański djabeł kuso się nosi. Negry go zdaje się zamieszkują?!... Słuchajno, waszmość możeby się przez jaką służebną zameldować?

— Mówię i powiadam, że cię nie przyjmie; meldowali się tu bliskie wojewodziny sąsiady, nawet jakieś w pokrewieństwie stojące personsy i z niezem odedzili. Sługus jej, co jako i ona z podwiązaną gębą chadza, ale ponoć z innej przyczyny, jako że poszczerbiony został, on jeden zawdy wychodzi i powiada, jako pani jego na popiele siedzi, pokutę czyniąca i żadnej żywej duszy widzieć nie chce.

— A kto jej pokoje oprząta?

— Różnie bywa; brak li tu dziewczek?... Jak która kajsi z żołnierzami się zabawi, jakowa kompanjonka zastąpi ją przy robocie, póki jej znowu lżejsza praca a większy profit się nie trafi; wiadomo jak to z dziewczętami.

— Każda ma folwarczek mały, ale intratny.

— Może do góry brzuchem leżeć!

— Cha, cha, cha, cha!

Tłumili śmiech, który aż wstrząsał nimi.



— Skoczę przywdziać niewieście szatki, a wy, jeśli łaska, nie puście w tym czasie dziewczki do uprzątnięcia pokoju; powiedzcie, że pani wojewodzina chce spać i ciszę przykazała. A żeby się wam nie eniło....

Wyjął z kaletki manierkę.

— W wasze ręce.

— Bóg zapłać.

Przepili do siebie raz i drugi. Jakichś kilka fig znalazło się również w kaletce Rudolfa.

Poczęstowany szyldwach czułym wzrokiem powiódł za odbiegającym chłopcem.

— Żebyż więcej takich!... żebyż więcej!

Nie upłynęło pół godziny, a stanęła przed nim rozpromieniona, śmiejąca dziewczyna. Spódnice miała bufiastą, kaftan aksamitny, srebrnym sznureczkiem wyszywany, czerwona chusteczka, nisko nad brwiami, opasująca czoło bogatemi frendzlami spadała na plecy.

— Szwarna? zawołała wesoło.

— A jak mi Boga!... A toż to ty, coś mi sznapsa, a fig... A figaczu!... Niech cię kule biją!... Przysiaglby każdy, że dziewczka i to jaka szwarna!

— Gdzie tu służba składa szmaty do wycierania podłóg i sprzętów?

— Co chcesz czynić?

— Pójdę rzekomo jako miejscowa dziewczka służebna, wdam się w konfidencję z owym poszczerbionym, powiem mu jako mogę zarobić sobie przyzwoite wiano, jeśli dopuszczę dwa gruchające gołąbki na

te pokoje pod nieobecność jejmości... Potrzebuję to ona wiedzieć, co czasu jej nieobecności tu się dzieje?... Sługosowi za to dam parę groszy, a obiecuję więcej; będzie chciał dukata, dam dukata, a będzie chciał co więcej... Owa!... i co więcej przyrzeknę!

— A mnie co dasz?

Wyjął z kaletki kawał suchej kielbasy.

— To przezorny pośrednik miewa zawsze dla psów i szylwachów!

Roześmiał się, porwał z za jakiejś firanki wielką szmatę i miotłkę z piór, a nie włożony w służbę, przywykły do poufalitych stosunków w domach mieszczańskich, otworzył drzwi z wyobrażeniem jelenia bez zapukania.

Obróciły się cicho na dobrze natłuszczonych zawiasach, dywan stłumił kroki Rudolfa, który ledwo wszedł do pokoju, stanął jak wryty.

Na środku obszernej sali stała osoba, zwrócona do niego plecami, i wykonująca jakieś gwałtowne ruchy naprzód i wtył, przysiadająca do ziemi, to znowu podskakująca do góry. Głowa mocno podgolona, kark silny i obrośnięty, koszula męskim krojem, na szerokich barach wyraźnie męża wskazywała, poniżej stanu jednak spódnica sutą z ciężkiego zielonego jedwabiu, przybrana różowymi falbankami, zębiasto strojącemi robbron, otaczała robbron i w sutych faldach splywała ku ziemi. Mąż w spódnicy w rękę miał szpadę i fechtował

się gwałtownie. Właśnie w onej chwili uśkoczył w bok i znalazł się przed wielkiem zwierciadłem. W ramach z polerowanego orzecha ujrzał Rudolf bez żadnej wątpliwości oblicze Obertyńskiego... Nie zdołał opanować okrzyku zdumienia! Odwrócił się na to Roman; twarz jego przybrała wyraz wściekły.

— Głupia dziewczko!... Jak śmiesz wehodzić bez zapukania?...

I natarł szpadą, ale Rudolf był już za drzwiami.

Bez tchu wpadł do izby przy składach Eskena, gdzie, przy kantorku właściciela, mozolnie zapisywał coś w wielkich księgach.

— Gdzie mój pan?

— Kto to?... To ty warjacie?... Pocóż te kiecki!... Maskarada?... A no, karnawał!... Niech cię djabli wezmą, wtargnąłeś z wrzaskiem i patrz!... plama z inkoustu właśnie na liście, którą zsumowałem!... Cóż u zarazy!... Pali się?

— Nie, ale znalazłem...

— Gospodę paradną?... Już nie potrzebna. Twój pan w tę porę i tak grucha ze swą gołąbką.

— Pod Modrym Fartuszkim?!...

— Idź do diabła, powiadam!... Nie mam czasu!

Cisnął ku niemu grubą, oberwaną łaskę. Umknął się Rudolf, a widząc, że to nie przelewki, zatrzasnął drzwi do mieszkania zasięgnąć języka. Jakoż dowiedział się od służby, że Albin skorzy-

stał z okazji przybycia krewnej Eskenowej z Brodniey kolasą i uprosił o prawo skorzystania z tejże na parogodzinnej jażdżkę. Podczas gdy przepędzano konie, kazał Marcie przybrać pięknie dziecko, sam przystroił się odświętnie i wyjechali wszystko troje, ale dokąd i poco niewiedziano.

Rudolf był wściekły,; zrzucił kobiece szaty i długo błądził po mieście, między ulicą Białą a gospodą pod Modrym Fartuszkciem. Już było dobrze po południu, gdy skrzypiąc i dzwoniąc niemiłosiernie, zajęchała kolasa przed dom Eskena; rzucił się ku niej Rudolf, który właśnie był w kuchni, rozgrzewając się polewką. Z kolaski wysiadła Marta z uspionem dzieckiem na ręku.

— Gdzie pan? — Gdzie mój pan?

— Przyżostał w mieście.

— Kiedy wróci?

— Bogać ja wiem. Odwieźliśmy panią, gdy mały usnął i wracaliśmy razem, ale na rynku zobaczył młody pan jakichś ichmościów i poszedł ku nim bardzo radosny.

— A gdzieście bywali? W gospodzie pod Modrym Fartuszkciem?

— W gospodzie bylam tylko ja, pan z dzieckiem ostali w karocy, wedle kościoła św. Jakóba.

— I co?... i co??

— A no powiedziałam pani jak mi pan przykazał, że wielmożny burmistrz z Kościerzyny pan Albin Urfeld słowa dotrzymał, dziecko przywiózł i prosi, aby jaśnie

wielmożna pani na przejażdżkę się z nim udała. Pani zaraz porwała za szubę i chciała biec, ale przyszła gospodyni i ją, zda się perswadować.

— Co mówiła?

— Nie wiem; przecie nie rozumiem po polsku. Skutkiem onego gadania pewno dwóch dryblasów odprowadziło ją do kłasy i stało z ręką za pasem, rzekłbys na sztyletach, pókiśmy nie odjechali.

— I co mówili?

— Nie wiem, po polsku szwargotali.

— Gdzie jeździliście?

— Daleko za miasto; dziecko zrazu się boczyło, ale potem snąć przypomniało sobie, bo pieściło matkę i nie chciało iść do mnie od niej.

— No wobec tego, że malec do nas powrócił nie się złego nie stało.

— Dobrze się stało; patrz jakiś biczkorali dała mi jejmość na odchodnem.

— Coś lepszego dostanę od mojego pana za wiadomość, której mu udziele!

## XVI.

### Narada.

Po południu Obertyński, ściślej jeszcze niż zazwyczaj osłoniiony zawojem siedział w głębokim fotelu, odmawiając różaniec, choć twarz zdradzała roztargnienie i niecierpliwość. Ulegając widocznie tym uczuciom podszedł do drzwi, nadsluchując pilnie. Ze trzy razy powtarzał ten manewr, wreszcie rozpromienił się i usunął od drzwi, tak, aby nie być widzianym z

korytarza. Jakoż otworzyły się podwoje i ukazał się w nich Jazłowicki, nie wszedł jednak, tylko przytrzymując takowe wpuszcil dwie okutane w sznuby i chusty kobiety.

— Zośka! radośnie wykrzyknął Roman i pochwycił pierwszą w ramiona, ale wnet się zachmurzył.

— Przech tu przychodzisz? Niebezpieczeństwo ściągasz na mnie i na siebie. Już z pod Trzech Koron uciec musiałem przed ludzkimi domysłami...

— Tu mało ludzi i każdy przy swoim kominie, a ja mam ci...

— A i pani Szalitowa, przerwał Roman, miło mi żeście zajrzeli do mnie!

Podał jej rękę, a widząc, że dławi się z powstrzymywanego śmiechu, patrząc na jego przebranie, roześmiał się także.

— Wybacz Romku, rozpoczęła znów Zofja, zem wbrew twemu postąpiła rozkazowi, ale ja nie zdolna jestem odmówić sobie wielkiego serca ukontentowania, aby samej powiedzieć ci, że ja dziś Jasiuśka widziałam, dwie godziny trzymałam go na swem łonie i pieściłam; usnął mi na rękach jak za dawnych czasów.

— A gdzie on teraz?

— Zabrał go Urfeld z powrotem.

— Czemuś go nie uprosiła, żeby dziecko ostawił?

— Wątpisz-li, że prosiłam i gorąco.

— Gdzieżeście się widzieli? Przyniósł ci dziecko do gospody?

— Nie, przywiózł je w karocy...

— Patrzcie państwo, tyki już karocami jeżdżą, i ma tu dobrze działać się w Rzezypospolitej!

— Dwie godziny jeździliśmy po Chelmińskiej drodze.

— Ty z nim we dwoje?! O Zośka!

— Urfeld całę politycznie postąpił. Stał w ustronnem miejscu, po mnie dziewczkę przysłał, a usadził w karocy tak, że ją jeno ludzie mogli widzieć z ulicy.

— I pókad, pókad wy się tak wodzić będziecie społem?

— W Bogu nadzieja, że jutro ostatni raz przyjdzie mi on krzyż dźwigać.

— Jakiż novus finis suponujesz aśka?

— Ułożyliśmy z panem wujem i ichmościami pani Szalitowej małżonkiem i braćmi, że skoro jutro, tak jak mi to uroczyście przyobiecał, znowu dziecko mi przywiezie, i na przejażdżkę zabierze, namówię, żebyśmy pojechali do chelmińskich borów, gdzie zaczajeni bracia Wendorfowie z kilku pacholkami obskoczą nas...

— Pójdę z nimi!

— Niech Bóg broni!

— Mamże zezwolić aby inna, nie moja prawica Urfelda usiekła?

— Przecz go zabijać?... Odbiorę mu dziecko, mnie wydrą z jego mocy, to dość.

— Och Zośka!... Czyż ty nienawiści do niego nie żywisz?

— Chrystus nienawiści zabronił... Miej nad nim miłosierdzie, Romku, on dobry dla naszego syna.

— Dobry!... on co go na sierocy żywot skazał!

— Mały garnie się do niego; śnać krzywdy od niego nie zaznał.

— Jeszcze miałby mu krzyw być!... Szakale nie człowiecze serce w piersi miałoby mieć, gdyby wydarłszy dziecko rodzicom jeszcze krzywdę mu czynił. To się nie zdarza nawet na ziemi choć nieraz piekłu bliska.

— A baba Jaga?... naiwnie wtrąciła Zofja.

— Baba Jaga nie była człowiekiem, jeno czarownicą, a i to niewiadomo siłaż w tem prawdy... A ja ci powiem, Zosieńko moja, że go tak w opiekę bierzesz, szatan jakiś szeptem mi w ucho, że Urfeld nie stracił czasu, żeby u ciebie zbudzić uczucie uczciwej białogłowie niestosowne.

— Roman, jak możesz!...

— Przecz go chcesz przy życiu oglądać?

— Oglądać go nie chcę, ani żywym, ani umarłym; jeno serce we mnie omdlewa, skoro pomyślę, że z mej przyczyny jedno stworzenie Boskie z tego świata bez pokuty, bez żalu za grzechy, odejdzie.

— I to heretyckie, wtrąciła Szalitowa.

— Siła dałabym za to, żeby obeszło się bez krwi rozlewów!

— Niezbędna to necesitas, odezwał się Jazłowicki, bo o ile Urfeld zostanie przy życiu, będzie ścigał cię i tropił za tobą.

— A i ja mam tego zajęczego ukrywania się dosyć i nadto!... Wiemy wszyscy,



że Urfeld nie szcedziłby mojej głowy i raz odkrywszy, że pozostałem przy życiu, zrobi co będzie w jego mocy, aby mnie zgładzić... Tu więc równe w naszych rękach karty; albo on mnie, albo ja jego!

— To prawda, szepnęła Zofja.

— Wole, że dowie się jakom pozostał przy życiu, gdy mnie z bronią w rękę, w otwartem polu przed sobą zobaczy, aniżeli żeby mnie odkrył tu, jak tehrza w niewieście rańtuchy skrytego!... A to stałoby się niebawem; dziś mnie jakaś służebna, znienacka wszedłszy fechtującego się zastała, kiedym z niewieścich osłonek nie krom kiecki na sobie nie posiadał.

— Tak, tak, trza temu już koniec położyć. Słuchaj, Romeczku, wszyscy uwierzyli, żeś zabit został, już prócz Urfelda wszyscy i zapomnieli o tobie...

— Zresztą bram już nie strzegą, odezwał się Jazłowiecki.

— Nieinaczej; przyszlśmy przeto namówić cię, abyś nie omieszkając, dzisiejszego jeszcze wieczora, z tej austerji wyjechał do pelplińskich dóbr wuja dobrodzieja.

— Tak, jutro całem sercem; ale nie dzisiaj!

— Przed wyjazdem możesz wstąpić do naszej gospody... Już ja w tem, że cię nieżyczliwe oko nie zobaczy... W alkierzu męskie szaty przywdziejesz...

— Ja radzę brodę przyprawić, wtraciła Szalitowa; mamy taką długą, czarną, co Herodowi dajemy do żywych jaselek.

Roman porwał się i począł gwałtownie zdzierać chusty z głowy.

— Żadnej brody!... żadnego przebrania!... dość mam onej maskarady! W całej sile i świadomości swej sily, bez przyłbicy i puklerza stanę mu do oczu i napiję się onego przerażenia, jakim oblicze jego się pokryje, skoro mnie przed sobą ujrzy!... Pomyśli, żem upiór... Upiór, który go od boku wdowy ploszył!... Oto będzie chwila!... Konia z rzędem warta taka chwila!

— Tak, twoja to godzina, rzekł Jazłowicki; możesz się nią cieszyć. Wszelako pomnij, że neo Hercules contra plures; pomnij, że Urfeld i wszystkie tutejsze Niemcy potęgę szwedzką mają za sobą! Skoro wymierzysz sprawiedliwość bene merentibus, nie ostawaj tu ani godziny dłużej. Zośki by z miasta bez glectu nie wypuścili ale w Urfeldowej karocy wyjeździe bezpieczna, rzekomo na przejażdżkę. Może nawet klejnoty i pieniądze w kaletce zabrać, szat choćby potrójnie na siebie wdziać. Resztę musi na łaskę Opatrzności ostawić.

— Szalitowa przyobiecała mi wszystko przechować.

— Jako oka w głowie strzec będę.

— Skoro zgladzi się Urfelda, ciągnął dalej Jazłowicki, trza pozbyć się też woźnicy; niech jeden z braci imci pani Szalitowej miejsce jego zajmie...

— Z chęcią uczyni to mój Jędrak Bezucha; najwierniejszy sługa i przyjaciel!

— Ty Romanie, zajmiesz przy małżonce miejsce w karocy.

— Wy wuju także.

— I z orszakiem złożonym z Wendorfów i ich pacholków bezpiecznie przejeździemy do mojej chaty w Pelplinie.

Zofja rzuciła się w ramiona męża.

— Romku! jutro! jutro już kres niedoli! naszej rozłąki, sieroctwa naszego dziecka! Pojedziemy na cichą wieś; pojedziemy nawet do matki mojej, kiedy Urfeld przestanie mi być groźny, między poczciwy kaszubski lud i żyć będziemy bezpieczni i szczęśliwi.

W tej chwili do komnaty wpadł Jędrak z głową jeszcze owiazaną płótnem. Ucieszył się na widok siostry, nie gwoli tego, żeby się był za nią stęsknił, ale że ambicję jego mile polechtało znalezienie jej w takowej komitywie z panami, jakby powiernicę i przyjaciółkę pani Obertyńskiej. Ze szczerą też radością zatrzymał oczy na rozpromienionej twarzy swego pana, który w uniesieniu radosnem poskoczył ku niemu, porwał go w ramiona, okręcił jak frygę i krzyknął w zdrowe ucho:

— Jędrak, od dziś już będziesz miał za pana prawego chłopca i rycerza, jeno trzyna nam wprzódzi usiec Urfelda!

— Usieczemy go, miłościwy panie, jako krogulca! Dzisiejszej nocy śniłem, że go na lamusie zbożem obsypałem; wiadomo, że to znaczy, że go ziemią zasypię ubitego.

— Ale moją rękę.

— Niewiadomo komu sądzono.  
— Nie waż mi się do tej zwierzyny strzelić; chyba, żeby on mnie wprzód trafił; wtedy ty mnie pomścisz!

## XVII.

### Dwaj mściciele.

Zofja, wróciwszy do gospody, pierwszy raz od wielu tygodni rozspiewała się i rozszczebiotała, pakowała luby i pouczała Szalitową co chować trza staranniej, jako rzeczy wielkiej ceny, co strzec od wilgoci, moli i robactwa. Krystyna obiecywała co cenniejsze w dębowej skrzyni w ogrodzie zakopać nocą, a skoro lupieżcy szwedzcy wreszcie kraj opuszczą, odesłać je Ober-tyńskim, gdzie załadują. Zofji narazie dość obojętnymi były cenne sprzęty i manele, wiedziała, że dwa prawdziwe swe skarby odzyska niebawem, wobec czego drogą przyzwyczajenia tylko okazywała troskliwość o jedwabie i klejnoty. Natomiast jak dziecko skakała i klaskała w ręce, przedstawiając Krystce, jak będzie zabawnie, gdy Roman wejdzie do izby w niewieściem przebraniu, z jaką rozkoszą zrzucić będzie suknie, które mu tak długo więzienną były szatą.

Nie przeszkadzało to jej zwiijać się sprawnie przy robocie, tak, że nie minęła godzina, a kufer i luby były upakowane, a na łożu przygotowane ubranie Romana i jej podróżna odzież. Rozejrzała się po izbie, czy nie pozostawia czego i oto przyszło jej na myśl, że te cztery ściany były

przez całe pół roku jedynym jej przybytkiem, jej, wychowanej w obszernym dworze, jej, która bezpośrednio przed przybyciem tu lata spędziła we wspaniałym zamku. Doznała uczucia jakby duszności, pragnienia odetchnięcia powietrzem pól i lasów, ogarnięcia wzrokiem szerszych przestrzeni, a że słońce zachodziło wspaniale i krwawe, zaproponowała Szalitowej małą przechadzkę.

Otułiły się chustami i wyszły.

Szańc osiadła na drzewach i krzakach, zaróżowiona odbiciem zachodu; okolica zdawała się czarowną krainą. Zofja wyciągnęła ręce przed siebie.

— Piękny, piękny ten świat! Boże, co to za niezrównane szczęście będzie mknąć jutro saniami długie godziny przy boku małżonka mego milego, z dzieciną moją na łonie.

Radość ją rozpierała; zapragnęła śpiewać, krzyczeć, hukać. Instynktem jednak dobrze wychowanej kobiety obejrzała się, zali kto za nią nie postępuje; śnieżna droga, z ciemniejszą smugą ścieżki pośrodku, przepadała w dal siną, niezamąconą sylwetką żadnej postaci. Natomiast o kilkanaście kroków przed nią szedł jakiś wyrostek w pasiastych spodniach z żółtej i ezerwonej wełny, w skórzanym kaftanie i korpaczku z piórkiem głuszca. Opanowała chęć krzyku, tylko szybciej iść zaczęła, w ten sposób, czyniąc zadość potrzebie przeciwstawienia zmęczenia fizycznego nadmiernie pracującym nerwom. Prze-

strzeń między kobietami a wyrostkiem zmniejszyła się znacznie. Tarcza słoneczna stoczyła się do połowy poza wzgórze, a że od kilku chwil mgła zaczęła podnosić się gwałtownie, cały horyzont przybrał kształt jakby wklęsłej konchy, od dołu różowionej, ku górze i na bokach przechodzącej w fiolet i błękit.

— Jeszcze nigdy nie było tak pięknie na świecie, rzekła Zofja.

— Miłościwy pan, wasz małżonek także z okna swego na on zachód pogląda, ale nie cieszy się, radby, żeby słońce chutko w otchłani nocy się pograżyło, by prędzej być już przy was najmilejsza pani, mówiła Krystka.

— Jeszcze dwie godziny!

— Już tylko dwie godziny!

— A potem złączenie, ucieczka i wyzwolenie.

Jezuniu miłosierny!

Ostatni wykrzyk wyrwał jej się tak głośny, że idący przed nią wyrostek przystanął i obejrzał się za siebie. Zofja zbladła i pochwyciła gorączkowo rękę Krystki.

— Widzisz?!

— Herod niecnota, szepnęła Szalitowa złe spojrzenie rzuciwszy na Rudolfa, który zmrużył oczy i długą chwilę mierzył je szyderczem spojrzeniem.

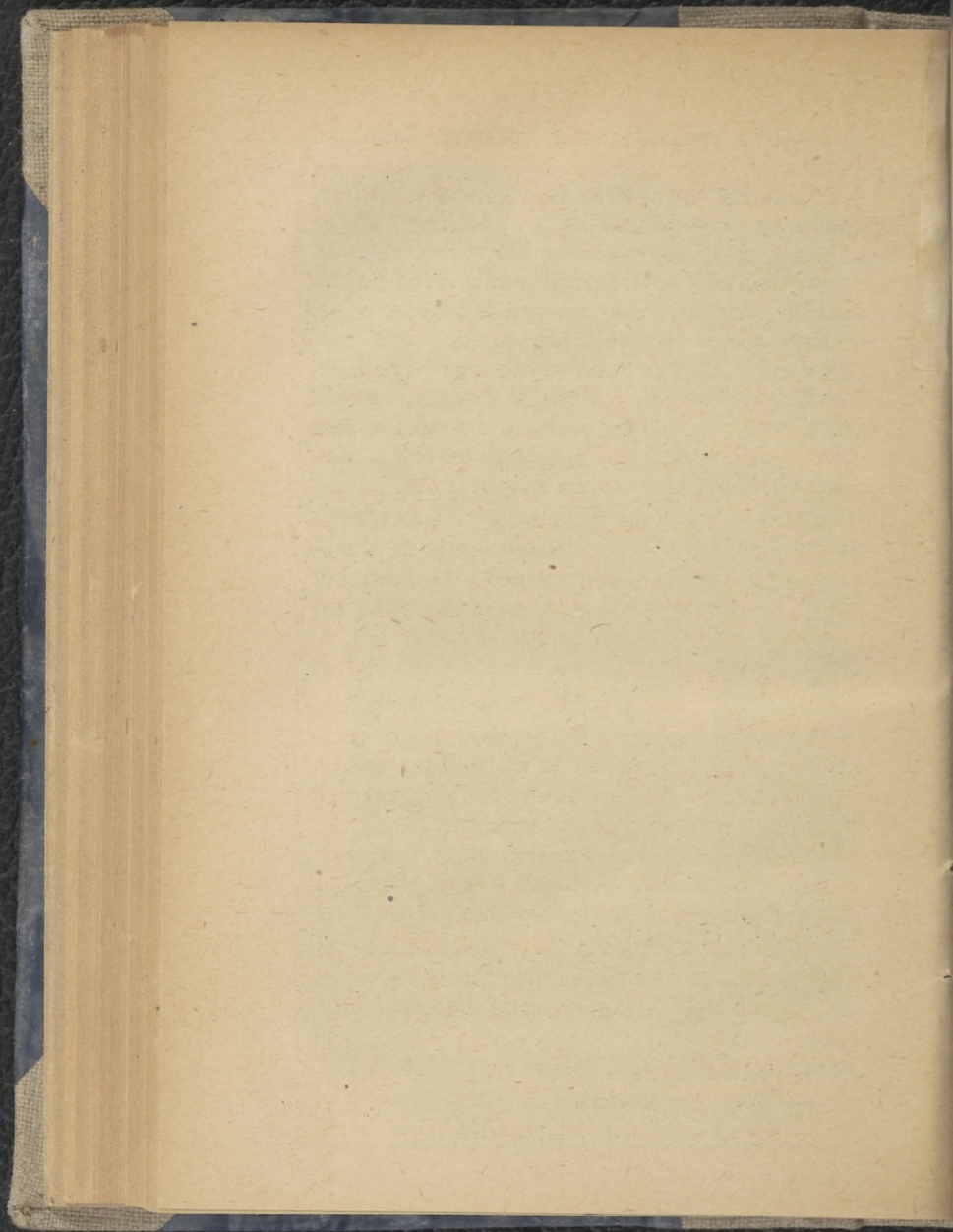
— Nie lubię go spotkać, szepnęła Zofja; on mi przynosi nieszczęście!

— Macie przy sobie co czerwonego?

Zofja spojrzała po sobie.



Nagłym ruchem ściagnął  
coton ze zmarłego.





— Nie; odkąd noszę rzekomo żalobne szaty....

Krystka przystanąła, uniosła rąbek spódnicy i wysunawszy pulchną nogę, zdjęła z niej czerwoną podwiązkę.

— Macie, miłościwa pani, rzućcie to za nim i powiedzcie: na psa, na kota, a na przydrożnego wilka idź uroku, po raz pierwszy, po raz wtóry, po raz trzeci, a Ty Trójco święta i Józefie święty, ostańcie ze mną!... Jeśli wolicie wymienić św. Antoniego, alibo Franciszka, to też możecie, oni też siła u Pana Boga zdolą.

Zofja wykonała polecenie i powtórzyła słowa Krystyny podczas, gdy ta skreśloną chusteczką zastępowała podwiązkę, ale uczyniwszy to zaproponowała swej towarzyszce powrót do domu.

— Zimno mi, Krystuniu.

— A no i noc chutko zapadać zaczyna.

W domu ogarnął Zofję niepokój i zniecierpliwienie; stawała przy małym okienku wechodziła do gościnnej izby popatrzeć na drugą stronę i do mieszkania Szalitów, aby z góry objąć okiem szerszą przestrzeń. Ale noc zapadła czarna, a turkoty raz po raz próżno jej wyobraźnię mamily.

Właśnie wróciła z jednej z takich peregrynacyj, gdy w sieni spostrzegła wchodzącego od strony podwórza Jędrka. Skoczyła ku niemu.

— Gdzie? gdzie pan?

— A no w kolasie.

— Czemu tu nie przyszedł?

— Miłościwa pani obiecała sama wielożnego zabrać. Czeka; może tu nie ze wszystkim przespiecznie mu iść; toć on jeszcze w niewieściach szmatach.

— Prawda! prawda! pójdę po niego!  
Przycisnęła ręce do gwałtownie bijącego serca i wybiegła na podwórze.

— Ach, jak ciemno! zawołała mimowoli.

— Ja miłościwą zaprowadzę. Kołase ostawiłem przy sadzie; w podwórzu zawiele obcych ludzi.

— Słusznie!... słusznie!... Ależ ślisko!...

— Ja miłościwą wezmę na ręce.

— Tegoby tylko brakowało!

— Bo ja radbym, żebyśmy jaknajprędzej tam przyszli; panu pilno do onego rajku!

Niezmierna serdeczność brzmiała w jego głosie; wyczuła to Zofja i zwróciła na niego wdzięczne spojrzenie.

— Kochasz mego małżonka?

— A ktoby go nie kochał!... Ten chyba, co go nie zna; a my w tych ostatnich czasach poznali się jak dwa lyse konie!

Roześmiał się wesoło, przystanął, obejrzał i rozjaśnił ślepią latarkę.

— O niech patrzy, miłościwa; tam widna kolasa i konie; ten z białymi przednimi nogami jak przebiera na mrozie.

Ktoś zdaje się stoi przy kolasie; pewnie małżonek mój wyszedł niecierpliw!

— Nie, to słup od bramy; miłościwy pewnikiem usnął w kolasie, bo gdym tu zajechał zajrzałem ku panu i rzekłem ja-

ko idę po miłościwą, ale pan nie się nie odezwał; spał widocznie.

— Jak on może spać w takiej chwili; mnie ziemia pali pod nogami westchnęła rozżalona i nie mogąc opanować niecierpliwości pędem puściła się ku karocy.

— Romuś, zbudź się kochany, zawołała otwierając drzwiczki, jużes w gospodzie! Poprowadzę cię do alkierzyka, do naszego alkierzyka, w którym siła dobrych chwil przeżyliśmy! Ostaniesz dziś przy żoneczce.

Pociągnęła go kilkakrotnie za rękaw, a że się nie odzywał, wsunęła się do kolasy, wyjęła rękę z zarekawka i pogłaskała nią twarz męża. Nagle okrzyk wydarł jej się z piersi, twarz wydała się lodowatą, usta do których przylgła jakoś dziwnie przytwarte i sztywne.

— Romek! Romek! co to!...

Na krzyk Zofji Jędrak przyskoczył do drzwiczek kolasy i oświetlił jej wnętrze blaskiem latarki.

Na poduszkach kolebki leżała głowa w obramowaniu białego zawoju, miała białość cery i ostrość już zastygłych rysów, jakie śmierć rzeźbi; do połowy przysłonięte powiekami oczy lśniły szklivem martwoty; z przytwartych ust wyciekły strumyczek krwi już zaskrzepł, ręka kureczowo zastygła w ruchu, który zdawał się stwierdzać usiłowanie wydobyć tkwiącego w piersi sztyletu.

Rozpaczliwe jęki i krzyki Zofji, oraz Jędrka zwabiły kilka osób z podwórca

gospody. Wydobyto Romana i zaniesiono do alkierza, który niebawem napelnil się ludem ciekawym i współczującym. Tłok zrobil się w izbie, póki Szalitowa energicznemi słowy i dosadnie wytrząsaniem ożoga nie wyprawila nieproszonych gości; pozostawiając jedynie najbliższych sobie i Obertyńskiej oraz przyzwanego do Romana medyka z Junkerhofu, który skonstatowawszy zgon, zajął się wpadającą w omdlenia Zofją, oraz Jędrkiem, który wybuchał kurczowym płaczem.

— Skorzystał jakiś lotr, zbójca z chwili, jakim poszedł wielmożną zawiadomić i...

— A kiedyś odszedł? zapytał medyk.

— Dopiero co, przed chwilą.

— Tu zgon nastąpił dobre pół godziny temu.

— Przed półgodziną chyba jeszcze byliście doma, rzekł Szalita.

— O nie, wyjechaliśmy wcześniej, aby dla bezpieczeństwa zajechać tu drogą od pół.

— Oglądałem kolasę, rzekł Jazłowicki; na podnózu jej naniesiono śniegu, na niem odciski butów męskich, ale niewielkich, szpicem zwróconych do zamordowanego; takiż ślad na stopniu mocno wyciśnięty.

— Musiał ktoś wskoczyć do kolasy, gdyście ruszali, rzekł stary Wendorf.

— Wzięłeś się do służby, do opieki nad miłościwym, krzychał na Jędrka Benek i dopuściłeś do tego, że za plecami ci go zamordowali.

— Przecież on musiał krzyczeć, wołać ratunku.

— Nic nie słyszałem!... Ale jak też miałem słyszeć, kiej dotąd mam leb jak mniszka opatulony szmatami!

— Nikt inny, tylko on szatański wnuk, Urfeld to uczynił.

— Pewno, pewno; szykowaliśmy się na niego, a on nas ubiegł.

Porwał się Jędrak; obie ręce wznosił w niebo, dwa palce złożył na krzyżu, zawieszonym na ścianie.

— Zemsta! zakrzyknął, Bogu zemstę ślubuję. Ty sam panie mój ukochany pomścić się przykazał, jakoby w objawieniu. Nie spocznę, póki krwie tej na zabójcy nie pomszczę!

Jak szalony wybiegł z izby.

— Odkrył bestja, że imci pan Obertyński żywie i postarał się go usunąć, aby snadniej na nieszczęsną wdowę nastawać, mówił kiwając smutnie głową Wendorf.

— Urfelda, rzekł Pietrek, przed półgodziną w gospodzie Pod Trzema Koronami widziałem, nie on przeto śp. pana Obertyńskiego zamordował.

— Potrzebował sam zabijać? Nie mógł li nasłać zabójców?

— A ja was zapewniam, że morderstwa dokonał kto inny i nie z pana Urfeldowej poręki, obstawał przy swoim Pietrek. Szykując się do jutrzejszej wyprawy miałem go na oku, śledziłem i ucha nastawiałem, żebyśmy zaś w jakąś matnię nie wpadli...

— O Pietrek jako wąż chytry, pochwalil swego faworyta ojciec. I cóżes wyszedzil chłopaku?

— O zmroku poszedłem pod Trzy Korony, świadom, że tam Urfeld ze swoją kompanją rad bywa. Piję piwo i słucham, co wokoło powiadają. Nie upłynęło pół pacierza a przyszedł bestja; wesół szczezczący kły do każdego; przysiadł się do jakowychś Niemczynów i dalej wina im nalewać, gościć, a przechwalać się, jak to on zawdy, to w duszy, to i na języku, z powodzenia jakiego doznał, jak to mu niewiadomy przyjaciel usługę oddał, pana Obertyńskiego zamordowawszy; opowiada, że syna szlachcicowego ukrywa tak, że go ludzkie oko nie dopatrzy, a nadewszystko jak go wdowa po panu Obertyńskim miłuje i rada z nim przestaje.

— Zamilezałbyś! ofuknęła go Szalitowa, niespokojne spojrzenie rzuciwszy na Zofję.

Ale ta, zupełnie obojętna na to, co się dzieje wokoło, klęczała przy trupie męża, półprzytomnie słowa rozpaczy i miłości powtarzając.

— Może symulował takowem gadaniem, rzekł Benek.

— Kto zna Urfelda wie, że symulować on nie zdolny; jeśli łże, dziecko nawet rozczyna, że tak jest.

— Bo zagłupi na mądre łgarstwo!

— Juści!

— Ale poco kto inny zabijałby pana Obertyńskiego; wrogów, zda się nie miał wcale.

— Może dla rabunku jakiś łotrzyk to uczynił?

— Czy pan Obertyński miał przy sobie jakowe kosztowności?

— Nie wiem; zapytajcie Jędrka.

— Jędrak wybiegł.

— Wiem, że miał przy sobie torebkę borsuczą rzekł Jazłowski; w niej musiał mieć pieniądze, które mu pozostały po oplaceniu gospody; miał w niej też niezgorszą koroneczkę z agatu i złota, obrazik na blasze w złotej ramce oblicze małżonki wyobrażający, a może co jeszcze. Ale wszystko to razem, a choćby dwa razy tyle, życia ludzkiego nie warte!

— Co dla takiego zbója!... Chrystusa dla 30 srebrników do krzyża przybili.

— Pewno się też i więcej spodziewał.

— Torebka znikła?

— Niema jej.

— Nic innego tylko o rabunek tu szło.

— Takie młode życie dla tak małego profitu zgasło!

— I w przededniu z niebezpieczeństw wyzwolenia.

— Słuchajcie, waszmościowie, rzekł Jazłowski, nie tu nie poradzimy, a godzina późna; idźcie na spoczynek, a ja tu z nieszczęsną wdową zostanę, aby modlitwą a trzeźwym argumentem jakowe pocieszenie jej zaaplikować.

— Ja jej też nie odstąpię, rzekła Szalita; pójdę Pietrka nakarmię, a potem powrócę; kobiety sprowadzę, aby pobożnymi pieśniami duszę zmarłego do bram niebieskich przeprowadziły.

Jakoż nazajutrz rano Zofja zdołała o tyle opanować rozpacz, że mogła z Jazłowieckim i oddanymi sobie przyjaciółmi odbyć naradę. Wobec zasięgniętych obszernych informacji, wszyscy doszli do przekonania, że morderstwo zostało popełnione bez wiedzy Urfelda i że wobec tego nie należy nie zmieniać w postanowieniu wywabienia go do lasu, w celu odebrania dziecka.

Ale ja nie zdolę opanować mojej boleści, wołała Zofja. Radosną twarzą witałam go wczora, gdyż Jasieńka miał na łonie, a dziś na widok sieroty łzami się zaleje.

— Przecież można nie ukrywać już przed nim rzekł Szalita, iż małżonka jej mości ktoś zabił wczoraj; toć go nie zabije po raz wtóry!

— Nie może to być, zaprotestował Jazłowiecki. Zmiarkowałby się, że go jejmość do tej pory oszukiwała i miałby się przeto na baczności. To, że cię, Zosieńko, płaczącą obaczy nie jest jakoweś periculum. Wiadomo, że każda białogłowa jakota żelazna sroczka na dachu, jaki wiatr na nią powieje, tam zwraca się i skrzeczy.

— A czyby nie można onego atentata na inny dzień ostawić? pytała Zofja. Toć



milego małżonka mego muszę pochować i to z należnemi mu splendorami.

— Pewno, przywłażyla Szalitowa.

— Odlóźcie rozprawę na popogrzebny czas.

— Nie radzę, rzekł Jazłowicki. Wieść o pogrzebie lotem sokoła rozniesie się po mieście; stąd o nieszczeroci twej w umyśle Urfelda silne wynikłoby upewnienie i stosowna po temu ostrożność.

— Więc co czynić, radźcie!

— Zwłoki ukochanego siostrzana mego, a małżonka twojego w dębową truchlę włożyć, księdzu dać jeno pokropić, a ciche odmówić modlitwy, bez żadnej ostentacji, bez opowiadania czyje to zwłoki, na cmentarze wywieźć, w suchym piasku złożyć i niech tak prochy czcigodne czekają sposobnej chwili, w której uroczystym pogrzebem uczzone zostaną. Nam trza działać prędko i roztropnie. Nie z wczorajszego planu nie zmieniając, dziecko wywieźć, a że to jeno po trupie Urfelda uczynione być może, to potem nawet do kościerskiej ziemi możesz podążyć, serce stęsknionej matki twej ucieszyć.

— Byle tę dziecinę, byle tę dziecinę już mieć! Toż jedyna jaka mi pozostaje pociecha.

W tej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie; do izby wpadł Jędrak. Twarz jego nosila ślady zmęczenia i bezsenności, ale oczy pałały blaskiem triumfu i wewnętrznej radości. Ubiór jego z jasnego samodziálu zbryzgany był krwią; krwawa

niósł w rękę chustę. Przypadł do spoczywającego na środku izby ciała Obertyńskiego, przyklęknął i ową krwią przepojoną szmatę na splecionych, woskowo białych rękach trupa złożył.

— Ciesz się, miłościwy panie, zawołał. Oto krew jego za twoją śmierć wylana!

Mród jakiś przeszedł zebrane grono.

— Nieszczęsny, coś uczynił? wykrzyknął Jazłowski.

— Pomściłem śmierć mojego pana; u siekłem Urfelda!

I powiódł dumnym wzrokiem po zebranych.

— Ciesz się, miłościwa pani, twój prześladowca, morderca twego męża, już zimnym, jak i on trupem!

Ale Zofja nie kwapiła się z objawieniem zadowolenia, przeciwnie, ręce załamała, wołając rozpacznie:

— I któż mi teraz dzieciątko moje powróci!

## XVIII.

### Topielec.

Esken w głębokim fotelu drzemał, z rękoma splecionemi na okazałym brzuchu. U nóg jego, na miękkim kobiercu, twarzą zwrócony do ogniska komina, siedział Rudolf i gryzł orzechy; czynił to jakby z zaciętością, miażdżąc je gwałtownie i szybkimi ściśnięciami szczęk, pospiesznie i wypływając lupiny i ciskając je w ogień zawzięcie. Od czasu do czasu przytem rzucał spojrzenie Eskenowi i ruszał ramiona-

mi, mrużąc coś ze wściekłością. Gdy wreszcie ręka próżno myszkowała w kieszeni, wyciągnął się na dywanie i krzyknął, zalamując ręce nad głową:

— Gromy i pioruny! gromy i pioruny! ten stary śpi spokojnie, jakby....

Ale „stary” otworzył oczy, wypoczęte, przytomne, oczy człowieka czuwającego przy zamkniętych powiekach.

— Cóż cię gryzie?

— Ach!... jeszcze się pytacie!...

Esken ruszył ramionami i stroskaną twarz zwrócił do ognia. Nastąpiła chwila ciszy. Rudolf wpatrywał się usilnie w sufit, jakby pragnął utrwalić sobie w pamięci rysunek kasetonów. Esken zdawał się podziwiać haft tureckich pantofli, które miał na nogach. Długo wśród ponurych ścian sali słychać było tylko trzaskanie drzewa na kominie i dobitne cykanie zegara. Twarze starego i wyrostka powlekały się coraz głębszą troską. Dość gwałtowne wejście Fryca wstrząsnęło obu.

— Co się stało? zawołał trwożnie Esken.

— Co się miało stać!... Śniadanie na stole.

— Prawda, żeśmy jeszcze dziś nie jedli, a już tyle godzin jesteśmy na nogach, zawołał Rudolf żwawo podnosząc się z miejsca.

— A no, niema młodego pana, nikt nie pili kucharza...

Esken wstał również i wspierając się na cybuchu, przeszedł do jadalni, gdzie w

szerokiej, cynowej wazie dymila polewka, rozszerzając wcn wędzonego mięsa. Usiedli naprzeciw siebie; Rudolf dośc łapczywie zabrał się do jedzenia, Esken ledwie spożył kilka łyżek i zażądał piwa, miast jadła. Po wypróznieniu pierwszego kufła obtarł wasy i zaczął, jakby kończąc myśl obu im wspólną:

— Przecie niepodobna, aby dał się porwać na ulicy, albo napaść tak, żeby... Odkąd rządzi w mieście szczęśliwie szlachetny naród Szwedów, wszędzie wojska i straży pełno...

— A jednak na Żeglarskiej obfite ślady krwi znalazłem.

— Ale ślady zmniejszały się w stronę Wisły, snac tam napadnięty uciekał, a toś Albinowi w górę, ku domowi wypadala droga!

— Może mu zastąpili od tej strony?

— To nie może być! gdzieby w tak ładnej ulicy, w ulicy zamieszkaney przez samych Niemców, odważył się ktoś napaść!... To gardłem pachnie!

— Więc może....

— Co!...

— Ba, żeby m wiedział!

Pospiesznie objadał mięso z kości, którą trzymał w palcach.

— Najprędzej to ta bestja zwabila go k' sobie i zamordowała!

Esken porwał się z miejsca i całą siłą gromotnął w stół pięścią.

— Nie mogę słyszeć i widzieć, jak ty społem jesz i takie straszne rzeczy głośisz!

Rudolf drgnął wobec wybuchu Eskena, a sam też zdenerwowany, przypadł do stołu, czoło wsparł na wyciągniętych ramionach i począł szlochać.

— Maloż mego nieszczęścia i rozpaczył. Wczorajszego dnia nie zgoła w uściech nie miałem, jakby w Wielki Piątek! Chcecież mieć mnie wnet na marach?

— Cicho, nie rycz tak!...

— Toż wdzięczność za moje psie przywiązanie!

— Zamilcz! mówię ci! Że kochasz mego siostrzana wiem o tem; ale mnie każde smartwienie nie tylko serce, ale i brzuch zapędnia tak, że nie już nie przyjmuje! Ty zasie płaczesz i żresz, żresz i płaczesz!.. toby i świętego zezłościło!... Jak to można jednocześnie mieć w gębie tak straszne słowo, jak zamordowanie człowieka i kawał szwininy!

— Bo widzicie, jak mnie rozpacz wgarbia, lżej mi, gdy mogę zębiskami coś miażdżyć. Wy tego zrozumieć nie jesteście w stanie, boście do cna zęby pogubili.

Znowu zapadła cisza. Esken wypił drugi kufel i ciągnął jękliwym głosem:

— Przecie zgoła nie może to być, aby ona poważyła się go zamordować!... I przecz?... Gdybyż dziecko było już w jej rękach, to jeszcze.... Ale tak!... I za coby go mordowała biedaka? za co!...

— Mszcząc się śmierci małżonka!

— Gdyby to być miało aż zbrodni przyczyną, uczyniłaby to w pierwszej chwili rozpaczy. A toć Albin wyekskuzował się, jako nie on Obertyńskiego wówczas zabił...

— Bo wówczas Obertyński zabit nie był.

— Jako?

— Obertyński aż do przedwczorajszego wieczora żył i codnia z małżonką obcował!

— Co za baśnie prawisz?!

Rudolf podniósł się blade.

— Obertyński do przedwczorajszego wieczora pełni zdrowia zażywał!

— A przedwczoraj?

— Zabilem go ja!

Moc jakaś bila od chłopca; zdawało się że wyrósł, wyolbrzymiał. Esken cofnął się zdumiony.

— Przecz to uczyniłeś?

— A poco miał żyć?... Uszedłby mojemu panu; już wyjeżdżał gdzieś z miasta.

— A ona wie o tem?

— Może.

Esken wsparł łokcie na stole i twarz ukrył w dłoniach.

— Takim sposobem zemsta niewykluczona.

Znowu zapanowała cisza. Rudolf jakby mu ulgę sprawiło wyznanie, bębnił palcami w szybę i pogwizdywał przez zęby.

O Rudolf, Rudolf, zawołał po chwili Esken, przecz to uczyniłeś?! Lubujesz się w krwi i mordzie jak katowski pachol-

lek, a przeto mój chłopak padł ofiarą twej zawziętości!

Rudolf skoczył jak ranny ryś.

— Inszy kiesą złota nagrodziłby czyn taki, a wy jeszcze mi krzywi!

— Inszy preczby z domu wyгнаł, jeśli takowego czynu nieszczęsny rezultat!

Rudolf zbliżył się do starego, bladą, o złym wyrazie twarz, przysuwając prawie do samych jego oczu.

— Wyгнаł!... wyгнаł!... Na Boga i wy to śmiecie powiedzieć!... Nie mam to ja prawa pod tym dachem?... Nie zagarnęliście to fortuny ojca mojego podstępem?...

Esken pchnął chłopca.

— Co ci się roi!

— O ja wiem wiele!... Nie z łaski trzy maliście mnie pod swym dachem od pacholecia. Nie z łaski zleciliście mnie burmistrzowi do Kościerzyny; chcieliście oddalić mnie z tych miejsce, aby ludzie...

— Milez; ojciec twój był niedolegą!

— Ojciec mój zawierzył wam jak tylu innych.

— Co ty wiesz!

— Wiem, wiem! ale milczę, bo siostrzan wasz dobry dla mnie, nie neguję... Ale wy mi o wygnaniu nie wspominajcie!.. Nie przybędą jestem i nie pies bezpieczeństwa!

Esken sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej dukata i nie mówiąc ku chłopcu posunął, ten przyjął go, mrucząc pod nosem. Stary sapął chwilę ze złością, potem rzucił w formie pytania:

— Mówiłeś, że wyjeżdżał z miasta?

— Tak, karoca potoczyła się drogą ku chełmińskiej rogatce.

— I gdyś ty atentat uczynił woźnica nie wstrzymał koni? Czy nie zawołał pomocy?

— Wskoczyłem na tył; kędy był przytroczony kufer, jeszcze gdy zaprząg stał przed gospodą pod Złotym Pierścieniem; służba miejscowa myślała, że należę do orszaku wojewodziny, którą Obertyński symulował. Gdy za domostwami wjechaliśmy w pole, przesunąłem się na płozach, otworzyłem drzwiczki i... On zawołał radośnie: — Zośka, ty już tu!... I więcej nie powiedział słowa, musiałem w samo serce uderzyć, bo tyle tylko że zacharczał kilka razy.

— Ale woźnica!.. że nie zasłyszał otwierania i zamykania drzwierzy... batami zatłuc takiego!

— Głuchy, z lbem owiązanym po jakowejś bitee.

— Jej nie było przy boku męża?

— Nie; widziałem ją dzisiaj na Mokrem; szła drogą od cmentarza św. Walentego z szynkarką z pod Modrego Fartuszka.

— Jak wyglądała?

— Nie wiem, oblicze miała zakwefione, ale ona tak się nosi odkąd symuluje wdowę. Zresztą, widzi mi się, że rażno rozmawiała. Może myśli, że on kajs i w bezpiecznym miejscu żywie!

— Słuchaj, Rudolf, a nie byłoby to możliwem, żeby ona podstępem przynknę-



ła kędyś, uwięziła niejako mego siostrzana, aby za wydanie jego żądać dziecka?

Rudolf jednym skokiem znalazł się przy jego nogach.

— Święte, święte wasze słowa! Nic innego, tylko tak być mogło. Meza wysłała przodem, jak sądziła cało, a sama przystała i wciągnęła mego pana w matnię!

— Tylko patrzeć jak zjawi się tutaj ona albo jej wysłaniec wszcząć układy.

— Pewnie przyszła dziedzica z Pelplina; to pierwszy jej doradca!

— Niech przyjdzie!... Oddam mu bachora, byle mego chłopaka wrócił.

— Pan Albin będzie się gniewał!

— Niech się pogniewa; mam już dosyć tych jego amorów.

— Sami chcieliście owego małżeństwa jak wilk owcy.

— Tak, pragnąłem splendor mego domu podnieść!... Ale albo to nie znajdzie się prawa szlachcianka wśród rodów, które o swem polskiem pochodzeniu zapomniały, jak Camerowszky, co się wprzódzi Komerowskimi pisali, jak Pietraszów z Kitnowa, co gdy im Krystyn Kalinowski szlachectwa przyganil, sześciu szlachty postawili, którzy pod przysięgą zeznali, że Pietrasze herbu „Trzy golenie złote są” i zawołanie „Czuppe”, nie „Czubate” z rodu dzierzą!

Podniósł się Esken i do okna zbliżył.

— Wiesz co, Rudolf, słońce tak pięknie świeci, chdźmy przejść się nieco.

Rudolf w milezeniu wyniósł z przyległej izby buty i niedźwiedzią szubę, przyodział w to starego, a sam narzucił płaszczyk wytarty, lecz podbity kosztownem futrem.

Wyszli na ulicę i zaraz skierowali się ku Wiśle. Lód skrzył się miliardem brylantów i znaczył ruchliwemi, barwnemi, plamami rybaków, ciągnących sieci od toni do toni.

— Lubię patrzeć na robotę rybitwów, rzekł Esken.

— Powiadają, że z ryb wasza fortuna wyrosła.

— Moja nie, ale dziadowa; w Kościerskim rozległe jeziora dzierżawił.

Ostrożnie wstąpił na lód, wspierając się na Rudolfie, ale gruba warstwa suchego śniegu czyniła powierzchnię mniej śliską, niż chodnik ulicy, więc też śmiałym krokiem doszedł do pierwszej przerembli.

Właśnie wyciągano sieć; cała masa ryb rzucała się w niej i podskakiwała; srebrzyły się olbrzymie szczupaki, złote karasie, jak ruchomy pas lity wily się szeregiem, krwawe skrzele odcinały się od ciemnej łuski karpi.

Posługacze rybitwów zręcznie chwyтали po kilka ryb odrazu, rzucając do wiader, by odnieść ku sadzom.

Esken gawędząc z rybitwami przeszedł do przeciwległej toni.

— Hale! hale! hale!... łap!... hale, la... a...paj!

Kierowano drągi olbrzymiej sieci, nawołując się wzajemnie; rybacy pomimo mrozu, potem się oblewali z wysiłku.

Jeszcześmy tak szczęśliwego połowu jako dzisiejszego dnia nie mieli; mówił stary rybak przerywanym skutkiem zmęczenia głosem; w toni przy św. Janie ryb złapaliśmy więcej za jeden raz niż innych dni od świtu do zachodu; teraz, widzicie panie, chyba się sieci poprzerywają, takie ciężkie.

Już w okach sieci ukazywały się trzepoczące większe i mniejsze ryby, ciągnęły się długie, zielone smugi wodorostów. Jeszcze jeden gwałtowny wysiłek kilkunastu ramion i sieć pełna ruchliwych stworzeń legła ciężko na lodzie. Jednocześnie krzyk wydarł się z piersi kilku, bliżej stojących:

— Co to?... Noga ludzka!... Ręka!...

Topielec!

Rzucono się tłumnie ku sieci.

— Topielec, jako żywo!... I świeży!...

Nie rozłożony całkiem!

Rudolf rozepchnął rybitwów i pochylił się nad trupem; krzyk rozdzierający wydarł się z jego piersi.

— To on! to on!

Zrozumiał Esken, pobladł śmiertelnie i wspiał się na palce. Przed głowami pochyłonych ludzi spostrzegł tors męski, opięty kurtką zieloną aksamitną, i głowę ogromną, rozniesioną, o sinem, rozbitem czole i zapadłym oku, niemniej bliską mu i drogą, głowę Albina. Rękoma począł trząść i obsuwać się wolno,

lana i czolgając się na nich, przysunął się wśród ustępujących mu ze wzruszeniem ludzi do trupa w sieci i przywarł ustami do wzdętej jego ręki, wołając z płaczem:

— W takimż cię stanie znajduję! ty, ostatnia latorośli rodu naszego!

— Ojciec, ojciec, szeptano ze współzuciem.

— A ten mały co płacze; brat pewnie.

— Może syn?

— Et nie, zmarły młody jeszcze chłop.

— Co go w oną toń popchnęło?

— Pewno opił się i spadł z mostu, albo z promu.

— Gdzie zaś! Ranę ma na łbie, widzisz tył głowy jakby tępem narzędziem zgruchotany.

— Może uderzył się o skałę na dnie.

— Co też gadacie!... A to cięcie co ma od oka aż do ucha, też od uderzenia o skałę? Rana widocznie cięta.

— Sztylet?

— Na sztylet za szeroka; raczej jakby od rzeźnickiego noża.

— Ta rana z tyłu też na rzeźnicki obuch patrzy.

Porwał się Rudolf.

— Panie mój! panie mój miły! wołał Na toż ci przyszło, abyś jak bydle ginał od rzeźnickiego obucha i rzeźnickiego noża! Wendorfy! Wendorfy to uczynili!... Psie ich macie! odszczepieńcy!

— Jakoż ci ich odszczepieńcami nazywać, przy religji katolickiej wiernie stoją

od czasów króla Mieczysława, rzekł Rybka-Płotka.

— Od narodowości niemieckiej odszczerpieńcy.

— A nie rodzili się tu od dziada, pradziada? Nie doznawali łask od królów polskich i od krzywd krzyżackich zabezpieczenia?

— Cicho!... Co to przy trupie w takiej materji się przemawiać, upomniał najstarszy z rybitwów. Szanujcie pana Eskenową boleść i majestat śmierci.

Dźwignął się Esken z kolan; podniósł twarz szarą na obecnych i powiódł mętym wzrokiem; zdawało się, że trzydzieści lat mu przybyło.

— Weźcie go, dobrzy ludzie, do domu odnieście!... Dość tej poniewierki nieboszczykowi.

— To syn wasz? zapytał ktoś ze współczuciem.

— Prawie jak syn; trzech nas braci bezżennych było; on, jeden czwartego najmłodszego jedyne dziecko!...

— Straszny wypadek!

— Nie wypadek, zbrodnia!... Ale ja go pomścę! ja go pomścę, na Boga!

## XIX.

### W niskie progi.

Salę pierwszego piętra w domu Eskena przybrano w kiry, olbrzymie kandelabry, dźwigające po pięć woskowych świec, ustawiono w czterech rogach, trumnę sto-

jąca pośrodku na katafalku, okryto srebrnolitym całunem.

Esken ocieżyłym krokiem, noga za nogą chodził po sali i raz po raz przystawał przy trumnie, załamując dłonie. Kilkakrotnie zrobił ruch, jakby chciał unieść całun, pod którym zarysowywały się kształty spoczywającego ciała, ale wnet stawała mu w myśli ta okrutnie zmaltretowana głowa, więc rękę cofał i zamykał oczy, wgniatając powieki w orbity, jakby chciał zdławić straszliwe wspomnienie. Po kilku takich próbach, podszedł do drzwi wiodących do sieni i zawołał zrazu szeptem potem coraz głośniej:

— Rudolf! Rudolf! Rudolf!

Na schodach ukazał się Fryderyk i począł wstępować ku górze.

— Czego chcecie, panie?

— Gdzie Rudolf?

— A no....

— Zostawia mnie tak samego... ja się boję.

Był bezdenny tragizm w tej niemal dziecięcej skardze starego człowieka.

— Rudolf ciągiem w pana Albinowym pokoju oplakuje go, i rozpatruje pamiątki.

— Gorąco chłopiec ten miłował mego siostrzana!... Teraz, gdy nie mam komu fortuny swej zostawić, trzeba chyba będzie jego los jakoś zabezpieczyć.

— Pewno, że warto; bo tak myślę, że kto wie, czy ta przedwczesna śmierć waszego jedyne go spadkobiercy, to nie kara

Boża, za oną krzywdę, której ojciec Rudolffowy doświadczył.

Esken syknął, jakby go kto dotknął gorącym żelazem. Fryc zorjentował się, że niepotrzebnie temat ten poruszył w tej chwili i chcąc prędzej zejść z oczu swego pana, zapytał:

— Przyzwacam cię Rudolfa?

— Nie, ty ostań zemną, a on niech będzie tam; pono słodko zmarłym, gdy lzy po nich płyną.

Rzeczywiście Rudolf był w pokoju Albina. Zarygłował drzwi, na środku pokoju rozłożył wielką walizę losią skórą obitą i wkładał w nią różne przedmioty wyjmowane z szaf, skrzyń i kantorka: kosztowne szaty, drobiazgi i klejnoty. Gdy obie połowy walizy zapełniły się po brzegi, zaciągnął troki, zamknął, zapiał jeszcze jedną parę rzemieni i walizę odłożył w kąt między łożo a kłęcznik, stojący tu jeszcze z czasów, gdy rodzina Eskenów katoliczką była. Potem zasiadł przy otwartym kantorku, zaostrzył pióro i jał na karcie bibulastego papieru mozolnie kaligrafiować. Zniszczył jedną kartkę i drugą, dopiero na trzeciej wypisał bez poprawek wielkim gotykiem: „w razie mej śmierci wszystkie znajdujące się tu przedmioty otrzyma mój wierny sługa i przyjaciel Rudolf Weiss”. Kartę wsunął za troki walizy, powrócił do kantorka, wyjął środkową szufladę, wyciągnął dwie kolumienki, przyczepione do wąskich szufladek i jał manipulować około deski, dzielącej kantorek na dwie połowy,

o której wiedział, że odskakuje za nacięciem niewidocznej sprężyny i że służyła Albinowi do przechowywania złota.

Zaabsorbowany był wielce tą robotą; gdy nagle wydał krzyk przerażenia i w bok uskoczył; jakaś miękka, chłodna ręka przysłoniła mu oczy! Nie śmiał się odwrócić, wybelkotał tylko drżącym głosem:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!

Ale odpowiedział mu zupełnie ludzki, wesoly, zdrowy wybuch śmiechu.

— I ja go chwale! ale nie chwale ciebie!

Poznał głos Marty i odwrócił się z gniewem; stała przy kantorku w codziennej sukience niebieskiej w kwiatki, ładna w ramie złoto-rudych włosów, o twarzy zmysłowej i bezczelnej.

— Jakes tu weszła? drzwi zaryglowałem.

— Dziurką od klucza!

— Nie opowiadaj!... Żeby zaś się nie rozniosło, żeś czarownica; uśmiecha ci się stos przed ratuszem?

— Wpierw zanim ja znajdę się na stosie przed ratuszem ty staniesz tam, ale pod pręgierzem.

Rudolf podszedł do drzwi i sprawdził, że szeroka zasuwa wykluczała możliwość wstępu do komnaty.

— Jakim sposobem ta dziewczyna weszła; chyba doprawdy czarownica!

— Widzisz, masz wątpliwość, czy ja nie jestem czarownicą, a ja mam pewność, żeś ty złodziej.



Rudolf pobladł.

— Mój pan mówił mi, że w razie jego śmierci mam zniszczyć papiery, które są tu w skrytce, ale zapomniałem, jak się ją otwiera.

Marta wycięła mu żartobliwie policzek:

— Mów to głupszej niż ja jestem!

— Ha, jak nie chcesz wierzyć!...

— Mówię ci mów głupszej niż ja jestem, to jest takiej, co się tem zgorzyszyć może.

— Jak to rozumiesz?

— Wiem, że są tacy ludzie, którzy powiadają: co cudze, to cudze, nie tknę tego, choćbym wiedział, że to się zmarnuje, a ja powiadam: głupi ten, co pozostawia drugiemu, jeśli on drugi ma dużo więcej od niego!..

— Ty doprawdy mądrze prawisz.

— Pewnieś myślał, wchodząc do tego pokoju: co będzie robił stary Esken z tytu cennemi przedmiotami, które mu po siostrzanie zostały...

— A no przecie!

— Ale widzisz, i ja to samo myślałam, wchodząc tutaj!

— To bardzo dobrze; jeśliśmy tak jednej myśli, to nie pokłócimy się przy podziale, ale powiedz mi przecie, którądy weszłaś tutaj?

Marta ze śmiechem podeszła do ściany naprzeciw okien i uchyliła szpaler przedstawiający lutnistę, grającego u nóg stroj-

nej damy, poza którym ukazały się wąskie drzwi bez klamki.

— A gdzie te drzwi prowadzą?

— Do pokoju niewiast; z tamtej strony jest niedźwiedzia skóra i skrzynia, w której się chowa bielizna do prania.

— Mój pan wiedział o tem tajnem przejściu?

Marta roześmiała się bezczelnie.

— Przecie!... Mówiłam ci, że za temi drzwiami pokój niewiast służebnych! Ale teraz ty mi musisz jedną rzecz wytłumaczyć: Jak się to dzieje, że ty tak gorąco swe go pana oplakujący, zarazem umiesz z całym spokojem w komnacie jego myszkować?

— Zali wątpisz, że jednocześnie pamiętki po nim rozpatruję!... Ot, patrz, ta szmatka, zeszłej niedzieli pan Albin otwierając orzech nożykiem, skaleczył się i palec musiał sobie szmatką owinać... Widzisz krew na niej zaschniętą!... Znalazłem ją w łóżku i chowam na pamiętkę na sercu! Pana mego krew, mego złotego, kochanego pana, co tyle dobrego wyrządził mnie, biednemu sierocie!

I zaczął szlochać, ukrywszy twarz w dłonie.

— No, no, nie płacz, nie płacz; ja wiem, że można razem żałować kogoś i myśleć o sobie. To też widzisz, ja także myślałam o sobie, wchodząc tutaj i mamże przez ciebie z pustemi odejść rękoma.

— A niechże Bóg broni!... Znajdzie się tu niejedno i dla ciebie.... Przedewszystkiem... wszak jesteś katoliczką?

— Tak.

— No, to ci się przyda.

Wyjął z kalety agatowy różaniec niszany na złoto.

— Podobno tam w niebiesiech aniołowie liczą, ile kto zdrowasiek na onych kulkach przeklepał....

— Nie bluźnij!...

— To ci mają urwanie głowy, jak tak wszystkie katoliki naraz!...

— Dawaj, a nie bluźnij!

Wyrwała mu koronkę z ręki.

— Czyś to u Albina znalazł?

— Nie, to wojenny łup.

— Wojenny?

— Znalazłem przy człowieku, którego ntrupiłem.

— Katolik był?

— Przecie i Polonus!

— Nigdy nie powinno się nosić złota, znalezionego przy człowieku, którego się zabiło.

— Powiadasz?... No, to zabierz i to tu. Rzucił przed nią miniatyrę w owainej złotej ramce.

— O to ładne cacko!... Ale to ona!... matka naszego malca, co mi korale dała... Co to?...

— Co?

— Ktoś do drzwi wchodowych kołacze. Skoczyli do okna!

— Jakby na zawołanie, ona!

— Imci pan Obertyński. Mówilem, że z nim przyjdzie. Pójdźmy przypatrzeć się, jak ich nasz pan przyjmie.

Gdy weszli do sieni, Fryc właśnie otwierał drzwi, wpuszczając przybyłych.

— Zawiadomcie pana, że Jan Nałęcz Jazłowski, pan na Pelplinie i Rudnie, oraz jaśnie wielmożna pani Zofja urodzona Pawelska, wdowa po śp. Romanie Jastrzębu Obertyńskim, widzieć go żądają.

— Przed oblicze jego dopuszczeni być pragną, znękany głosem poprawiła Zofja.

Fryc odszedł ku schodom, a Rudolf podsunął się do gości.

— Zajmijcie jaśnie wielmożni miejsce, choć tu w sieniach tymczasowie, rzekł wskazując ławę futrem nakrytą.

Zofja wstrząsnęła się nerwowo i przitulila do Jazłowskiego.

— Ale twój pan doma?

— Juści.

— Może śpi jeszcze w tak rannej godzinie?

— O nie!

— A co robi?

— W sali zabawia się z siostrzanem.

— Z którym?

— Z panem Albinem Urfeldem.

Rzucił im spojrzenie pełne nienawiści i wbiegł na schody; za nim podażyła Marta.

— Słyszeliście wuju?

— Uszom swym wierzyć nie mogę!

— Miałżeżby się Jędrzej omylić?

— Może to być; noc była czarna!

— Albo co możliwiej ranił go jeno, a on przyszedłszy do siebie...

— Jeśli tak, pożegnajmy się z nadzieją odebrania dziecka.

— O przeciwnie! Jeśli tylko on żywie, to ja już go uproszę, ubłagam, przecie on widzi, jakam ja biedna, jaka nieszczęsna, on nie pognebi mnie tak do ostatka.

W tej chwili drzwi sali pierwszego piętra otworzyły się z trzaskiem i ukazała się w nich okazała postać Eskena; podszedł do pierwszego stopnia, lewą rękę wsparł na barjerze schodów, a prawą z trzymaną czapką usunął aż do nóg w głębokim pokłonie.

— Witam, witam, w niskich moich progach tak dostojnych gości i proszę wyżej, wyżej, gdzie godniejsze miejsce i godniejsza kompanja!

Zofja odrzuciwszy kwef żalobny z twarzy, wsparła się na Jazłowickim i szła wzruszona, chwiejnym krokiem. Esken patrzył na nią i pomimo całego złamania odczuł zachwyt wobec tej pięknej i pełnej godności kobiety. A gdy stanęła przed nim, znowu złamał się w pokłonie i szerokim gestem do sali zapraszał. Weszli i stanęli oboje w progu zmieszani widokiem kirów, pochodni i trumny. Esken wszedł za nimi, kierując Zofję na środek pokoju, potem ujął woskową świecę z kandelabra, zbliżył się do katafalku i nagłym

ruchem ściągnął całun ze zmarłego. Ukazała się twarz okropniejsza jeszcze niż dnia poprzedniego, bo pokryta już sinemi i zielonemi plamami. Zofja nie poznała Albina, lecz nie wątpiła, że to on; poczućciem dobrej chrześcijanki wiedziona, obsunęła się na kolana, i poczęła szeptać pacierz za umarłych. Wstrząsnął się Esken, jakimś odmłodzonym, żywym krokiem zbliżył się do niej, ujął pod ramiona i na nogi postawił.

— Waćpani niech mi swoich katolickich obrzędów tu nie odprawuje, jeśliś przyszła przekonać się, czy nasłany przez was zbir dobrze zabił mego chłopaka, to napatrzcie się, nacieszcie oczy widokiem jego ran i obrażeń!

— Na dole przed chwilą...

— Zabił go jak wołu obuchem i rzeźnickim nożem!... Czy tak wasza miłość zabić go rozkazała?

— Na dole przed chwilą powiedziano mi coś, co wzbudziło nadzieję jako imci pan Albin żywie; całą duszą ucieszyłam się z tego!

— POCO waćpani mówisz to, czego nie myślisz!

— Zapewniam waszmośćpana, wnieśszał się Jazłowicki, że imci pani Obertyńska w zabójstwie waszego siostrzana żadnego nie brała udziału, przeciwnie szczerze zmartwiona tem była. Sam bowiem względ na dziecko, które jest w waszych rękach...

— Już wy mi, miłościwy panie, nie odmówicie oddania mego synaczka; wam nie może zależeć na tem, aby mieć w nim zakładnika. A ja tak cierpię...

— Uważasz, miłościwa pani, że ja powinienem wam syna oddać?

— Nie wątpię, że to uczynicie, teraz bardziej jeszcze, gdy widzicie, jak ciężko jest tracić dziecko.

— To źle, że nie wątpicie!... Tem ciężej przyjdzie wam usłyszeć mój werdykt: Nigdy! nigdy! nigdy!

— Przecz? przecz tak okrutny wyrok! Klnę się Bogiem i męką Chrystusową, żeżem nijakiego udziału w zabójstwie waszego siostrzana nie brała; przeciwnie, cierpiałam dowiedziawszy się o jego zgonie!

Esken wsparł się plecami o trumnę i mówił przerywanym głosem:

— Siostrzan mój zamordowany został przez was!... Zabójstwa onego źródło w tem, że kochał waszmośćpanią i przez nią zrekurowany został? A przecz nakarmiliście go czarną polewką? Nie dlatego, że nie szlacheckiego był rodu, bo niejedna szlachcianka z mieszczaninem małżeńskim spoiła się węzłem; ale dlatego, że Niemcem się wyznawał! Tak one: Sumińskie, Knutówny, Konopackie, Czystochlebskie, starożytnego rodu Stanganów dziewice, dlatego wychodziły za Rebenów, Marzantów, Watzelrodów, Wachslagerów, Lindów, że Polakami się wyznawali, że ojcowie ich do Jaszczurczego związku należeli, że wychodzili w pocztach panów polskich

przeciwko wrogom Rzeczypospolitej. A że z naszego nikt swej niemieckości się nie zaparł...

Zachłysnął się astmatycznie, skorzystała z tego Zofja i przerwała.

— Przecz wnikać w racje, jakie mnie od poślubienia waszego siostrzana powstrzymały? jest jedna najpierwsza i dla mnie jedyna: nie widział się sercu memu. Ale jeśli on mnie miłował choć trochę, czyż wątpicie, że dziś nakazałby wam oddanie dziecka, które jest jedyną nieszczęsną wdową pociechą!

— Próżno! próżno! krzyknął ze złością Esker. Ja wiem, co mówię!... Za tyle upokrzeń i dowodów nienawiści, które od polskiego przyszło mi społeczeństwa, za ten mord dokonany na ostatnim z naszego rodu, ja mogę dziś zażyć słodkiej zemsty. Ja tego twojego syna, nie zabiję, jak wy mego zabiliście, ja go przy życiu ostawię, ja go strzec będę, jak źrenicy oka, ja go wychowam starannie, ale wychowam go na Niemca, wychowam go w okrutnej nienawiści do wszystkiego co polskie! Że jeśli go kiedy spotkasz, on nie zrozumie nawet wyrazu matki, jeśli w polskim wymówisz go języku! A jeżeli postarasz się wytłumaczyć mu kim jesteś polską mową, to ci w twarz plunie za to, że odkryłaś mu hańbę, iż polską krew ma w sobie!

Zofja podniosła rękę gestem nakazującym milczenie.

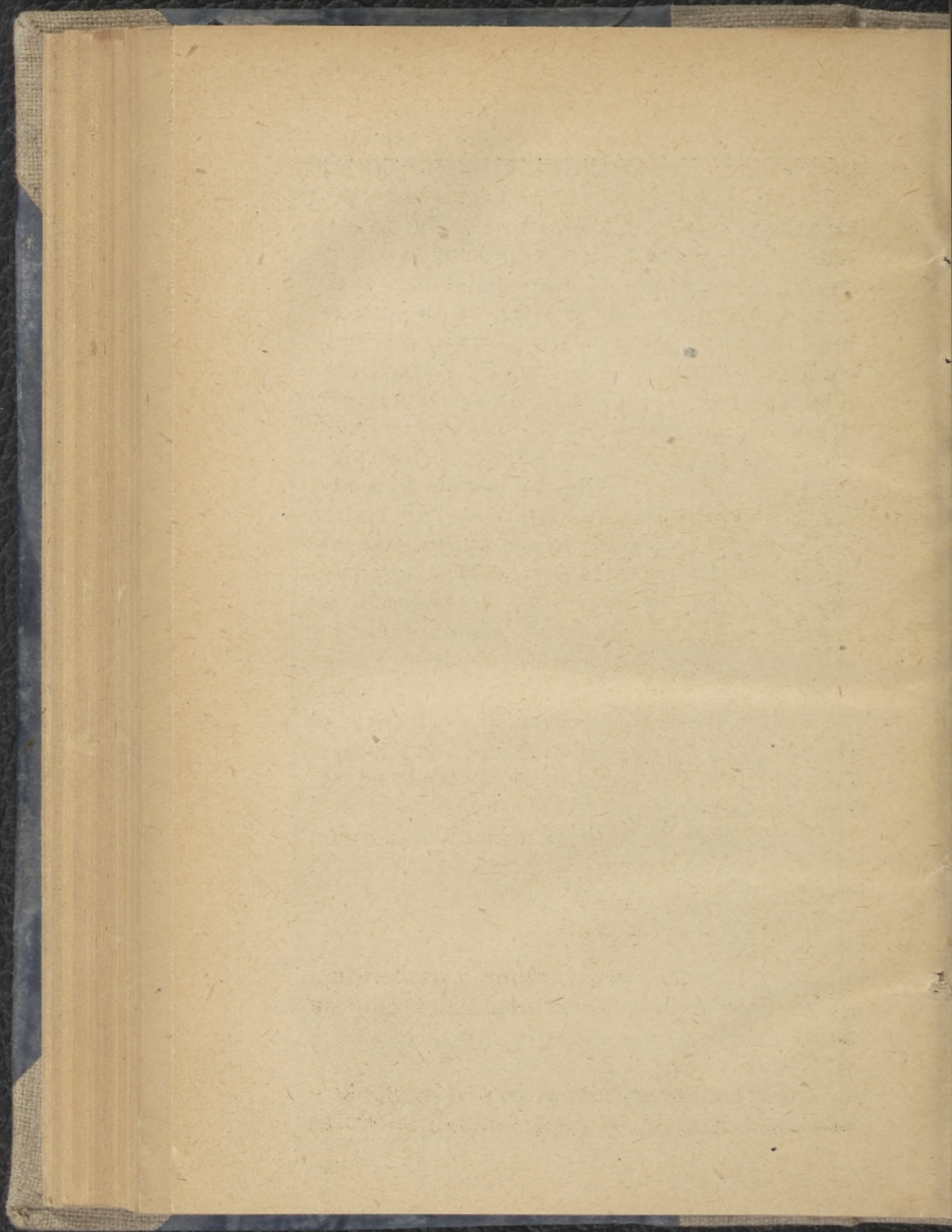
— Dość! zawołała. Już nie wątpię, że mi dziecka nie oddacie! Bóg niech ma je





St. Dabr.

Wyrostek przystanął  
i obejrzał się za siebie.



w swojej opiece; moja modlitwa nie opuści go nigdy! Ale wiedźcie, że jednego nie zdołacie przeprowadzić! Syn zacnego polskiego rodu, na tej ziemi urodzony, żyjący tem powietrzem, pijący polską wodę do czasu, może tylko o swej polskości wspominać, ale przyjdzie chwila, że ta narodowość upomni się o swoje prawa, a wtedy wam jedynie, coście ją tłumili i wydzierali zlorzeczyć będzie! Polskość bowiem!... Słyszeliście o róży jerychońskiej?... Przywiózł mi wujo z Ziemi Świętej roślinę... zda się suchy oset... ale rzućcie ją do wody, a rozwinie się pełnią kwiatu! Tak będzie nie tylko z synem moim, ale z tymi wszystkimi Polakami, którzy za dziadów czy pradziadów naszą narodowość wyznawali, że opamiętają się, otrząsną z siebie cudzoziemskie próchno i wrócą na łono ojczyzny!

— To wymowna białogłowa! wybuchnął Rudolf i zaśmiał się szyderezo. Śmiech przykro rozległ się w pustym, żalobnym pokoju.

Zofja usunęła się w ramiona Jazłowieckiego bezprzytomna.

## XX.

### Tułacze.

Noc była wyiskrzona miliardem gwiazd na niebie, całunem śnieżnym na ziemi.

Toruń spał.

Od czasu wtargnięcia Szwedów spokojniej było w mieście nocą, aniżeli za dnia;

rabowali oni bez skrupułu, zupełnie otwarcie, pozorując gwałty literą prawa, wy miarem sprawiedliwości; lub dobrem przy chylnej im części mieszkańców. Czynili to za dnia, nie zakłócając sobie spokojności snu; więc ciche były noce w zdobytym Toruniu...

Przed gospodą pod Modrym Fartuszkciem stało czworo sań, zaprzężonych w silne i rosłe konie. Pierwsze kryte były budą z surowej skóry, od końca do końca płoz, osłaniając w ten sposób i woźnicę na przodzie i służebnych chłopaków na tyle, plecami zwróconych do koni. Troje pozostałych sań naladowane było różnej objętości i rozmiarów łubami i pakunkami. Około zaprzęgów kręcili się ludzie, szepeząc między sobą, jak zwykli czynić ci, co należą do tajemnicy i strzegą jej nawet, gdy niema jeszcze śladów niebezpieczeństwa. Coraz ktoś wpadał do gospody, wynosił z niej jakiś przedmiot i pakował gdzie się dało.

Woźnice zajęli już miejsce, służba uniosła na saniach skórzane zasłony, wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom wyciekając. Otworzyły się niebawem jak szerego. Wyszedł najprzód pacholek z kagańcem, za nim stary Wendorf, potem Jazłowski z Zofją, dalej nianka z niemowlęciem na rękę i druga wiodąca dwoje starszych dzieci Szalitów, wreszcie oni sami; wszyscy okutani w oponicze i chusty. Drzwi jednak nie zamknięto jeszcze, przeciwnie przytrzymał je pacholek, rozja-

śmiając ponury obraz światłem wnętrza gospody. Na tle tem w barokowym obramowaniu drzwi stała stuletnia staruszka na kiju wsparta i drżąca — Szalitowa babka, co wczęnie zmarłą matkę zastępowała wnukowi.

Podniosła krzyż w górę i rzekła głosem silnym jeszcze choć bezdźwięcznym: „Niech was Bóg prowadzi!”

Bez słowa porozumienia odwrócili się Szalitowie i padli na kolana przed nią. Wyciągnęła nad nimi ręce, które drżały w tej chwili.

— Z Bogiem idźcie! W każdym miejscu i przygodzie pozostaniecie wierni Bogu, Ojczyźnie i enocie!

— O matko, że też ty z nami nie idziesz! zawołał Szalita. Zostajesz w tych ścianach, w których od jutra wróg się będzie rozpościerał!

— Ja tej chaty nie rzucę! W czternastym roku poślubiona, tu przez sp. małżonka mego sprowadzona zostałam, tu dziatki moje rodziły się, chowały, lub umierały, a zawsze na chwałę Bożą... I ja tu umrę!

— Oby wam krzywda się nie stała!

— Mnie?... Jedyne zło, jakie mogłoby jeszcze spotkać, to gdyby mnie z pod mego dachu wypędzono... Ulmachom przysądzono gospodę... Zaciekle Niemce i cheiwey, ale przecieć Boga się boją; uszanują staruchę i prawą dziedzicę. Jedźcie; modlitwa moja pójdzie za wami w dalekie świątyni, na waszą drogę tułaczą!... Jedźcie!...

pora już!... Póki nie zbudzą się ludzie... Niech żadne złe serce nie zabije radością, że was wypędzonych oglądało!

Przypadli oboje czołem do progu domu, potem nogi jej ucałowali i podnieśli się zalani łzami.

W tej chwili zajęła ich miejsce Zofja.

— Matko, w tem mieście w rękach obcych i wrogich pozostaje dziecko moje. Módlcie się za niem; Pan miłosierny modlitw ludzi, co tyle lat w służbie jego trwa ją rad słucha. Módlcie się; niech zostanie, alibo choć kiedyś po leciech, uczuje się Polakiem!

— Przodkowie nasi tyle krwi w obronie religji św., katolickiej i swobody innych narodów wylali, że niesposób, aby dał utonąć w morzu niemieckości latorośli zacnego rodu, co zawdy Bogu i Ojczyźnie służył. Wróci twój synaczek, tobie i ojczyźnie!

— Bóg zapłać!

Uścisnęła jej kolana i wstała pokrzepiona na duchu.

I sadowiono się w pierwszych sianach: Szalitowie, Obertyńska, Jazłowieki, Wenderf i piastunka z dziećmi. Krzych i Pietrek Wendorfowie zajęli miejsce przy woznicy. Służba pakowała się na pozostałe sanie, lokując się tak, aby koźuchy i bety ciepła swego im używały. Nie ruszano jednak, raz po raz tykło zwracając się w stronę rogatki Chełmińskiej i wzrok wyteżając w ciemności. Wreszcie od strony tej dał się słyszeć tętent konia. Benek

przypadł do sań na spienionym kasztanie i osadził go w miejscu.

— Można jechać.. strażę pewne... dobrze opłacone.

— A Jęurek i Tomek?

— Wychłali przodem; czekać będą u skrajki lasu.

— Jedźmy w imię Boże!

Sanie ruszyły; Szalitowie wychylili się jaszeze, unosząc zasłon. Krystka w głos zapłakała. W oknach pierwszego piętra tego dogodnego, miłego ich mieszkańka światło od wewnątrz pozwalało odróżniać domiczki kwitnącego laku i bożego drzewka nadające piętno życia pustce, którą pozostawiali za sobą. We drzwiach gospody stała, chyląc się coraz bardziej ku ziemi stara Szalitowa.

— Matko!... wyrwał się z piersi Franciszka Szality krzyk łzami nabrzmiały. Babuniu nasza!

Nie odpowiedziała mu, bo już nie mogła dłużej panować nad sobą; lkała na cały głos. Czula, że nie zobaczy już ich więcej; czula, że nie będzie komu zamknąć jej powieki na sen ostatni!

Słońce wypłynęło ogromne i czerwone na ciemny fiolet nieba; brak wiatru czynił dzionek ciepłym i miłym, podniesiono prosto zasłony z obu stron sań, a choć nikt nie miał chęci do rozmowy, od czasu do czasu rzucano jakieś słowo, w odpowiedzi małemu Józkowi, który, zachwycony słońcotażą i nadzwyczajną odmianą w ży-

ciu, ciągle czynił uwagi i stawiał pytania.

— Rycerze! matuniu! rycerze! zawołał nagle, klaszcząc w ręce i rzuciwszy się tak nagle ku brzegowi sań, że ledwo Szalita zdolał wstrzymać go od wypadnięcia.

— Co robisz, bisurmanie, siedź spokojnie! Skąd przytroili ci się rycerze?

— O tam, tam! na konikach!

Ręką wskazywał w stronę śniegiem zakrytej polanki, cofniętej od drogi.

— Czerwony kobierzec kładą! Oj, piewnikiem któryś dostanie baty!

Droga załamywała się w tem miejscu, las, spalony minionego lata na znacznej przestrzeni, pozwalał objąć okiem drużynę złożoną z kilkunastu jeźdźców, w strojach skromnych, ciemnych, lecz błyskających stalą pancerzy, ile razy zwracali się przodem ku nadjeżdżającym.

Snać przygotowywali się do spoczynku, czy uroczystości, bo pacholkiwie rozciągali kobierce i rozbijali pospiesznie namiot.

Droga łamała się znowu; podróżni stracili nagle z przed oczu rycerzy... Sen-li to był, czy nadziemska zjawa? Z bijącymi sercami, nie odwracając głów, wyczekiwano chwili zrównania się z polaną.

Odrazu, za zamarzłym strumieniem otworzył się na nią widok przed ich oczyma. Namiot już był rozbity, ołtarz w nim wzniesiony, przed namiotem kobierce smyrneński, jaskrawy, z każdego boku po czterech jeźdźców w pełnem uzbrojeniu, za



nimi żołnierze w szarych kubrakach stali w pogotowiu.

— Nasi chłopcy! krzyknęła Szalitowa.

Rzeczywiście Jędrzej, Benek i Tomek siedzieli na koniach wysunięci naprzód, obok kapłana w pontyfikalnych szatach.

Woźnice zatrzymali konie bez nieczyjśgo rozkazu; nie porozumiewając się też z sobą wysiedli z sań: Jazłowski, Wendorf, Obertyńska i Szalitowie. Młodzi Wendorfowie i służba również, kto mógł, opuścił sanie, ciekawy widowiska. Gdy podróżni z pierwszych sań wstąpili już na dywan, trzej Wendorfowie zeskoczyli z koni i równym, żołnierskim krokiem posunęli się ku nim. Na chwilę przypadł każdy na jedno kolano, potem podnieśli się jak na komendę, uszeregowali i Jędrzek, wsunawszy rękę za pas i odchrząknawszy rzekł głosem donośnym:

— Miłościwy ojcze nasz dobrodzieju, siostró ukochana i ty czeigodna nieodżałowanego pana mego małżonko i ty, wielkiego rodu opiekunie jej przezacny; panie, a panie nasz i dobrodzieju! Bóg zrządził, żem ostatniemi czasy zgola niezasłużonej dostępował poufałości ze strony szlachetnie urodzonego i wielkiego imienia ryceza, pana Obertyńskiego, Jastrzębca z herbowego klejnotu, który mnie, prostaka w różnej materji informował i w najskrytsze myśli swe wtajemniczał. Wiedziałem przede, to, czego nawet czeigodna małżonka jego nie wiedziała, że śp. pan Obertyński go-tów był zara po odwiezieniu małżonki swe-

z dzieckiem do kaszubskiego kraju, samemu w pole ruszyć, aby w myśl konfederacji tyszowieckiej oddział swój jednemu z prawych obrońców ojczyzny przyprowadzić i za przykładem panów Czarnieckich, Sapienhów, Gosiewskich, stanąć Szwedowi do oczu, za gardło schwycić i do zguby doprowadzić! Nie sądzonem było śp. panu memu ono postanowienie w czyn wprowadzić, gdyż jako nam wiadomo, legł ze zbrodniczej ręki w przededniu wykonania. Ja sam, oby mnie za to pierwsza kula nie minęła, do onej przedwczesnej śmierci, choć z wielką ducha mojego udręką, się przyczynilem. Niemniej czuję się obowiązany do wykonania ślubu śp. pana Obertyńskiego. Obiecywał wziąć na oną wyprawę mnie, moich braci i co chętniejszego serca chłopaków, tak z mieszczan, jak i z nagromadzonej w grodzie szlachty postronnej. Przynosiłbym się oddawna; nie brałbym Bogu chwałę, kraj miłujących; przybyło ich z pośród tych, co wpróżdzi obojętne, alibo zgoła niechętne serca mieli, a ninie, szwedzkich praktyk zaznawszy, do prawej matki ojczyzny się nawrócili. Dążymy do Wielkopolski, która pono jak długa i szeroka, choć małemi pocztami i ruszaku panom Lubomirskim i Czarnieckim, za prawym królem się opowiadając. Ale wróg niegodny silnie stawia czoło, nierad nasz piękny kraj opuścić; boje nastaną srogie, zgoła wątpliwe przeto jest, abyśmy wszyscy z onej wojny wrócili. Chcemy przeto ciebie, ojcze ukocha-

ay, o błogosławieństwo i odpuszczenie grzechów prosić i ciebie siostró miła i dziewierzu\*) kochany, abyście nam przebaczyli, jeśliśmy zawinili w słowie, mowie, uczynku, czy pomyśleniu. I zacnego pana Janłowickiego z Pelplina, jedynego przytomnego tu stryjca herbowego miłościwego pana mego o przebaczenie i błogosławieństwo prosić. Nakoniec ja oto padam jeszcze na kolana przed tobą, zacna panu moim wdowo, abyś złożeniem na stole mojem znaku krzyża świętego serce me utwierdziła w słodkim pocieszeniu, bez którego nawet za ojczyznę nie umierał bym spokojny, żeś mi ciężką krzywdę doznaną z mej przyczyny wybaczyła!

Wszyscy trzej padli na kolana.

Postąpił ku nim imci pan Jazłowicki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków, amen!

— Witam was, zacny pocście obrońców ojczyzny! Z radością serca mego widzę, jako i w tej, oddalonej od macierzy, pruskiej ziemi nie brak gorliwie ją miłujących i to nawet wśród mieszczkańskiego stanu! Wszelako bowiem, rzecz to zgoda możliwa, że Bogu, który zstępując na ziemię, w podłej stajence żywot rozpoczął i hold pierwszy nie od wielmoży i wysoce urodzonych, ale od pastuszków otrzymać raczył, taki z podlejszego rodu, ale gorącego serca sformowany poczet jest najmi-

\*) szwagrze.

lejszy, jednakowoż i to prawdą jest, że Bóg jako w niebie tak i na ziemi hierarchias postanowił, to jest porządku królów panów, szlachty, mieszczan i chłopów, którzy to, ci, lepiej urodzeni, mogliby zawsze na was krzywo patrzeć. Przeto ja, primo, nie mając męskiego potomka, secundo, bacząc, że ostatnia rodu mego latorośl za kratą klasztorną, Bogu na chwałę cichego, a bezowocnego dopełnia żywota, postanawiam was, Jędrzeju, Benedykcie i Tomaszu, synów uczciwego mieszczanina, Wendorfa, szlachetnymi uczynić i do klejnotu mego przyjąć. Rozumiem, że prawo uczynić, to mi każe przez sejm i króla, wszelako niezawsze trzeba brać prawo ad literam, bo wiadomo, litera occidit Spirytus verifikat. Stąd wszystkie herezje poszły, że Pismo Boże brano ad literam nie przyjmując sensum interpretationem Kościoła Bożego i Ojców Świętych. Przeto ja, Jan Łódzia Jęzłowski, do sposobniejszego czasu formalności ostawiając, jak chrzest z wody, tak pasowania was na szlachetnych rycerzy z serca przed Bogiem dokonywam. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Szanujcie klejnot, którym was obdarzam, idźcie śladem wszystkich tych, co się Łodzią pieczętując, zawdy na najburzliwszych falach mieli być ojczyźnie arką Noego!

Dotykał każdego szablą i z kolan podnosił, całując w policzki. Przypadli mu do nóg.

— Niech żyje, dobrodziej nasz, pan Jazłowski na Pelplinie! Ojciec nasz i dobrodziej!

— W dobry czas ruszacie na wojnę, ciągnął dalej Jazłowski, i ja oto służów powstrzymać nie mogę, że mi niedoleństwo moje, z wieloletnich trudów wojennych wynikle, ruszyć z wami nie pozwala, bo i mnie słuchy dochodzą, że Rzeczpospolita nasza zrywa się zwycięska. I wieście, że wojna i on ucisk od Szweda tak długo trwać będzie, póki Polacy przez impressją złych ludzi, odstąpiwszy króla Kazimierza, Szwedów za przyjaciół trzymać będą, ale skoro za Tyszowiecką Konfederacją cały kraj ich jako nieprzyjaciół ojczyzny zadeklaruje i wszyscy się do ich wygnania viriliter chwycą, wróg ujdzie ze wstydem, a prawy nasz król znowu nad złączonym zapanuje krajem, w myśl słów zacnego kanonika Starowolskiego: *Fortuna variabilis Deus mirabilis!*

— Niech żyje wolna i potężna Rzeczpospolita nasza! huknęli wszyscy.

A że wzruszony stary Wendorf, nie mogąc opanować radości, buchnął płaczem i poczał synów brać kolejno w ramiona, Zofja, poważna, lecz słodko uśmiechnięta, zbliżyła się do Jędrzeja, niosąc w ręku ryngraf, wydobyty ze szkatuły, którą z chwilą gdy Jazłowski przystąpił do obrzędu pasowania, kazała sobie podać z sań jednej ze służebnych.

— Mylicie się, panie Jędrzeju, mniemając jako żal jakowy w sercu do was

żywie. Wiem, że w ciężkich ostatnich czasach śp. małżonek mój lepszego nad was nie miał przyjaciela i żeście, niepomni na niebezpieczeństwo, śmierć jego pomścili. Przeto wam, jako niedoszłemu towarzyszowi broni małżonka mego milego ten oto rzyngraf poświęcany przed ołtarzem cudownej Matki Boskiej Począjowskiej ofiaruję. Niech was strzeże od wszelkiej złej przygody, a miejcie go w poszanowaniu, bo jeśli Bóg pozwoli syna mego mi odzyskać, jego będzie własnością, jego po ojem pamiątką.

Jędrzej na kolanach rzyngraf przyjął i rękę Zofji ucałował.

— Da Bóg, sam mu jeszcze on puklerz na piersi założy i sam, stary, wysłużony sodalis Marianus w bój przeciwko wszelkiemu wrogowi ojczyzny powiodę!

Z namiotu rozległ się dzwonek. Kapłan do odprawiania Mszy św. na intencje odjeżdżających rycerzy przystąpił.

Koniec.



.....

Dalsze losy bohaterów „Gospody pod Modrym Fartuszkiem“ opowiedziane będą w powieści „Ku polskiemu morzu“.

.....

# „Księgarnia Polska“

Tow. Polskiej Macierzy Szkolnej

W WARSZAWIE, ul. Warecka 15

poleca następujące tanie

powieści i opowiadania:

Antoszka. Dola Marynki podrzutka. Wyd. 2-gie.

Bogusławska M. Duch zamku Olsztyńskiego.  
Powieść dla młodzieży.

— Dziecko legionu. Powieść hist. z końca  
XVIII w.

— Ofiara Wiktośi. Powieść. Wyd. 3-ie.

— Tomasz Ptak z Wielebna. Powieść hist.  
Wyd. 2-gie.

Junosza Kl. Dziadowski wychowanek. Wyd. 4e.

— Na chlebie u dzieci. Powieść. Wyd. 4e.

Kowerska L. Pani Anielska. Legenda.

— Wydalona. Obrazek z życia Polaków  
pod panowaniem pruskim.

— Za głosem serca. Opow. z życia w W.  
Ks. Poz.

— Za wiarę. Z życia unitów. Wyd. 3-ie.

Kraszewski J. I. Cygańskie dziecko. Z po-  
wieści „Chata za wsią“.

— Jaktowie. Z powieści historecznej „Bra-  
cia Zmartwychwstańcy“. Wyd. 3-cie.

— Kordecki. Powieść historyczna. Wyd.  
nowe.

Kresowiec Z. Zatrute ziarno.

Morzycka T. Kuźma Jeż. Opowiadanie z  
dawnych czasów. Historia o pra-pra-  
dziadku.

Nikowski J. Niemrawa. Opowiadaniē.

Orzeszkowa E. Czarownica. Opowiadanie.  
Wyd. 4-te.

--- Romanowa. Wyd. 4-te.

--- W zimowy wieczór. Wyd. 5-te.

Prus B. Michałko. Wyd. 5-te.

Hubiatycka J. Bez plewy. Opowiadanie.

Rawita Gawroński Fr. Z dziejów rodziny Zy-  
wotowskich. I. Marzenia. (Rok 1892).

--- Z [dziejów] rodziny [Zywotowskich. II.  
Czyn. (Rok 1863).

Rutkowska Br. Zerwany kwiat polny. Powieść  
współczesna. Wyd. 2-gie.

--- Wiek z Warszawy. Trzydzieści morgów.  
Opowiadanie.

Włódkowna Br. Opowiadanie.

Zorjan E. Bohaterskie boje. Opow. hist. z  
czasów Króla Jana III. Wyd. 3-cie.

--- Dopust Boży. Powieść hist. z XVII.  
wieku. Wyd. 3-cie.

--- Hołd pruski. Powieść hist. z XVI. wieku.  
Wyd. 2-gie.

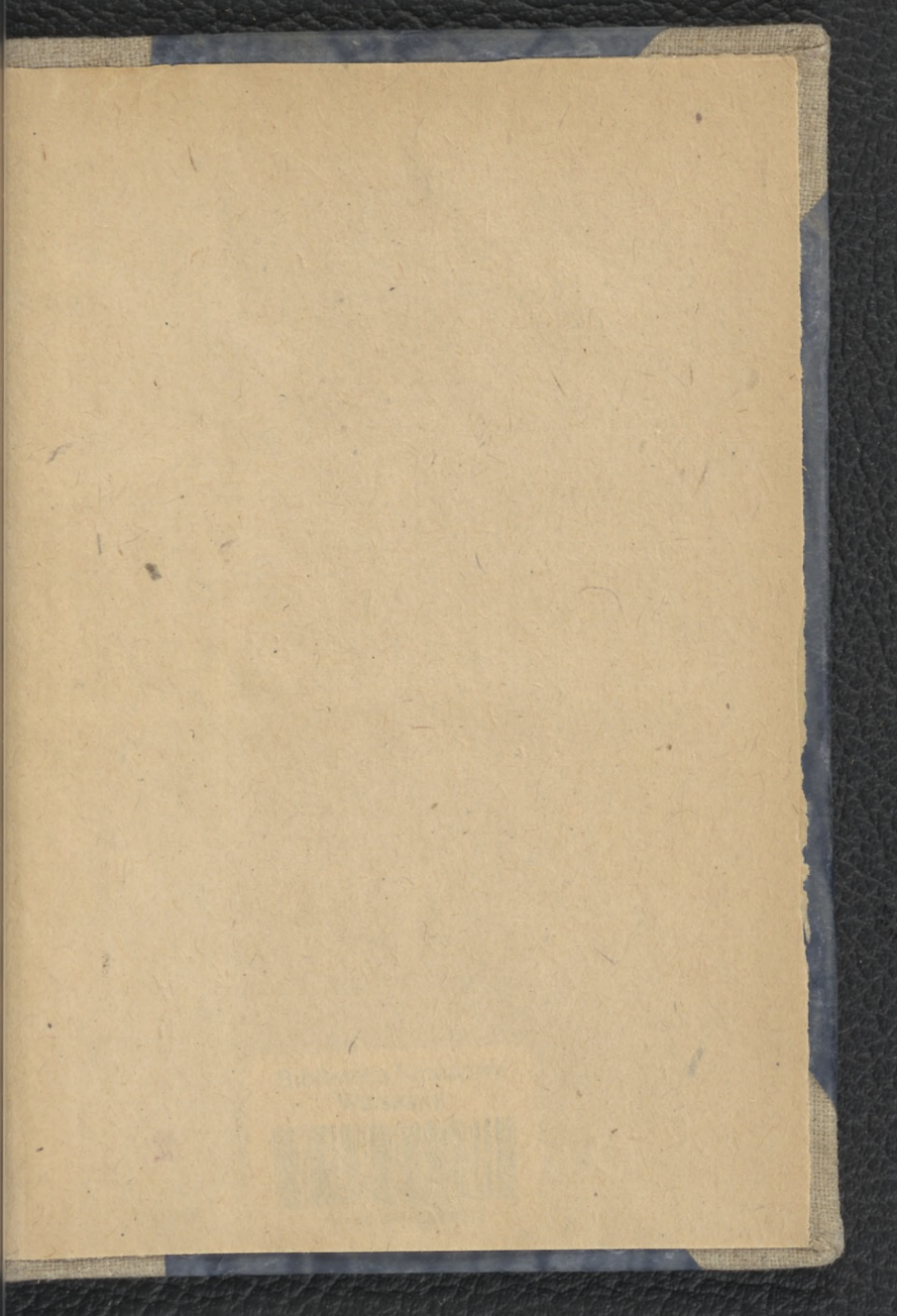
--- Opowiadania historyczne. Wyd. 2-gie.

--- Pod godłem krzyża. Powieść z XII. wieku  
Wyd. 3-cie.

--- W walce z pohańcami. Powieść hist.  
Wyd. 4-te.

Zycka L. Cichy bohater. Historia zwyczajnego  
człowieka z lat niewoli.







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020923806



2005580

BIBLIOTEKA  
NARODOWA